

Rok XXXIII (L) / nr 11–12 (420)
grudzień 2024 / cena 5 zł
ISSN 1230-9710
Ukazuje się od 1952 roku

NAUKA • BADANIA • KULTURA

GŁOS UCZELNI

CZASOPISMO UNIwersYTETU MIKOŁAJA KOPERNIKA W TORUNIU



**Spokojnych Świąt,
udanego Nowego Roku!**



UNIwersYTET
MIKOŁAJA KOPERNIKA
W TORUNIU

WYŚNIONY ŚWIAT

Sztuka Jacka Yerki

WERNISAŻ: **18.01.2025** | GODZ. 18.00 | OD NOWA TORUŃ



TERMIN WYSTAWY: 18.01.2025 – 07.03.2025, Od Nowa TORUŃ, ul. Gagarina 37a

SPOTKANIE AUTORSKIE Z OKAZJĄ ŚWIĘTA UNIwersYTETU: 17.02.2025, godz. 16.30, Od Nowa TORUŃ

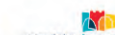
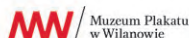
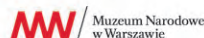
PREZENTACJA GICLEE JACKA YERKI: 07.03.2025 – 30.04.2025, Biblioteka Uniwersytecka



Samorząd Województwa
Kujawsko-Pomorskiego



Dofinansowane z budżetu
Samorządu Województwa
Kujawsko-Pomorskiego



TORUŃ CENTRUM

Głos na stronie

„I życzę Ci wszystkiego, czego i Ty chciałbyś mi życzyć... A Ty znowu zaczynasz!”. Stary dowcip, ale wciąż aktualny podczas składania życzeń, a tych w czasie świąt Bożego Narodzenia, sylwestrowej nocy będzie mnóstwo. Znowu składać sobie będziemy życzenia w gronie rodzinnym, w gronie przyjaciół, znajomych, współpracowników bliższych i dalszych. Może ktoś nawet pokusi się o wysłanie kartek świątecznych, choć to w dzisiejszych czasach mocno „oldschoolowe” vel „odliskulowe”.

W tym składaniu życzeń, choć może na co dzień się nawet nad tym nie zastanawiamy, jest coś pięknego, ale i też coś sztucznego. Tak to ze zwyczajami bywa. Gdy składamy życzenia „z serca”, robi się na tym sercu ciepło, jest miło – i temu, co składa, i temu, co życzenia otrzymuje. Ale nie oszukujemy się, te sytuacje raczej należą w dzisiejszych czasach do rzadkości. Wystarczy zajrzeć „do internetów”. Tam usłużny portal przypomni na przykład, że ten czy ów ma dziś urodziny. No to trzeba życzyć – najlepiej „wszystkiego najlepszego”. To taki dyżurny zwrot. Już tak wyświechtany, że aż męczy. No i... nielogiczny, bo jak wszyscy dostaną tylko to, co najlepsze, to komu przypadnie to, co dobre lub tylko ciut lepsze (o gorszym nie wspomnę).

Ale zostawmy te zabawy logiką na boku. Życzenia muszą być i basta! To może spróbujemy je zindywidualizować. Gwarantuję, że adresatowi będzie z pewnością miło, poczuje, że to specjalnie dla niego, że pomyśleliśmy specjalnie o nim, a nie o dowolnym „kimś”. Miłośnikom wojaży życzymy odkrywania nowych krajów, biegaczom – zaliczonych kolejnych maratonów, erudytom – wspaniałych lektur, miłośnikom muzyki – cudownych płyt



i koncertów, uczyonym znanym z kontaktów zagranicznych – by te owocowały świetnymi odkryciami, publikacjami, uznaniem itd. A do tego dorzucić wypada też trochę prozy życia, czyli zdrowia, dostatku, szczęścia.

Ale musi być też przestroga – przy takim indywidualizowaniu życzeń trzeba wykazać się czujnością. Broń Boże, nie składajmy zatem życzeń w rodzaju: „żebyście w najbliższym czasie doczekali się wreszcie potomstwa, o którym marzyście”, „żebyś wreszcie w tym roku zrobił tę habilitację”. Może pojawić się niezręczna cisza...

A skoro życzenia muszą być, to będą i od nas – od „Głosu”. Życzymy jak najwięcej spokoju w tych niespokojnych czasach, życzymy publikacji, od których wskaźniki cytowalności będą rosły niczym świąteczna baba, życzymy szczerego uśmiechu od ludzi wokół każdego z Was, UMK życzymy, by „wiodąca uczelnia badawcza w Polsce” to była zawsze jej oczywista wizytówka. No i wreszcie na koniec – życzymy sobie wzajemnie, byśmy za rok znowu w tym samym gronie mogli sobie złożyć życzenia.

Winicjusz Schulz

Redaktor naczelny „Głosu Uczelni”



Ewolucja, rewolucja

s. 6



Aż głowa boli

s. 14



Za co kochamy Zbigniewa Herberta?

s. 27



Zosia z cmentarza odrzuconych

s. 25

NAUKA • BADANIA • KULTURA
**GŁOS
UCZELNI**

Zespół redakcyjny: Winicjusz Schulz (redaktor naczelny), Marcin Czyżniewski, Marcin Lutomierski, Maurycy Męczekalski, Tomasz Ossowski, Andrzej Romański, Wojciech Streich, Ewa

Walusiak-Bednarek.

Stale współpracują: Sebastian Dudzik, Jarosław Dumanowski, Marek Jurgowiak, Nikodem Pręgowski, Tomasz Wojciechowski, Sebastian Żurowski.

Adres redakcji: 87-100 Toruń, ul. Reja 25, pokój 7 i 12, tel. 56 611-42-89, 56 611-42-39.

Opracowanie graficzne: Nikodem Pręgowski

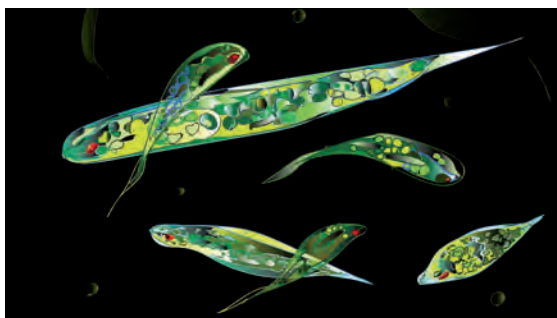
Skład: Dariusz Żulewski

Druk: Wydawnictwo Naukowe UMK, ul. Gagarina 5, 87-100 Toruń, tel. 56 611-42-95, e-mail: wydawnictwo@umk.pl

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, a także zastrzega sobie prawo do skracania i opracowywania artykułów oraz ich tytułów.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń i reklam.



Siła różnorodności – triumf życia

s. 28



I znowu Wigilia...


s. 46



24 JAZZ Od Nowa Festiwa

s. 86

Głos na stronie	3
Ewolucja, rewolucja ...	6
Z miłości i rozsądku	11
Aż głowa boli	14
Upały, susze, gwałtowne deszcze	
i powódzie to nasza nowa rzeczywistość	20
Zosia z cmentarza odrzuconych	25
Za co kochamy Zbigniewa Herberta? –	
w stulecie urodzin Poety	27
Siła różnorodności – triumf życia	29
Epidemia otyłości	33
Nagrody Nobla 2024	36
Jak Kazimierz Antonowicz uniknął Katynia	
i utworzył fizykę węgla w Toruniu	40
Możliwości rozporządzenia majątkiem	
na wypadek śmierci	42
<i>Ostrakon</i> w Bibliotece Uniwersyteckiej	44
Pytania o życie	45
I znowu Wigilia...	46
Wigilia po szlachecku	51
Tradycje bożonarodzeniowe Ukrainy	
Słobodzkiej	54
Zwyczajne bożonarodzeniowe na Kaszubach	58
Fundamentalna praca	61
Szczęśliwy brat „Titanica”	62
Wolfgang Rudzio – przyjaciel Polski	
z Oldenburga	67
Tapeta na tapecie	68
Pruski mur, czyli życie w cieniu gotyku	70
Cały czas tego świata	73
Jacek Yerka w roku jubileuszu	78
„Wyśniony świat” Jacka Yerki	80
W każdym dramatycznym momencie jest	
odrobina humoru	81
24 JAZZ Od Nowa Festival	86
Historia Collegium Medicum UMK	
2004–2023	91

A portrait of Prof. dr. hab. Andrzejem Tretynem, an older man with long, wavy grey hair, wearing round glasses, a white shirt, a patterned tie, and a dark blue suit jacket. He is looking directly at the camera with a slight smile. The background is a plain, light grey.

Ewolucja, rewolucja...

Z prof. dr. hab. Andrzejem Tretynem,
rektorem UMK, rozmawia Winicjusz Schulz

Fot. Adam Fisz

- Otwartość, autonomia i samorządność akademicka – jak stwierdził Pan podczas inauguracji roku akademickiego – na tych trzech zasadach chce Pan i Pana współpracownicy budować program rozwoju uczelni w nowej kadencji. Może rozwińmy te hasła. Na początek otwartość – jak rozumiana?

- Przede wszystkim jako dostępność. Nie jest to proste przy liczbie obowiązków, jaka spada na zespół rektorski, ale jesteśmy zdeterminowani, by na decyzje nie trzeba było czekać miesiącami, a drzwi naszych gabinetów nie były barykadą trudną do sforsowania.

Ale to tylko jeden aspekt otwartości. Staramy się przede wszystkim otwarcie komunikować nasze zamierzenia. Zmiany w systemie zarządzania uczelnią wydawały się konieczne już przed wyborami. Po rozpoczęciu kadencji tylko utwierdziłem się w tym przekonaniu. Dlatego właśnie, że zmiany są trudne, ale konieczne, ich otwarte komunikowanie staje się niezbędne. Nie jest to oczywiście proste. Uniwersytet był i będzie strukturą hierarchiczną. Docieranie z informacjami do całej wspólnoty przy zachowaniu ścieżki decyzyjnej nie jest proste. Tym bardziej, że plotki zawsze krążyć będą szybciej niż jakakolwiek oficjalna informacja.

- Autonomia – kogo wobec kogo? Ale warto pamiętać, że w autonomii mogą też tkwić pułapki egoizmu – co będziemy przejmować się resztą uczelni? Nasza jednostka najważniejsza! Poza tym wydaje się, że żyjemy w czasach tyłu zawirowań i zagrożeń, że silny ośrodek decyzyjny może decydować o powodzeniu i pozycji całej uczelni.

- Nie dostrzegam takiego egoizmu we wspólnocie naszego Uniwersytetu. Wręcz przeciwnie. Po kilku miesiącach już wiem, że decyzje nawet trudne, o ile zostają otwarcie zakomunikowane i merytorycznie uzasadnione, spotykają się ze zrozumieniem i akceptacją.

To jednak nie oznacza, że z autonomią na UMK nie mamy problemu. Mamy, ale nie dlatego, że jej nie ma. Lecz dlatego, że osoby i ciała kolegialne podejmujące w systemie akademickim autonomiczne decyzje często nie mają pełnej informacji i wiedzy na temat obszaru, w którym decydują.

Zbudowaliśmy olbrzymie systemy informatyczne, które pozwalają prześledzić drogę każdej złotówki na Uniwersytecie, ale kiedy zadaję pytania dotyczące ogólnej sytuacji finansowej jednostki,

wydziału czy całej uczelni, okazuje się, że odpowiedzi na te proste pytania giną w masie szczegółów. Jak w takiej sytuacji ktokolwiek – czy to będzie rektor, czy dyrektor instytutu – ma odpowiedzialnie podejmować decyzje finansowe?

Wiemy dokładnie, kto i ile ma nadgodzin. Ale już informacja, jak to wygląda w skali kierunków studiów, dyscyplin, wydziałów itd. nie jest łatwo dostępna dla kadry zarządzającej. I pewnie w związku z tym decyzje o otwieraniu bądź zamykaniu kierunków studiów podejmujemy trochę intuicyjnie i metodą prób i błędów.

W sumie chodzi o to, że do realizacji prawdziwej autonomii potrzebna jest z jednej strony wiedza, z drugiej – odpowiedzialność za podjęte decyzje. Autonomię w wielu miejscach już mamy...

- No i samorządność, dookreślona jako akademicka. Co za tym się kryje? W czym ma się wyrażać?

- Samorządność to przede wszystkim reprezentacja możliwie szerokich grup pracowniczych w najważniejszych procesach decyzyjnych. Dlatego np. poprosiłem Senat o wybranie swoich przedstawicieli do komisji statutowej. Reprezentantów będą w niej również mieli studenci i doktoranci. Zwróciłem się także z propozycją, by związki zawodowe wskazały swojego przedstawiciela do tej komisji. Cieszy mnie, że cztery z pięciu związków działających na naszej uczelni takiego wspólnego przedstawiciela wskazały. To zaś, że jeden związek odrzucił moją propozycję, pokazuje, że odpowiedzialność wiążąca się z samorządnością bywa trudna do udźwignięcia.

Samorządność to także przejrzyste i konkluzywne procedury wyborcze i znacznie uproszczone ścieżki przekazywania władzy oraz powrót do kadencyjnych ograniczeń w przypadku najważniejszych funkcji kierowniczych.

- Ale podkreślił Pan też rolę indywidualności – w środowiskach twórczych, a takim niewątpliwie jest świat nauki, kwestia ważna. Nie da się wszystkiego wtłoczyć w ramy przepisów, schematów, zwłaszcza że rzeczywistość wokół tak szybko się zmienia.

- Zdecydowanie. Uniwersytet żyje kreatywnością wszystkich, którzy tworzą wspólnotę akademicką. Od badaczek i badaczy przez pracowniczki i pracowników wsparcia aż po studentki i studentów. Chodzi o stworzenie takiej przyjaznej i komfortowej

atmosfery, w której owa kreatywność będzie mogła w sposób pozytywny dla całości znaleźć swój wyraz.

W tym obszarze jest przed nami wiele wyzwań. Pracownicy często czują się przeciążeni obowiązkami i odpowiedzialnością, zmęczeni biurokratycznymi barierami, rosnącymi wymaganiami i poczuciem niepewności. Mam nadzieję, że uproszczenie przynajmniej niektórych procedur, wprowadzenie ruchomego czasu pracy oraz otwarta komunikacja przynajmniej częściowo złagodzą ten kryzys. Niestety wiele elementów kształtujących wewnętrzną sytuację uczelni pozostaje w znacznym stopniu poza naszą kontrolą.

W szczególności zarówno system, jak i poziom finansowania nauki pozostawiają wiele do życzenia. Boli nas w szczególności swoista finansowa dyskryminacja uczelni prowadzących wydziały medyczne i w obszarze sztuki. Gdybyśmy mieli równe prawa konkurowania o środki – takie jak akademie sztuk pięknych czy uniwersytety medyczne – nasza sytuacja byłaby znacznie lepsza.

W tej sprawie trzeba aktywnego lobbingu, który nieco zaniedbano ostatnimi laty, a który już staramy się ożywić we współpracy z innymi polskimi uniwersytetami.

- Jako rektor zainaugurował Pan w 2024 roku trzecią swoją kadencję na czele władz UMK. Czym te Pańskie inauguracje się różnią, w czym są podobne?

– Każda z nich była inna. Gdybym każdą z nich miał opisać jednym słowem, to byłaby obawa, nadzieja i troska. Gdy w roku 2012, po raz pierwszy zostałem rektorem, nasza uczelnia była w bardzo złej kondycji finansowej. Mówiło się o wprowadzeniu komisarza, który miałby za zadanie poprawę tej sytuacji. Ale wspólnie z moimi ówczesnymi prorektorami, przy wsparciu kwestora i władz dziekańskich toruńskiej części Uniwersytetu, w ciągu dwóch lat wyprowadziliśmy UMK z długu (głównie wewnętrznego). Stąd też zaczynając drugą kadencję, z nadzieją patrzyłem w przyszłość. Sytuacja finansowa była stabilna, wzrastała nam liczba publikacji ukazujących się w renomowanych czasopiśmie naukowych, zaczynaliśmy być dostrzegani w międzynarodowych rankingach. A pod koniec mojej drugiej kadencji rektorskiej przygotowaliśmy wniosek w konkursie na uczelnię badawczą i ostatecznie nią zostaliśmy. A teraz, po raz trzeci inaugurując rok akademicki, z obawą myślę o najbliższych 4 latach. Nie mam pewności, czy uda nam się pozostać

uczelnią badawczą. Wszak do końca tego projektu pozostaje 16 miesięcy, a nie wszystko się udało zrealizować. Kolejna moja troska to sytuacja finansowa UMK. Po 10 latach „prosperity”, drugi rok z rzędu zakończymy na minusie. Ale niektórzy mówią, że rektor Tretyn dobry jest na złe czasy. Zapewniam wszystkich pracowników UMK, że wraz z moim zespołem (Teamem) zrobimy wszystko, by na uczelni znowu działało się dobrze.

- Stare przysłowie mówi: „Nie wchodzi się dwa razy do tej samej rzeki”. Pan wchodzi nawet po raz trzeci. Co było takiego kuszącego, by raz jeszcze spróbować „rektorskiego chleba”?

– Oj, to chyba nie w kategoriach pokusy..., raczej troski i poczucia obowiązku. Moi bliscy mocno odradzali mi to ponowne wchodzenie do rektorskiej rzeki. Miałem jednak poczucie odpowiedzialności za wspólnotę i za projekty, którym w mniejszym lub większym stopniu patronowałem. Mam wrażenie, że dla kilku z nich to był ostatni dzwonek alarmowy i mogłyby nie przetrwać w innych okolicznościach.

Poza tym udało mi się zbudować bardzo inspirujący i pracowity młody zespół, którego energia i pomysłowość przekonały mnie, że warto zaważyć o pokoleniową zmianę na naszej uczelni.

- Publicznie Pan obiecywał: „nie będzie rewolucji, będzie ewolucja”. Teraz rzeczywistość zmusiła Pana do rewizji tej deklaracji. A jednak rewolucja! I to między innymi kadrowa. Wprawdzie ekipę rektorską sam Pan mógł skompletować. To słynny już „Tretyn Team”. Ale reszta? Wielu dziekanów to debiutanci, a w Collegium Medicum – jak sam Pan skrupulatnie wyliczył – tylko jeden prodziekan ma doświadczenie w tej dziedzinie, reszta debiutuje w nowej dla siebie roli. Bardzo zaskoczyła Pana ta sytuacja czy jednak spodziewał się Pan aż tak radykalnych zmian kadrowych, pokoleniowych?

– Panie Redaktorze, to jest trochę jak z rockową solówką – wiadomo, gdzie się zaczyna i jakimi akordami, ale potem uruchamia się wewnętrzna dynamika improwizacji, która nie wiadomo, dokąd nas poniesie. Wygląda na to, że dość niespodziewana zmiana władzy na poziomie rektorskim uruchomiła potrzebę zmian w wielu innych miejscach. Do nas z wielu stron docierały takie mniej więcej sygnały: *myśleliśmy, że już nic się nie zmieni; uniwersytet jest zabetonowany na lata; taki marazm nas ogarniał* itp.

I nagle w wielu miejscach nasze koleżanki i koledzy uwierzyli, że jednak coś może się zmienić. To uruchomiło spontaniczną dynamikę, która doprowadziła w efekcie do sytuacji, że większość kadry zarządzającej debiutuje.

- Taka rewolucja kadrowa rodzi niebezpieczeństwa? A może ma i zalety? Mniej rutyny, więcej świeżości i chęci działania, sprawdzenia się?

- Świadomy ryzyka, traktuję to jednak przede wszystkim jako szansę. Nowe spojrzenie na stare instytucje samo w sobie jest wartością. Wygląda na to, że przyjdzie nam zmierzyć się z wieloma problemami z kategorii tzw. „nierozwiązywalnych” od lat. To Einstein chyba mówił, że jak napotyka się taki problem, trzeba zawołać kogoś, kto nie wie, że jest „nierozwiązywalny”.

- Nowością będzie też zmiana zakresu kompetencji – zarówno Pana jako rektora, jak i prorektorki i prorektorów. Jakie są najważniejsze z tych zmian?

- Myślę, że wszystkie są ważne, ale dwie – kluczowe. Po pierwsze, połączenie kompetencji dotyczących studentów i kształcenia. Te obszary muszą być ściśle zsynchronizowane. Tu nie może być miejsca na komunikacyjne zakłócenia.

Po drugie, pojawienie się prorektora – w tym przypadku, prorektorki – odpowiedzialnej za promocję. Dobrze pamiętam czasy, gdy władze rektorskie uważały, że reklamowanie uniwersytetu jest poniżej akademickiej godności i nasza instytucjonalna gravitas w zupełności wystarczy, by spokojnie płynąć przez edukacyjne wzburzone morze. Ale te czasy już dawno się skończyły i nie wrócą. Jesteśmy w silnie konkurencyjnym środowisku i jeśli nie zadbamy o swój wizerunek i markę, będziemy mieć poważne kłopoty.

- Po dłuższej nieobecności powraca stanowisko prorektora, który zajmować się będzie finansami. Skąd ten pomysł?

- To obszar strategicznie ważny, a jednocześnie niestychanie delikatny i złożony. Zarządzanie finansami powinno zawsze być efektem dialogu między dwoma perspektywami – techniczno-księgową, reprezentowaną przez kwestora oraz akademicko-zarządczą, która powinna być reprezentowana przez przedstawiciela kolegium rektorskiego. Ta kwestia

jest bardzo różnie rozwiązywana na różnych uczelniach. Czasami są to rzeczywiście prorektorzy, czasami dyrektorzy finansowi. Ważne jednak, żeby finansowe decyzje o charakterze strategicznym zapadały w partnerskim dialogu, a nie były podejmowane jednostronnie.

- A propos finansów – bez nich żadna uczelnia publiczna nie tylko się nie rozwinie, ale i nie przetrwa. Czasy mamy specyficzne; wojna tuż za naszą granicą, więc trzeba dużo wydawać na obronność, programy socjalne mocno rozbudowane, więc i sporo kosztują, służba zdrowia w zasadzie wchłonie każde pieniądze. To tylko niektóre z priorytetów finansowych państwa. A jak pasuje się w tym wszystkim nauka i szkolnictwo wyższe?

- Z budżetowej perspektywy najważniejszym priorytetem państwa wydaje się być w tej chwili niestety obsługa zadłużenia – te wydatki rosną najszybciej. Ale zostawmy technikalnia. Polska nauka w stosunku do stawianych jej wymagań jest rażąco niedofinansowana. I to zarówno w wymiarze wynagrodzeniowym, jak i gdy chodzi o środki na badania.

System grantowy, w którym wskaźnik sukcesu oscyluje w okolicach 12–13%, jest po prostu niewydolny, a od strony psychologicznej silnie demotywuujący. Dochodzi do absurdów; statystycznie łatwiej uzyskać środki europejskie niż krajowe, ale żeby w praktyce uzyskać środki europejskie, trzeba mieć krajowe doświadczenie grantowe... i kółko się zamyka.

Od strony wynagrodzeniowej ostatnie „bezprecedensowe” podwyżki pozwoliły nam co najwyżej – i to nie we wszystkich grupach – dogonić inflację. A kolejne podniesienia płacy minimalnej dewastują system wynagrodzeń na uczelniach, spłaszczając go do poziomu znów ocierającego się o demotywuujący.

Do tego dochodzi fakt, o którym już mówiłem, iż uczelnie prowadzące wydziały medyczne i o sztuce są pomijane lub wyraźnie gorzej traktowane w niektórych algorytmach finansowania.

Oczywiście możemy i będziemy podejmować działania zmierzające do poprawy finansowej stabilności UMK i sytuacji finansowej naszych pracowników i pracowników, ale realistycznie możemy zrobić w tym obszarze niewiele, bez skutecznego lobbingu na rzecz zmiany niektórych regulacji ogólnokrajowych. Mogę Pana Redaktora i Czytelników zapewnić, że podejmujemy już w tym względzie bardzo ożywione wysiłki.

– Na spotkaniu z kadrami kierowniczą uniwersytetu można było usłyszeć wiele szczegółowych, konkretnych informacji, jak choćby tę, że UMK pod względem zatrudnienia i subwencji plasuje się na czwartym miejscu wśród polskich uniwersytetów (za Warszawą, Krakowem i Poznaniem). To nawet lepiej niż w rankingach uczelni, a zatem powód do dumy?

– Tak. Jesteśmy prawdziwie szerokoprofilowym uniwersytetem. Dzięki psychologii, weterynarii, stomatologii i pojawieniu się za chwilę (mam nadzieję) dyscypliny informatyka techniczna będziemy mogli powiedzieć, że jesteśmy uczelnią kompletną. To wartość sama w sobie, ale także sposób na przyciągnięcie studentów oraz stworzenie dobrego środowiska dla prawdziwie interdyscyplinarnych badań.

– Na tym samym spotkaniu można też było się dowiedzieć, że w innym rankingu jesteśmy jeszcze wyżej – na trzecim miejscu (po Uniwersytecie Warszawskim i Uniwersytecie Jagiellońskim), ale pod względem kosztów nauczania liczonych na studenta. To już powód do niepokoju. Dlaczego kształcimy tak drogo? Warszawa i Kraków to wielkie miasta. Toruń już nie.

– Możemy i powinniśmy kształcić znacznie więcej studentów. To nie jest kwestia, którą da się rozwiązać jednym pociągnięciem, bo też przyczyny wyzwań w tym obszarze są nader złożone. W skrócie – musimy zadbać o jakość kształcenia rozumianą z jednej strony jako wykorzystanie nowoczesnych metod i naszego olbrzymiego potencjału badawczego, z drugiej zaś, jako racjonalizację procesu dydaktycznego tak, żeby np. treści realizowane na studiach pierwszego stopnia nie były powielane na studiach drugiego stopnia.

Do tego musi dojść przemyślana strategia promocyjna i konsekwentne budowanie marki UMK oraz aktywna współpraca w regionie oraz w wymiarze międzynarodowym. Nie tylko musimy – i jesteśmy – obecni na międzynarodowych forach, gdzie podejmuje się działania lobbujące i decyzje, ale powinniśmy należycie pielęgnować relacje z licznymi instytucjami regionalnymi, którym autentycznie zależy na współpracy z uniwersytetem.

– A skoro już jesteśmy przy kosztach kształcenia; nie ułatwi nam ich obniżenia nowość w ofercie

UMK, czyli kierunek dentystryczno-lekarski. Po wszechnie wiadomo, że to nietanie w utrzymaniu studia. Wymagają nie tylko kadry, ale i drogiego zaplecza. Jak będziecie je (to chyba dobre słowo) implementować do oferty UMK, by nie nastąpiło tąpnięcie w finansach?

– Tak, ale kierunek lekarsko-dentystyczny był od wielu lat ambicją bydgoskiego środowiska medycznego. To już kolejne podejście do tematu i jestem zdeterminowany, by tym razem się udało. Studia już przecież ruszyły i mamy jeszcze dwa lata, żeby zadbać o zapewnienie odpowiedniej bazy dla treningu specjalistycznego.

Staramy się właśnie przy tej okazji nie zdezwastować finansów UMK i stąd chociażby alternatywny wobec adaptacji budynku przekazanego przez Bydgoszcz projekt budowy nowego obiektu w pobliżu Uniwersyteckiego Szpitala nr 2 im. Jana Bizuela. Jesteśmy Bydgoszczy wdzięczni za przekazanie nam w użytkowanie budynku przy ulicy Przemysłowej, bo to pozwoliło dopiąć formalności związane z powołaniem kierunku. Dokładna analiza pokazała jednak, że jego adaptacja i urządzenie byłyby znacznie droższe niż postawienie nowego obiektu w technologii modułowej. To z kolei daje nam szansę na dobre i terminowe wykorzystanie środków z KPO, na których uruchomienie z dużą niecierpliwością czekamy.

– Stomatologia wzbogaci ofertę Collegium Medicum. A propos Bydgoszczy – zarówno w kampanii wyborczej, jak teraz, już po inauguracji nowej kadencji, często powracał temat relacji bydgosko-toruńskich. Już 20 lat oba kampusy funkcjonują w ramach jednej uczelni. Partnerstwo – autonomia – integracja. Które z tych słów najlepiej opisuje dzisiejszy stan wzajemnych relacji? Które powinno być w przyszłości priorytetem?

– Pożądane są wszystkie te elementy, a mówię to z pełną świadomością. W każdym z tych obszarów mamy deficyty. Oznacza to jednak, że jest wiele miejsca na poprawę. Musimy zadbać o dalszą – zwłaszcza informatyczną – integrację obu kampusów. To z kolei pozwoli na zwiększenie dobrze rozumianej autonomii Collegium Medicum. A głębokie, strategiczne partnerstwo będzie efektem tego procesu.

Wiele osób i w Bydgoszczy, i w Toruniu zdaje sobie z tego sprawę i od 20 lat ciężko pracuje, by

właśnie integracja stała się podstawą autonomii i partnerstwa. Wszystkie te wysiłki chcemy kontynuować, a w miarę naszych sił i możliwości – wzmacniać.

– Wspominając 20-lecie wejścia bydgoskiej Akademii Medycznej w struktury UMK, dotknęliśmy ważnego dla dziejów toruńskiego uniwersytetu wydarzenia, a w zasadzie splotu wydarzeń. W najbliższym roku akademickim będzie to prawdziwa kumulacja jubileuszów. Określiliście to skrótowo: „20-40-80”. O „dwudziestce” już wspomnieliśmy. „Czterdziestka” – symbolizuje powstanie bydgoskiej Akademii Medycznej w 1984 roku, a „osiemdziesiątka” – wiek Uniwersytetu Mikołaja Kopernika. I co w związku z tym? Jakich wydarzeń możemy się spodziewać?

– 25 listopada w Filharmonii Bydgoskiej odbyło się uroczyste posiedzenie Senatu, podczas którego

wręczono wyjątkowe statuetki *Laurus Aeskulapii* dla najbardziej zasłużonych profesorów związanych z rozwojem Collegium Medicum. Bydgoskie rocznice zostały także upamiętnione w formie nowoczesnego muralu przy ul. Karłowicza.

Przez cały następny rok będziemy świętować powstanie Uniwersytetu Mikołaja Kopernika. Główne wydarzenia planujemy około 17–19 lutego. Rozpoczniemy od spotkań z rektorami innych uczelni, z ambasadorami UMK, ulicami Torunia przejdzie uroczysty orszak pod pomnik Mikołaja Kopernika, odbędą się koncerty i wystawy. 19 lutego w Centrum Kulturalno-Kongresowym Jordanki planowana jest Gala Nauki Polskiej.

Wydarzenia naukowe, kulturalno-artystyczne i popularyzujące wiedzę – będą nam towarzyszyć przez cały rok, o czym będziemy szeroko informować.

– Dziękuję za rozmowę.

Winicjusz Schulz

Z miłości i rozsądku

Z Toruniem i Uniwersytetem Mikołaja Kopernika jest trochę tak jak z dobrym wieloletnim małżeństwem: są ze sobą i z rozsądku, i z miłości. Nie ma Torunia bez uniwersytetu, nie ma uniwersytetu bez Torunia. Skazani na współpracę? Zapewne tak, ale nie jest to dobre słowo. Sugeruje przymus, imperatyw. Tu obie strony tego chcą i wiele mogą razem zrobić – i o tym mówiono w październiku na konferencji prasowej w CKK „Jordanki”.

Uniwersytet to największa i najważniejsza instytucja w mieście, to tysiące pracowników, ponad 12 tysięcy studentów, czyli znacząca część mieszkańców Torunia – tych stałych, i tych przybywających do miasta. Na to zwrócił uwagę prof. Andrzej Tretyn, rektor UMK.

Władze miasta reprezentował prezydent Paweł Gulewski. Wskazał trzy najważniejsze dziedziny, w których wspólne działania miasta i uniwersy-



Prezydent Paweł Gulewski i rektor prof. Andrzej Tretyn



tetu dają i mogą w przyszłości dać cenne efekty. To współpraca naukowa i artystyczna, wspieranie karier absolwentów (choćby poprzez staże w jednostkach samorządu lokalnego), promocja miasta oraz dziejących się w nim wydarzeń (miasto np. włączy się w obchody 80-lecia UMK).



Prof. Adam Kola

Uniwersytet miał licniejszą reprezentację – poza wspomnianym już rektorem prof. Andrzejem Tretynem w skład tej reprezentacji wchodziły osoby, które mogły szerzej wypowiadać się na temat szczegółowych dziedzin, w których uczelnia i miasto mogą z powodzeniem wspierać się i współpracować.

Prof. Maria Lewicka to słynna specjalistka od psychologii społecznej i środowiskowej. – Miasto jest nasze – stwierdziła. Czyli należy do mieszkańców, ale zapewne ilu mieszkańców, tyle opinii i potrzeb. I jakoś te interesy godzić trzeba. Odwołała się do przykładu toruńskiej Winnicy. Nie od dziś wiadomo, że jest to teren bardzo kuszący dla deweloperów, ale z drugiej strony urokliwy w obecnym kształcie. Czy jednak eksperyment, i to na skalę ogólnopolską, w postaci wejścia dzikiej przyrody do miasta się powiedzie? Co powiedzą mieszkańcy, gdy zamiast nowych domów, zadbanych skwerów, urządzonych miejsc parkingowych nagle ich oczom ukaże się na przykład dziki lis?

Na Winnicę miały też być przenoszone budynki z tzw. pruskiego muru (jeszcze do niedawna traktowane w Toruniu po macoszemu, masowo rozbierane, zwłaszcza gdy znajdowały się w atrakcyjnych dla deweloperów lokalizacjach). Prof. Lewicka dość sceptycznie odniosła się do tego pomysłu. Argument jest prosty i logiczny: budynek powinien funk-

cjonować w swoim środowisku. To ono nadaje mu charakter, w nie przez długie lata wrastał, tworzył dzieje takiego miejsca. Prof. Lewicka, odnosząc się z szacunkiem do walorów toruńskiej starówki, która przyciąga turystów z całego świata, wyraziła przekonanie, że także inne rejony warte są popularyzacji wśród przybyszów, na przykład Bydgoskie Przedmieście.

Ale Winnica to ledwie jeden z przykładów, w których warto wysłuchać głosu naukowców. Na wiele innych spraw zwrócił prof. Arkadiusz Karwacki, socjolog. Wspomniał o bardzo poręcznym narzędziu – barometrze potrzeb i aspiracji mieszkańców. Na bieżąco, regularnie badane mogą być cenną wskazówką także dla władz miasta.

Ale nie tylko na współczesności trzeba koncentrować uwagę. Toruń ma to szczęście (a zapewne według niektórych też nieszczęście), że gdziekolwiek wbije się tu łopata, tam odkrywa pamiątki przeszłości. Przed archeologami stawia to wyzwanie, a dla miasta pomoc tych specjalistów jest i będzie bezcenna. Przykładem tego tzw. kompleks Świętego Ducha przylegający do bulwarów czy kontrowersje wokół tzw. plantów, gdzie pod ziemią znajdują się relikty obiektów sakralnych, miejsca pochówków itd. Wiele o tych kwestiach mówił prof. Wojciech Chudziak, dyrektor Instytutu Archeologii UMK. Obszernie informowaliśmy także o obu tych sprawach w poprzednim numerze „Głosu”.

O innowacyjności zarówno miasta, jak i uniwersytetu wspominał prof. Adam Kola – prorektor UMK do spraw nauki. Dziedzictwo, historia są ważne. Istotne jest też patrzenie w przyszłość. I w tej materii współpraca UMK z władzami miasta może przynieść wiele pożytku.

A zatem spraw, którymi miasto z uniwersytetem mogą zajmować się wspólnie, jest wiele. Padło też w tym kontekście określenie „diagnoza”. Naukowcy ze swym warsztatem badawczym będą mogli ją postawić, precyzyjnie opisać zjawiska, przeanalizować, przedstawić sugestie, raporty.

– Określenie „diagnoza” kojarzy się powszechnie z lekarzem i pacjentem. Ale przecież niejednokrotnie diagnoza lekarza nie musi być taka, jakiej oczekuje pacjent. I co wówczas? Co w sytuacji, gdy naukowcy odkrywają, opiszą takie zjawiska, procesy, które nie będą po myśli władz miasta? – zapytałem prezydenta Pawła Gulewskiego. Obiecał, że każdy głos naukowców będzie brany pod uwagę.

Zdjęcia: Andrzej Romański



Prof. Arkadiusz Karwacki



Prof. Maria Lewicka



Prof. Wojciech Chudziak

Aż głowa boli

Z dr hab. Magdaleną Nowaczewską, prof. UMK, specjalistką neurologiem z Katedry Otolaryngologii i Onkologii Laryngologicznej na Wydziale Lekarskim, o przyczynach, objawach i leczeniu migreny rozmawia Tomasz Ossowski

- W jaki sposób, jakimi metodami rozpoznaje się migrenę? Jak odróżnia się ją od innych niemigrenowych bólów głowy?

- Diagnoza migreny jest stosunkowo łatwa – stawiamy ją na podstawie wywiadu z pacjentem. Wystarczy, aby lekarz szczegółowo wypytał pacjenta o cechy dokuczających mu bólów głowy. Wbrew powszechnie panującym przekonaniom, w większości przypadków nie jest konieczne badanie neuroobrazowe, czyli rezonans lub tomografia głowy. Takie badania wykonujemy tylko jeśli migrena nie jest typowa i mamy wątpliwości co do rozpoznania. Każdy typ bólu głowy ma swoje odrębne dokładne

kryteria diagnostyczne. Znając je, lekarz jest w stanie dopasować objawy pacjenta do danego typu bólów głowy. Bóle głowy różnią się najczęściej w zakresie lokalizacji, czasu trwania, nasilenia i objawów towarzyszących. Migrena na przykład trwa od 4 do 72 godzin. Jeśli pacjent zgłasza, że jego bóle głowy trwają godzinę i ustępują samoistnie, wiemy, że to nie migrena. Poza tym migrenowe bóle głowy powinny być jednostronne i pulsujące. Ale może się zdarzyć, że takie nie są i wówczas innym wyznacznikiem migreny jest narastanie bólu, o nasileniu umiarkowanym lub dużym, pod wpływem wysiłku fizycznego. Dodatkowo, podczas migreny pacjent powinien doświadczać nudności

lub wymiotów, ewentualnie też nadwrażliwości na światło i dźwięki. Migrena najczęściej jest mylona z napięciowym bólem głowy, który jest uciskający jak opaska, umiarkowanie nasilony, może trwać od 30 minut do kilkunastu godzin, nie ma objawów towarzyszących i nie wyłącza z funkcjonowania. Z racji pracy w Klinice Otolaryngologii spotykam również wielu pacjentów, u których podejrzewa się zatokowe bóle głowy, podczas gdy tak naprawdę chorują na migrenę. Tylko ostre lub zaostrome zapalenie zatok, przebiegające z objawami infekcji, czyli na przykład z gorączką, niedrożnością lub wyciekami z nosa, może powodować okresowe bóle głowy. Natomiast, przewlekłe zapalenie zatok nie powinno powodować napadów bóli głowy. Pacjenci często samodiagnostyzują u siebie zatokowy ból głowy, myśląc, że skoro ból jest zlokalizowany w okolicy zatok, to przyczyną muszą być właśnie zatoki. Dlatego trafiają do laryngologa, przechodzą wiele niepotrzebnych badań i procedur, przyjmują antybiotyki... To wszystko może być nieskuteczne, jeśli diagnoza jest nietrafiona.

- Jakie są przyczyny migreny?

- Migrena jest chorobą samą w sobie, najczęściej genetycznie uwarunkowaną. Pacjenci z migreną mają często krewnych z bólami głowy. Nie ma w związku z tym konkretnej przyczyny, dlatego u danego pacjenta występuje migrena, a u innego nie. To tylko geny, na które nie mamy wpływu. Choroba polega na tym, że mózg staje się nadwrażliwy na różne czynniki, najczęściej na stres, pośpiech, zmiany pogody, nieregularny sen i nieregularne posiłki. Natomiast jeśli już chorujemy na migrenę, jest wiele czynników, które mogą wywołać ból głowy u danego pacjenta. Niewiedza dotycząca przyczyn migreny jest często powodem niewłaściwego postępowania przez chorych. Często chodzą oni do poradni specjalistycznych i poddawani są zbytecznym badaniom, mającym na celu wykluczenie poszczególnych, potencjalnie rzadkich, innych przyczyn bólu, a nikt nie skupia się na leczeniu właściwej choroby, czyli migreny. Z tych wielu badań najczęściej nic nie wynika, jest to zły kierunek postępowania. Oczywiście, czasem badania są konieczne, ale równolegle należy rozpocząć leczenie. W klasycznej migrenie wyniki wszystkich badań są w normie, nie stwierdza się dodatkowych chorób, a problemem jest tylko ból głowy, który w tym przypadku sam w sobie jest chorobą.

- **Za swoistą przyczynę można uznać stres emocjonalny, gdyż objawy migreny mogą wystąpić w wyniku zarówno napięcia stresowego, jak również odprężenia postresowego.**

- Tak, podkreślam jednak, że stres jest przyczyną występowania ataków bólu głowy u osoby już cierpiącej na migrenę, nie jest natomiast przyczyną samej choroby. U osoby, która nie ma migrenowego, nadwrażliwego mózgu, żaden stres, nawet silny nie spowoduje bólu głowy. To tak jak u pacjentów z nadciśnieniem, stres może wywołać skok ciśnienia, ale nie jest przyczyną choroby.

- Atak migreny może rozpocząć się podczas sytuacji stresowej lub następnego dnia, kiedy stres ustąpi. Jeśli doświadczamy codziennie dużo stresu, to zwiększa się częstotliwość ataków migreny. Poza tym, czynnikiem prowokującym ataki może być nieregularny sen, i to wynikający zarówno z nieprzespanej nocy, jak i zbyt długiego snu w weekend lub z nieregularnego rytmu snu w związku z pracą zmianową. Innym czynnikiem może być nieregularne jedzenie, najczęściej zbyt rzadkie posiłki lub zbyt długie pozostawianie na czczo. Wśród pozostałych powodów wymienia się wahania hormonalne, na przykład w okresie okołomiesiączkowym, alkohol, zmianę pogody, ostre zapachy, niektóre pokarmy. Może się też zdarzyć, że nasze życie jest idealne, regularne, a i tak bóle głowy występują. Migrena to nadwrażliwy mózg, który może reagować bólem w różnych sytuacjach, czasem od nas niezależnych. Nie zawsze znajdziemy konkretną przyczynę bólu, dlatego lepiej skupić się na leczeniu choroby tak, aby ból nie występował.

- Jak często występuje migrena i kogo najczęściej dotyka?

- Migrena dotyka najczęściej młode kobiety w wieku od 15 do 50 roku życia. Okazuje się, że w tej grupie co 4 kobieta może mieć migrenę. Zastanówmy się – z tej statystyki wynika, że każdy z nas ma w swojej rodzinie lub wśród przyjaciół osoby z tą chorobą. Mężczyźni również miewają migrenę, ale znacznie rzadziej. Jeśli weźmiemy pod uwagę całą populację, 12-14% miewa migrenę. Choroba uznana jest za najczęstszą przyczynę niesprawności w grupie młodych kobiet. Możemy oburzać się na to stwierdzenie: Jak to niesprawność? Przecież to tylko ból głowy! Ale to niepraw-

da, migrena to nie tylko ból głowy, ale również wymioty, światłowstręt, osłabienie. Pacjentka z migreną często nie jest w stanie wstać z łóżka, iść do pracy, zajmować się dziećmi. Musi leżeć w ciemnym i cichym miejscu z uwagi na światłowstręt i nadwrażliwość słuchową. W związku z tym pacjentki z bólem migrenowym nie są w stanie funkcjonować w pełnym zakresie.

- W tym kontekście migrena bywa chorobą... niewdzięczną, ponieważ chorzy, oprócz samych przypadłości migrenowych, często muszą zmagać się ze środowiskową czy wręcz społeczną dezaprobatą.

- Niestety w społeczeństwie wciąż pokutuje wiele mitów dotyczących migreny. Uważa się, że jest ona przypadłością księżniczek czy arystokratek, kobiet szukających wymówki od pracy lub innych obowiązków. Pacjentki są niezrozumiane przez rodzinę, współpracowników, a nawet niektórych lekarzy. Wmawia się im, że migrena to taka uroda i trzeba nauczyć się z nią żyć. Osoba, która nigdy nie miała migreny, nie zrozumie migrenika. Nie jest w stanie wyobrazić sobie jaki to silny ból, jak ciężko rano otworzyć oczy, wstać, zrobić cokolwiek. Z badań wynika, że często partner osoby z migreną nie wierzy w jej ból, to niepokojące. A co z innymi – współpracownikami, szefami, znajomymi... Wbrew powszechnym przekonaniom, ta choroba podstępnie wywraca do góry nogami życie zawodowe i prywatne. Czasem pacjentki nie szukają pomocy, bo utrwała się u nich schemat: moja babcia miała migrenę, mama miała migrenę, one leżały i cierpiały, a więc ja też tak muszę. Najgorzej, jeśli trafią do lekarza, który zbagatelizuje objawy i nie zastosuje leczenia.

- Migrena klasyfikowana jest jako przewlekła napadowa choroba neurologiczna, ale może również skutkować objawami okulistycznymi czy zaburzeniami gastrycznymi?

- Część pacjentów miewa aurę migrenową, która jest jedną z czterech faz migreny. Aura to objawy zwiastujące, które występują bezpośrednio przed bólem głowy. Są to najczęściej objawy wzrokowe: błyski, zygzaki, mroczki w polu widzenia. Często pacjent jest w pracy, przy komputerze i nagle pojawiają się błyski, niedowidzi, to wszyst-

ko narasta, a po 15–60 minutach przechodzi i pojawia się typowy ból głowy. Zaburzenia gastryczne występują w większości ataków i są połączone z bólem. Podczas migreny nie można jeść, pacjent odczuwa nudności, czasem wymiotuje, może zdarzyć się biegunka. U dzieci obserwujemy migrenę brzuszną – napadowe bóle brzucha z nudnościami bez widocznej przyczyny.

- Czy jest związek migreny z zawrotami głowy?

- Pacjenci z migreną często zgłaszają dodatkowo obecność zawrotów głowy podczas ataku bólu. Zdarza się, że chorzy mają również ataki samych zawrotów głowy – nazywamy to migreną przedsionkową. Takich przypadków jest coraz więcej. W swojej praktyce lekarskiej w Klinice Otolaryngologii często spotykam pacjentów z napadowymi zawrotami głowy, duża część ma zawroty migrenowe, czyli właśnie migrenę przedsionkową. W czasie ataku migreny przedsionkowej pacjent nie musi odczuwać bólu, odczuwa tylko zawroty, a dodatkowo ma inne objawy migreny jak nudności czy światłowstręt. Najczęściej moje pacjentki to kobiety po menopauzie, które w przeszłości miewały migrenę, a teraz nie mają już ataków migreny, tylko ataki zawrotów głowy. Ten typ migreny można leczyć, niestety jest u nas zbyt rzadko diagnozowany, a pacjenci z napadowymi zawrotami błędzą od neurologa do laryngologa, pozostając bez rozpoznania i leczenia.

- Wspomniała Pani o fazach migreny. Pierwsza to faza zwiastunowa.

- Inaczej prodromalna. Pacjenci, pomimo braku bólu głowy, wiedzą, że atak nadchodzi. Czują się inaczej, ziewają, mają zachcianki pokarmowe, wahania nastroju, są bardziej drażliwi. Ta faza nie zawsze występuje, zwłaszcza jeśli budzimy się rano już z rozwiniętym bólem głowy.

- Drugą fazą jest wymieniona już aura migrenowa. Jak często występuje i czy każdy chorujący na migrenę doświadcza tej aury?

- Można powiedzieć, że aura przeważnie nie występuje, ponieważ miewa ją tylko 10–20 procent pacjentów. Może się też zdarzyć, że wystąpi sama aura, bez migrenowego bólu głowy. Jak już mówiłam, aura jest najczęściej wzrokowa, rzadziej może objawiać się drętwieniem lub osłabieniem

połowy ciała lub trudnością z wystowieniem się. Kiedy wystąpi po raz pierwszy, budzi znaczny niepokój u pacjenta, ponieważ objawy mogą być podobne do objawów udaru. Z czasem, kiedy aura pojawia się często i zawsze ustępuje, pacjent oswaja się z nią. Ale jednak zawsze pozostaje lęk, że może nie ustąpić.

- Kolejna faza to niejako „właściwy” ból głowy, któremu jednakże mogą towarzyszyć, wspomniane w rozmowie, dodatkowe objawy charakterystyczne dla innych chorób.

- Tak, ból początkowo jest niewielki, stopniowo narasta do silnego. Już na początku powinno być zastosowane leczenie doraźne, które może przerwać ból. Jeśli takiego leczenia nie wdrożymy, lub pacjent zażyje tabletkę zbyt późno, pojawiają się nudności, wymioty, światłowstręt i nadwrażliwość na dźwięki, czasem na zapachy. Dodatkowo w czasie bólu głowy pacjenci mogą zgłaszać sztywność i ból szyi, łzawienie, uczucie zapchanego nosa, szum uszny.

- Czwartą z kolei fazę stanowią objawy postzwistunowe.

- Po migrenie, kiedy ból przejdzie, pacjent może być zmęczony, rozdrażniony, spowolniony, osłabiony. Czasem zasypia na dłuższy czas. Ma problem z koncentracją i pamięcią. To często kolejny dzień „wymazany z życiorysu” – głowa już nie boli, ale nadal funkcjonowanie jest trudne.

- Na które objawy, występujące w poszczególnych fazach, zwraca się szczególną uwagę ze względu na ich potencjalne niebezpieczeństwo dla zdrowia chorego?

- Jeśli aura przedłuża się, czyli trwa dłużej niż 60 minut lub jeśli aura pojawia się podczas bólu głowy, a nie przed bólem, powinniśmy pilnie skontaktować się z lekarzem. Wówczas konieczne jest badanie neuroobrazowe. Niepokoi nas, jeśli w czasie aury lub bólu głowy wystąpi niedowład, czyli potocznie „paraliż” połowy ciała. W rzadkich przypadkach migrena może doprowadzić do udaru. Ale ryzyko jest tylko nieznacznie podwyższone, częściej dotyczy kobiet, które palą papierosy, są otyłe i stosują złożoną antykoncepcję hormonalną. Jeśli atak migreny przedłuża się powyżej normy i ból trwa dłużej niż 3 dni, mówimy o stanie migrenowym.

wym. Zalecamy wówczas wizytę na SOR lub kontakt w lekarzem prowadzącym.

- Czy w ogóle migrena jest chorobą groźną czy może raczej „tylko” przykrą dla pacjenta? Czy grozi powikłaniami?

- Ryzyko zgonu w migrenie nie jest wyższe niż w populacji ogólnej. Można sobie zaszkodzić, nadużywając ogólnie dostępnych leków przeciwbólowych, aplikowanych samodzielnie bez nadzoru specjalisty. Niestety, większość osób, skupiając się tylko na tym, by jak najszybciej przestało boleć, nie zastanawia się nad konsekwencjami długotrwałego niekontrolowanego przyjmowania leków przeciwbólowych. Leki te są szkodliwe nie tylko dla żołądka, o czym większość chorych wie, ale też dla serca lub nerek. Rekordziści tykają po kilka tabletek dziennie, rozwijając polekowe bóle głowy. Najczęstszym powikłaniem migreny jest znacznie obniżona jakość życia. Częste i nieprzewidywalne ataki prowadzą do lęku, depresji, zaburzeń snu. Migrena wpływa na pracę i rodzinę pacjenta – często dochodzi do zwolnień z pracy, braku awansu, związki małżeńskie lub partnerskie rozpadają się przez migrenę.

- A jednak w doraźnym leczeniu migreny leki przeciwbólowe wydają się nieodzowne. Jak pacjenci mogą ustrzec się błędnego koła, gdy przyjmowanie leków przeciwbólowych może prowadzić do rozwoju polekowego bólu głowy.

- W leczeniu ataku migreny stosujemy na początku zwykłe leki przeciwbólowe, jak paracetamol lub ibuprofen. Ważne, aby stosować je w dużej dawce i jak najszybciej od rozpoczęcia bólu głowy, najlepiej w fazie, gdy ból jest jeszcze niewielki. Niestety, te zwykłe leki są najczęściej nieskuteczne, wówczas sięgamy po tryptany, specjalistyczne leki przerywające atak migreny. W Polsce mamy do wyboru 4 różne tryptany, w tym jeden z nich jest dostępny bez recepty. Tryptany są zwykle skuteczniejsze niż zwykłe leki, szybciej przerywają ból i pozwalają na powrót do normalności. Najnowsze leki doraźne to gepanty, dają najmniej objawów ubocznych, działają długo, a ich nadużywanie nie powoduje polekowych bólów głowy. Dobrze dobrane doraźne leczenie migreny powinno skutkować całkowitym ustąpieniem napadu

bólu w ciągu 1–2 godzin. Zwykłe leki przeciwbólowe lub tryptany, jeśli są nadużywane, prowadzą do rozwoju bólów głowy „z odbicia”, czyli polekowych, to znaczy, że im częściej je stosujemy, tym częściej mamy dodatkowe bóle głowy, którymi nasz mózg upomina się o kolejną tabletkę. Jeśli nie przerwiemy błędnego koła, po pewnym czasie rozwiniemy codzienny ból głowy. Aby zapobiec polekowym bólom głowy, nie powinniśmy stosować zwykłych leków przeciwbólowych częściej niż 15 dni w miesiącu, a tryptanów lub leków złożonych częściej niż 10 dni w miesiącu. Najbardziej uważamy na preparaty z kodeiną, które są niestety dostępne bez recepty. Z badań wynika, że w Polsce są one najczęściej nadużywane, a ponieważ kodeina jest opioidem, szybko prowadzi do uzależnienia. Aby uniknąć nadużywania leków przeciwbólowych lub tryptanów, należy zastosować leczenie profilaktyczne. Nieleczona migrena epizodyczna może przekształcić się w migrenę przewlekłą.

- Co oznacza przewlekłość migreny?

- Migrena jest chorobą przewlekłą, ale formalnie dzielimy ją na postać epizodyczną z rzadkimi atakami i postać przewlekłą, kiedy ataki są bardzo częste. Z definicji wynika, że jeśli pacjent ma przynajmniej 15 dni z jakimkolwiek bólem głowy, a w tym 8 dni z bólem typowo migrenowym – możemy rozpoznać migrenę przewlekłą. Czyli, jeśli przez większą część miesiąca miewamy bóle głowy, a dni całkowicie bez bólu są w mniejszości, to mamy migrenę przewlekłą. Ten typ choroby wymaga zdecydowanego, specjalistycznego leczenia, a nieleczony prowadzi do wielu wymienionych przeze mnie wcześniej powikłań. Aktualnie w Polsce pacjenci z migreną przewlekłą mają bezpłatny dostęp do nowoczesnych metod leczenia w programie B133 NFZ.

- A na ile migrena jest wyleczalna jako choroba... przewlekła?

- Nie możemy wyleczyć migreny, tak jak nie możemy wyleczyć na przykład cukrzycy. Ale zmieniając tryb życia i stosując odpowiednie leczenie, możemy sprawić, że ataków nie będzie lub będą rzadsze, a jeśli już zacznie się ból to odpowiednio dobrane leki mogą spowodować, że szybko ustąpi i będziemy mogli wrócić do „normalnego” życia.

Często też migrena samoistnie wycisza się u kobiet w okresie pomenopauzalnym, niestety nie zawsze.

- Na czym polega profilaktyczne leczenie migreny?

- Jeśli pacjent ma atak raz z miesiąca lub rzadziej i dobierzemy skutecznie leki doraźne – szybko przerywające ból, nic więcej nie musimy robić. Natomiast gdy ataki bólu są częstsze, 3–4 lub więcej w miesiącu – należy wdrożyć leczenie zapobiegawcze, inaczej profilaktyczne. Mamy obecnie różne formy takiego leczenia, na przykład klasyczne leczenie tradycyjnymi lekami doustnymi z grupy beta-blokerów, przeciwpadaczkowych lub antydepresantów. Takie leczenie musi być stosowane codziennie, niezależnie od bólu, przez przynajmniej 3 miesiące. Jeśli to leczenie jest nieskuteczne lub prowadzi do objawów ubocznych, możemy zastosować leki nowej generacji – przeciwciała monoklonalne przeciwko białku CGRP podawane podskórnie we wstrzyknięciach co 1 lub 3 miesiące, toksynę botulinową (tylko w migrenie przewlekłej) lub gepanty. To nowoczesne leczenie jest bardzo skuteczne, ma dobry profil bezpieczeństwa i może być stosowane przez wiele miesięcy, a objawy niepożądane występują bardzo rzadko. Dobrze dobrane leczenie profilaktyczne powinno zmniejszyć liczbę dni z bólem o przynajmniej 50–75%, a czasem nawet o 100%. Dla pacjentów z migreną przewlekłą (czyli taką formą migreny, gdzie bóle głowy występują przez więcej niż 15 dni w miesiącu lub codziennie), u których tradycyjne leczenie było nieskuteczne, przeciwciała i toksyna botulinowa mogą być refundowane właśnie w ramach wspomnianego programu B133 NFZ leczenia migreny przewlekłej. Ale trzeba tu też podkreślić, że dobór skutecznego leczenia migreny, jako choroby przewlekłej, nierzadko odbywa się metodą prób i błędów, co wymaga cierpliwości pacjenta.

- Czy można uniknąć lub choćby zmniejszyć ryzyko zachorowania na migrenę, na przykład poprzez zdrowy tryb życia?

- Jeśli w rodzinie mamy przypadki migreny, to istnieje większe ryzyko, że pojawi się u nas, więc nie mamy na to wpływu. Natomiast aby zapobiegać atakom migreny, czyli spowodować, że będą rzadsze, powinniśmy stosować się do pewnych reguł jeśli chodzi o codzienny tryb życia. Najważ-

niejszy jest regularny i odpowiednio długi sen. Powinniśmy ustalić sobie stałe godziny snu i, również w weekendy, zasypiać i budzić się o stałej porze. Sen powinien trwać 7-8 godzin. Jedzmy często, zdrowo, nie pomijajmy posiłków, uważajmy na odpowiednie nawodnienie. Unikajmy glutamianu sodu, alkoholu, nadmiernej ilości kofeiny. Zaleca się też regularny wysiłek fizyczny, co najmniej 3 razy w tygodniu. Unikajmy stresu, jeśli pacjent jest zbyt emocjonalny i nadmiernie reaguje na zwykły stres – zaleca się kontakt z psychologiem, wdrożenie różnych technik relaksacji i naukę radzenia sobie ze stresem. Warto suplementować magnez,

najlepiej wysokowchłanialny cytrynian w dużych dawkach, a także koenzym Q10 i witaminę D3. Warto zbadać poziom i uzupełnić ewentualne niedobory witaminy B12 i kwasu foliowego. Jednak w przypadku migreny częściej, przewlekłej – nic nie zastąpi wizyty u specjalisty. Warto szukać pomocy, bo dobrze dobrane leczenie może zmienić życie na lepsze.

- **Dziękuję za rozmowę.**

Zdjęcia nadesłane



Upały, susze, gwałtowne deszcze i powodzie to nasza nowa rzeczywistość

W połowie września tego roku grupa ponad dwudziestu naukowców i naukowczyń z całej Polski (lista sygnatariuszy jest wciąż aktualizowana) wystosowała do Sejmu RP Apel o podjęcie działań mających powstrzymać zmiany klimatyczne oraz działań adaptacyjnych do tych zmian.

Publikujemy treść Apelu wraz z komentarzami trojga naszych naukowców; prof. dr hab. Ewy Bińczyk i dr. Adriana Wójcika (sygnatariuszy Apelu) oraz klimatolożki dr Aleksandry Pospieszyńskiej. Poprosiliśmy też doktorantkę z Instytutu Psychologii mgr Dominikę Jurgiel, zajmującą się radykalnymi ruchami ekologicznymi, o kilka słów na temat ich efektywności.

Szanowny Panie Marszałku, Panie Parlamentarzystki,
Panowie Parlamentarzyści,

ostatnie dni w Polsce to podręcznikowy tydzień upływający w dobie zmieniającego się klimatu. Gwałtowne opady deszczu i gwałtowne powodzie, z którymi mierzy się dziś południe Polski, poprzedziły fale upałów z temperaturą oscylującą wokół 30 stopni Celsjusza, niespotykane dotychczas w Polsce o tej porze. Od 3 do 9 września wystąpiło sześć rekordowo ciepłych dni z rzędu. Gdy w końcu nadeszły opady, ich skala osiągnęła katastrofalne rozmiary, skutkując zalaniem wielu miejscowości i stratami istnień ludzkich ratowanych ogromnym wysiłkiem służb. Jednocześnie, w Polsce nadal utrzymuje się obniżony poziom wody w rzekach i jeziorach, określane jako susza hydrologiczna.

To nie jest pojedyncze odstępstwo od normy. To nowa rzeczywistość, o której nadejściu środowiska naukowe i strona społeczna informowały od bardzo dawna. Jej konsekwencje będą wielorakie: od obniżenia komfortu życia i podniesienia kosztów życia, przez zagrożenie dla zdrowia i życia obywateli, nieodwracalne zniszczenie przyrody w Polsce, rosnące koszty gospodarcze po destabilizację społeczną. Już dziś skutek suszy

rosną ceny żywności, fale upałów przyczyniają się do wzrostu hospitalizacji, szczególnie wrażliwych pacjentów, a powodzie i podtopienia powodują straty po stronie państwa, przedsiębiorców i obywateli Polski.

Ostrzegaliśmy, a nie widzimy skutecznej inicjatywy politycznej mającej na celu uchronienie obywateli przed skutkami zmiany klimatu. Przez lata kolejne rządy konsekwentnie ignorowały potrzebę zmian, transformację energetyczną odkładając, w najlepszym wypadku, na półkę. Toczy się ona teraz bez kontroli, raczej wskutek globalnych megatrendów. Przeprowadzają ją obywatele, lokalne społeczności i przedsiębiorcy, oddolnie widząc potrzebę zmian prowadzących do obniżenia emisji. Zarówno na poziomie kraju, jak i samorządów, miast i wsi brakuje opartych o wiedzę naukową strategii adaptacji do zmiany klimatu – na przykład susz i gwałtownych powodzi, które obserwujemy w tym tygodniu. Brak nam poważnego potraktowania tego wyzwania i jego systemowego rozwiązania. Tymczasem problem ten z każdym dniem będzie rzucał się większym cieniem na życie wszystkich obywateli Polski.

Dlatego apelujemy o rozpoczęcie poważnej debaty parlamentarnej o sposobach wyjścia z kryzysu klimatycznego, przyspieszeniu procesu dekarbonizacji całej gospodarki Polski, a także nadania trybu priorytetowego adaptacji do zmiany klimatu. Zadajemy głośno pytanie: Co państwo robicie, by chronić obywateli przed skutkami spowodowanej przez człowieka zmiany klimatu? Wydarzenia ubiegłego tygodnia to jasny sygnał, że nie ma czasu na odwlekanie tej dyskusji. Bez tego trudno będzie zagwarantować bezpieczną przyszłość nam wszystkim.

Jesteśmy otwarci na rozmowę z Państwem w celu wyznaczenia mapy drogowej wychodzenia z kryzysu klimatycznego. Wyrażamy nadzieję, że podejmiecie Państwo pracę nad przyspieszeniem dekarbonizacji gospodarki Polski i podjęciem innych niezbędnych działań adaptacyjnych do zmiany klimatu w zgodzie z najnowszą wiedzą naukową i przy wsparciu środowisk eksperckich.

Ewa Bińczyk

W drugiej połowie października otrzymaliśmy informację, że minister nauki Dariusz Wiczorek chciałby się spotkać z sygnatariuszami Apelu oraz naukowcami zaangażowanymi w działania proklimatyczne. Jednak to nie wyłącznie ministerstwa nauki, edukacji czy klimatu powinny reagować. Potrzeba opracowania strategii na poziomie ogólnokrajowym. Nie chodzi już tylko o edukację klimatyczną.

Emisje gazów cieplarnianych i zasobożerność gospodarek stale rosną, a ludzkość tkwi w swego rodzaju marazmie, jeśli chodzi o skuteczną politykę prośrodowiskową. Lasy nadal są wycinane, bo to opłacalne. Inwestujemy w autostrady i auta zamiast w transport publiczny, stymulujemy konsumpcję. Nie umiemy sobie wyobrazić innej codzienności. Wszystko to wbrew przestrogom ekspertów i postulatam ekonomistów ekologicznych, którzy apelują o programy wystudzenia zasobochłonności i energożerności gospodarek.

W świetle tego, co przewidywali klimatolodzy i badacze nauki o systemach Ziemi, narastająca częstotliwość anomalii pogodowych to właśnie to, czego mieliśmy się spodziewać; wrześniowe upały, susza hydrologiczna, niski poziom wody w rzekach w części kraju i brutalna powódź w Polsce, którą przyniósł niż Borys. Badacze potwierdzili już związek tego ostatniego z destabilizowaniem się klimatu (<https://www.climameter.org/20240913-15-storm-boris>, 1.11.2024.). W tej chwili Hiszpanie szacują potworne straty po powodziach błyskawicznych w regionie Walencji, również wiązanych z procesami nadchodzącej katastrofy klimatycznej.

Coraz częściej widzimy, że w pewnym okrutnym sensie do zmiany klimatycznej nie trzeba już



Ewa Bińczyk, fot. Anna Rezulak

dzisiaj nikogo przekonywać. Systemy planetarne – biosfera, atmosfera, hydrosfera i litosfera naprawdę nie dbają o to, że politykom w Polsce nie opłaca się poparcie Zielonego Ładu, bo urażą elektorat. Stockholm Resilience Center, powołane w 2007 roku międzynarodowe centrum badawcze, zaalarmowało we wrześniu zeszłego roku, że ludzkość naruszyła już sześć z dziewięciu granic planetarnych. Przekraczanie tych parametrów oznacza, że na Ziemi nie utrzyma się życie, które znamy – życie epoki holoenu. Chodzi o 1) zanieczyszczenie chemiczne (wytworzone przez przemysł środki chemiczne, plastik, nanomateriały, substancje radioaktywne, organizmy GMO) 2) zużycie wody pitnej 3) zagospodarowanie powierzchni lądowych 4) destabilizację obiegu azotu i fosforu (cykli biogeochemicznych) 5) zmianę klimatyczną oraz 6) tempo utraty bioróżnorodności (proces określany przez naukowców mianem „anihilacji biosfery”).

We wrześniu tego roku z kolei Instytut Badań nad Skutkami Klimatu w Poczdamie podał, że być może przekroczyliśmy także siódmą z wymienionych granic – dopuszczalny stopień zakwaszenia oceanów. Oceany, które obejmują około ¾ powierzchni planety, absorbujące jedną czwartą dwutlenku węgla emitowanego przez ludzi, mogą wkrótce przestać to robić. To moim zdaniem najważniejsze informacje ostatnich lat. Tylko dwie z dziewięciu granic wydają się bezpieczne – kondycja warstwy ozonowej i zanieczyszczenie atmosferyczne (ilość związków chemicznych emitowanych do atmosfery, wpływających m.in. na cykle monsunowe). Dodałabym jednak, że z określeniem stopnia zanieczyszczenia atmosferycznego mamy po prostu trudności metodologiczne.

Dekarbonizacja jest zazwyczaj interpretowana jako kompleks zmian o charakterze technologicznym; inwestycje w odnawialne źródła energii, nowe paliwa, auta i rowery elektryczne itd. Tak naprawdę jednak dekarbonizacja to przede wszystkim zmiana społeczno-kulturowa. Chodzi o zmianę priorytetów i praktyk społecznych we wszystkich sektorach – produkcji, transportu, pracy, zamieszkiwania, rozrywki. W tym duchu najbardziej ekologiczny dom to ten, który *nie zostanie* zbudowany, a najbardziej ekologiczny laptop albo smartfon to te, *które już masz* – nie powinieneś ich wymieniać na nowe. Najbardziej ekologiczne wakacje to “staycation” – pozostanie na miejscu, w regionie. Najlepsza suszarka na pranie to wcale nie suszarka elektryczna, ale tradycyjny sznurek na balkonie itd. Parkingów w miastach powinno

być mniej, a nie więcej, powinniśmy jak szaleni dofinansowywać w tej chwili transport publiczny, pompy ciepła, przesył energii, tzw. miasta 15-minutowe.

W kontekście kolejnych powodzi błyskawicznych tam, gdzie to możliwe, trzeba przesuwać wały, zmienić plany zabudowy, dobudowywać zbiorniki retencyjne. Potrzebujemy kompleksowej analizy biorącej pod uwagę to, że tego typu szalone opady się powtórzą. Musimy inaczej myśleć o gospodarce leśnej. Przestać traktować lasy jak wielki sklep z drewnem. Przywrócić mokradła, a nie je osuszać. W Polsce mamy Centrum Ochrony Mokradeł, mamy wyliczenia pokazujące, o ile mniejsze kary płacilibyśmy za emisję gazów cieplarnianych, gdybyśmy przywracali mokradła. Względnie tanie przywrócenie mokradeł na ścianie wschodniej, podniosłoby też bezpieczeństwo Polski w obliczu agresywnej polityki Putina. Jak widać, mówimy tu o szeroko zakrojonych zmianach gospodarczych oraz politycznych.

Adrian Wójcik

Wiedza o zmianie klimatu różni się od wielu innych zagadnień naukowych. Politolodzy powiedzieliby, że jest to tzw. wiedza wpływająca na polityki społeczne (*policy-relevant science*). Świadomość stanu klimatu i środowiska naturalnego bezpośrednio przekłada się na motywację do podejmowania kroków w celu ograniczenia ich najgorszych skutków, a także prowadzi do zaangażowania politycznego naukowców zajmujących się tymi tematami.

Mało kto nie akceptuje dzisiaj wiedzy o zmianie klimatu i o tym, że jest ona powodowana działalnością człowieka. Jednocześnie jednak wciąż nie podejmuje się działań, które pozwoliłyby ją zatrzymać. Dzieje się tak pomimo głosu środowisk naukowych,



Adrian Wójcik, fot. Andrzej Romański

które wcielają się tu w rolę sygnalistów alarmujących o negatywnych skutkach zmiany klimatu dla ludzkości. Ponad 30 lat temu powołano Międzynarodowy Zespół ds. Zmian Klimatu przy ONZ – komitet naukowy, który zajmuje się integracją wiedzy na temat zmiany klimatu i jej skutków. Komitet opublikował do tej pory sześć raportów podsumowujących stan wiedzy o klimacie (ostatni w 2021 roku). Każdy z nich brzmi coraz bardziej alarmistycznie oraz – niezależnie od szczegółów – podkreśla, że za obecną zmianę klimatu odpowiada ludzka działalność oraz że należy podjąć natychmiastowe działania mające zredukować emisje gazów cieplarnianych.

Głosy te w dużej mierze ignorowano albo aktywnie zagłuszano. Historyczka nauki Naomi Oreskes wskazuje na zorganizowaną kampanię dezinformacyjną, która miała na celu podważyć zaufanie do naukowców zajmujących się klimatem i podważyć pewność występowania zmian. Dzisiaj rzadko tylko neguje się samo występowanie zmian klimatycznych, podważa się natomiast potrzebę podejmowania działań prośrodowiskowych tu i teraz. Politycy, liderzy opinii czy biznesmeni często przekładają odpowiedzialność na inne kraje, odsuwają działania w czasie lub promują symboliczne, nieskuteczne działania na rzecz klimatu. To zmienia też rolę naukowców, którzy nie mogą ograniczać się do informowania o zmianach klimatycznych, ale muszą działać na rzecz konkretnych rozwiązań.

Naukowcy zajmujący się ochroną środowiska nie mogą zrezygnować z prób dotarcia do polityków. Działania jednostkowe, powstrzymywanie się od nadmiernej konsumpcji, redukcji zużycia energii czy ograniczenia wykorzystania samochodu są ważne. Ograniczają zmianę klimatu, oferują również ludziom poczucie sprawczości wobec niej. Niemniej jednak same w sobie są niewystarczające i jedynie spowalniają proces zmian. Dodatkowo nadmierne skupienie na działaniach jednostek może przenosić odpowiedzialność z instytucji i firm na pojedyncze osoby i odwracać uwagę od konieczności wprowadzenia zmian systemowych.

Działania polityczne dodatkowo mogą połączyć wiedzę o zmianie klimatu i poparcie dla rzeczywistych polityk środowiskowych. Na przykład, choć większość Europejczyków wierzy w zmianę klimatu, jedynie jedna trzecia popiera podatki proekologiczne. Brakuje zaufania do polityków, że będą oni w skuteczny sposób działać na rzecz ochrony środowiska. Nawet jeżeli ludzie chcieliby działać na rzecz ochrony klimatu, to nie wierzą, że instytucje

państwowe zrobią to skutecznie. Niewiara ta jest szczególnie obecna wśród młodych ludzi, jak pokazywały badania opublikowane w 2021 roku w piśmie „Lancet” – 59 procent z nich uważa, że zostało zdradzonych przez polityków, jeżeli chodzi o walkę ze zmianą klimatu. Politycy natomiast często twierdzą, że mogą podejmować bardziej stanowcze działania dopiero, gdy będą mieli silne wsparcie społeczne. Jednak to wsparcie już istnieje – trzeba tylko skutecznie je nagłośnić i zacząć działać.

Aleksandra Pospieszyska

Sytuację, którą obserwowaliśmy we wrześniu tego roku, można przypisać tylko charakterowi naszego przejściowego klimatu. Jednak takie podejście – bez uwzględnienia naszej wiedzy na temat zmian klimatu – jest niepełne i może maskować narastający problem. O tym, że w różnych obszarach Polski może jednocześnie występować susza oraz wezbrania i powodzie, wiemy z historii. Niejednokrotnie, również w czasie przed pomiarami instrumentalnymi, miało miejsce współwystępowanie fal upałów, susz i regionalnych powodzi wywołanych ulewnym deszczem, czego opisy znajdujemy w źródłach historycznych. Podobnie jak w historii obecne konsekwencje dla środowiska i działalności człowieka mogą być poważne.

Zmiany klimatyczne mają różną skalę czasową oraz przyczyny. Dowody o klimacie w historii czerpiemy z różnego rodzaju źródeł – dokumentów historycznych, przyrostów rocznych drzew, a dla dalekiej historii klimatu – z osadów i struktur geologicznych. Na ich podstawie przeciwnicy antropogenicznego wpływu na zmiany klimatu wskazują, że na przykład w mezozoiku temperatura na Ziemi była o wiele wyższa. Tak, to prawda, ale tempo w którym rosta i opa-



Aleksandra Pospieszyska, fot. Andrzej Romański

dała liczymy w tym konkretnym przypadku w milionach lat, a nie jak obecnie – w dziesięcioleciach.

System klimatyczny jest rozumiany jako układ atmosfery, litosfery, hydrosfery, kriosfery i biosfery. Tak rozumiany obejmuje środowisko przyrodnicze Ziemi. W stanie naturalnym taki system ma zdolność do samoregulacji, czyli odpowiedzi na zmiany jego komponentów. W zależności od rodzaju zmiany może ten powrót trwać od kilkunastu miesięcy (na przykład po wybuchu wulkanu) do tysięcy (unoszenie się tarczy fennoskandzkiej po ustąpieniu lądolodu w Europie) i milionów lat (zmiany w rozkładzie lądów i mórz). System klimatyczny ma swoją bezwładność i rezultaty działań mających na celu redukcję emisji dwutlenku węgla do atmosfery nie będą od razu widoczne.

Człowiek poprzez spalanie paliw kopalnych oraz wylesianie prowadzi do zwiększenia stężenia CO₂ w atmosferze na tyle dużego, że gaz ten nie może ulec związaniu w procesie sekwestracji na przykład w lasach czy torfowiskach. Analizy Międzyrządowego Panelu ds. Zmian Klimatu jasno pokazują, że dodanie do modelu zmian klimatu działalności człowieka prowadzi do wymodelowania warunków, jakie obecnie możemy obserwować na Ziemi.

Adaptacja do zmian klimatu powinna być priorytetem działania. Powinna być ona powiązana z mądrymi decyzjami dotyczącymi m.in. zagospodarowania przestrzennego. Nawiązując do obecnej sytuacji, wydawanie decyzji na inwestycje w obszarach zagrożenia powodziowego powinno być szczególnie uważane. Zapisy, że na danym terenie może wystąpić woda tysiąc- czy stuletnia nie oznacza, że ta woda wystąpi dopiero za tysiąc lat, tylko to, że jej objętość, a co za tym idzie – wysokość fali wezbraniowej jest tak rzadka, że „zdarza się raz na tysiąc lat”.

Równoległe z adaptacją do już istniejących zmian powinny iść działania mitygacyjne, czyli zapobiegające przyszłym prognozowanym zmianom. Tworzenie enklaw zieleni w przestrzeni miejskiej, zmiana profilu energetycznego krajów, zmniejszenie zużycia energii i wiele innych działań nie tylko ma za zadanie chronienie systemu klimatycznego, ale niesie również czysto ekonomiczne konsekwencje. Wraz ze zmianami środowiska wywołanymi zmianami klimatu będą rosły koszty m.in. ubezpieczeń od ekstremalnych zjawisk i ich konsekwencji. Będzie rosło zapotrzebowanie na energię latem. Będą rosły koszty żywności związane na przykład z falami upałów i suszami.

O powodzi mówimy dopiero wtedy, kiedy dojdzie do zniszczenia mienia. Dlatego wkraczanie na

tereny zalewowe na przykład z zabudową podnosi ryzyko powodzi.

Koszty związane ze zmianami klimatu mogą dotyczyć również zdrowia ludności – większe ryzyko zaostrzenia chorób układu krążenia, epidemie, ale również zwiększenie przypadków depresji na przykład u rolników (utrata źródła utrzymania, niepewność itd.).

Za najbardziej „powodziogenne” są uznane karpackie doły Wisty. Jednak na Dolnym Śląsku znamy z historii opisy powodzi podobne w skali i przyczynie do sytuacji z 1997 roku czy obecnej. Co oznacza, że cyrkulacja powietrza w Europie, powstawanie i przemieszczenie się nad Polskę tzw. „nizów genueńskich” nie jest sytuacją nową dla środowiska. Taka cyrkulacja w połączeniu z ukształtowaniem terenu (góry stanowiące barierę dla obfitych w wodę mas powietrza) będą prowadziły do powodzi również w przyszłości.

Dominika Jurgiel

Czy działania takie jak przyklejanie się do dróg lub oblewanie obrazów zupą pomidorową mogą być skuteczną formą walki o klimat? W obliczu pogłębiającej się zmiany klimatycznej i braku adekwatnych działań ze strony rządów, aktywiści klimatyczni sięgają po coraz bardziej radykalne środki. Takie działania wzbudzają zdumienie, ale też pytania o skuteczność tego typu aktywizmu.

Do powstrzymania zmiany klimatu niezbędna jest zmiana dotychczasowego systemu. Jednym ze sposobów wpływania na zmiany na poziomie systemowym są właśnie działania zbiorowe. Aktywiści, poprzez swoje działania, mogą nie tylko bezpośrednio oddziaływać na decydentów, ale także podnosić świadomość społeczną, co z kolei wzmacnia poparcie dla konkretnych rozwiązań i polityk. Ruchy klimatycz-



Dominika Jurgiel, fot. nadesłana

ne próbują przyczynić się do zmiany, używając różnorodnych strategii, jednak coraz częściej sięgają po bardziej radykalne środki. Mogą one być zdefiniowane jako zachowania silnie odbiegające od norm, zakłócające porządek społeczny i niekiedy w jakiś sposób krzywdzące innych. Przykładem takich strategii są różnorodne zakłócające akcje prowadzone przez aktywistów, na przykład blokowanie dróg, oblewanie pomników czy przerywanie wydarzeń kulturalnych.

Badania skuteczności radykalnych działań wskazują, że są one na ogół postrzegane raczej negatywnie, a poparcie dla nich jest małe. Jednym z powodów jest niska identyfikacja obserwujących z aktywistami. Działania radykalnych aktywistów często postrzegane są jako nieracjonalne, a nawet niemoralne, przez co ludzie nie chcą utożsamiać się z osobami, które stosują takie strategie. Z drugiej strony, takie działania przyciągają dużą uwagę mediów, szczególnie w porównaniu z akcjami bardziej umiarkowanymi. Większa obecność tematu zmiany klimatu w mediach może pozytywnie wpłynąć na wzrost świadomości społecznej i zwiększyć troskę o kwestie klimatyczne.

W kontekście radykalnych działań na rzecz klimatu istotnym pojęciem jest tzw. efekt radykalnej flanki. Mówi on o zależnościach między radykalnymi a umiarkowanymi odłamami wewnątrz tego samego ruchu. Efekt ten może mieć dwie odstony. Pozytywną, w której działalność radykalnego odłamu grupy, na zasadzie kontrastu, przyczynia się do bardziej pozytywnego postrzegania grup umiarkowanych, oraz negatywną, w której radykalna grupa powoduje negatywne postrzeganie całego ruchu na zasadzie asymilacji. Badania pokazują, że w kontekście działań prośrodowiskowych działa raczej ta pierwsza wersja, a więc aktywiści podejmujący działania takie jak na przykład przyklejanie się do dróg, mimo że sami oceniani są jako nieracjonalni, mogą spowodować zwiększenie sympatii dla aktywistów wybierających bardziej konwencjonalne formy działania, czyli na przykład pokojowe marsze czy tworzenie petycji.

Aktywiści podejmujący się radykalnych działań często opisują je jako „ostatnią deskę ratunku” w sytuacji, w której działania bardziej umiarkowane, podejmowane przez aktywistów przez lata, nie przyniosły rezultatów w walce ze zmianą klimatu. W obliczu narastającego kryzysu klimatycznego różnorodność podejść – od umiarkowanych do radykalnych – może być konieczna, by skutecznie wprowadzić realne zmiany i budować wsparcie społeczne.

Opracowała: Ewa Wałusiak-Bednarek

Winicjusz Schulz

Zosia z cmentarza odrzuconych

Pień w gminie Dąbrowa Chełmińska – o tamtejszych odkryciach archeologów z UMK już w „Głosie” pisaliśmy. Mijają lata, i choć naukowcy już wiele ustalili, wciąż wydaje się, że pytań i zagadek jest więcej niż pewnych odpowiedzi. O aktualnych ustaleniach i hipotezach dotyczących tych znalezisk rozmawialiśmy z dr. hab. Dariuszem Polińskim, prof. UMK z Katedry Średniowiecza i Czasów Nowożytnych na Wydziale Nauk Historycznych UMK, kierującym badaniami w Pniu.

Warto wspomnieć, że toruńscy archeolodzy zajmują się tamtejszym rejonem już od 2005 roku. Badania korespondowały m.in. z zainteresowaniami dotyczącymi dziejów zakonu krzyżackiego. Miało się wszystko zakończyć na jednym sondażowym wykopie. Odkrycia okazały się obiecujące, zwłaszcza gdy w najniższym grobie natrafiono na pochówek wojownika. I aż do 2022 roku Pień znany był wśród archeologów z cmentarzyska z przełomu X i XI wieku. Znalezisk było sporo, w tym precjoza. Ukazały się naukowe publikacje.

Ale był tam też cmentarz nowożytny, lecz raczej niewiele sobie po nim obiecywano. We wspomnianym 2022 roku ten temat miał zostać zamknięty rutynową ekspedycją w części południowo-wschodniej badanego obszaru. Kto się wtedy spodziewał, że ta ekspedycja, zamiast końca sprawy, przyniesie sensacyjne odkrycia, którymi zainteresowały się nawet media na całym świecie?

Oto wśród grobów nowożytnych odkryty został unikatowy, dość szybko okrzyknięty grobem „wampirzycy z Pnia”. Prof. Poliński wzdryga się przed takim kwalifikowaniem „bohaterki” grobu – ale o tym za chwilę. Fakt faktem odnaleziono ją z sierpem na sztorc przy szyi i z kłódką na palcu od stopy. To mogłoby sugerować, że siła postrach wśród miejscowych, że w ten sposób żywi chcieli się przed nią zabezpieczyć. A że jeszcze defekt w jej uzębieniu mógł wywołać dodatkowe skojarzenia z wampirzycą, stąd takie określenie poszło w świat. Współcześni miejscowi postanowili oswoić znalezisko i nadali tej postaci imię Zosia. – Ja osobiście wolałbym imię Karmila, kojarzące się z prozą gotycką – żartuje prof. Poliński.



Ale Zosia pozostała. Wśród mieszkańców bohaterka z zaświatów wzbudziła spore zainteresowanie. Jeden z nich dowiedział się, że jest w Szwecji artysta i archeolog, który zajmuje rekonstrukcjami wizerunków na podstawie szczątków z wykopalisk. I napisał list do Oscara Nilssona. Odpowiedź nadeszła i tak to postanowiono sprawdzić, jak mogła wyglądać za życia Zosia vel „wampirzyca z Pnia”. Dziś Oscar Nilsson jest nawet członkiem ekipy „Projekt Pień”.

Cały czas trwały także inne prace badawcze. O samym cmentarzu w Pniu nie zachowały się żadne źródła pisane. Wiadomo było natomiast, że w samym Pniu nie było parafii (najbliższa znajdowała się w Ostromecku). Zwyczaj nakazywał, by cmentarz był w pobliżu siedziby parafii. Tu jednak było inaczej. Dlaczego? Pojawiło się kilka hipotez. Może to pozostałości po przybyszach z Niderlandów. Menonici nie mieli prawa do własnych cmentarzy. Kolejny trop wiódł do Skandynawii. I okazuje się bardzo prawdopodobny – zarówno w kontekście rekonstrukcji wizerunku bohaterki, jak i zbadanych pozostałości z grobu. Być może to zamożna Szwedka, może nawet związana z dworem Wazów. Pamiętajmy, że pochówek pochodzi z czasów potopu szwedzkiego. Już wiadomo, że nie była to kobieta z plebsu, bo pochowano ją w eleganckiej, drogiej szacie, na którą nie byłoby stać prostego ludu.

Wyszło też na jaw, że sierp na szyi Zosi pojawił się już po pogrzebie. Ktoś w niedługim czasie po po-

chówku próbował ingerować w grób. Ciało zostało przełamane na wysokości barków. To wówczas pojawił się sierp jako dodatkowe zabezpieczenie. Ale przed czym? Dlaczego obawiano się tej kobiety?

Badania dowiodły, że w chwili śmierci miała 18–20 lat. Mimo takiego wieku była schorowana. Bezpośrednią przyczyną śmierci było zatrzymanie układu krążenia. Zmarła miała też nowotwór, który mógł spowodować wystąpienie krwawych plam na ciele. Niewykluczone, że ciało to było też zdeformowane. Może więc Zosia budziła postrach? Może ówczesni mieszkańcy widzieli w niej przyczynę chorób szerzących się w okolicy? Bali się jej. Z pewnością jednak nie uchodziła za czarownicę, bo takie palono na stosach. Nie ścięto jej też głowy.

Obecna hipoteza robocza dotycząca cmentarzyska brzmi: to był cmentarz dla odmieńców, odrzuconych. Chorych, skazańców nie chciano chować „w święconej ziemi”. Już w latach 2005–2009 podczas ówczesnych badań trafiano tam na nietypowe pochówki jak choćby dziecka, które w okolicach głowy miało dodatkowe zabezpieczenie w postaci... gwoździ. W tamtych czasach wierzono, że żelazo było materiałem chroniącym żywych przed zmarłymi – tymi uważanymi za niebezpiecznych.

– I teraz do tych nietypowych pochówków zamierzamy powrócić – dodaje prof. Dariusz Poliński.

Autorem fotografii grobu jest Łukasz Czyżewski, a rekonstrukcji Oscar Nilsson



Radosław Sioma

Za co kochamy Zbigniewa Herberta? – w stulecie urodzin Poety

Niech pochwalona będzie Twoja kołyska
(Zbigniew Herbert, *Do Henryka Elzenberga*
w stulecie Jego urodzin)

Gdybym musiał krótko odpowiedzieć na to tylko na poły żartobliwie zadane pytanie, to wskazałbym dwie rzeczy, dwie istotne moim zdaniem cechy twórczości Zbigniewa Herberta, które każą mi o nim myśleć jako o poecie wyjątkowym. Jest ich oczywiście znacznie więcej.

Po pierwsze – jest to poeta wspólnoty, trudnego przymierza, nie tylko międzyludzkiego, ale też przymierza człowieka ze światem, zarówno z poszczególnym istnieniem – jak i światem jako całością. Ostatni wielki poeta syntezy, co oznacza także – poeta metafizyczny, który sam o sobie powie: „uważam się za człowieka religijnego bez religii”... Jak napisze w jednym ze swych wierszy: „a zatem można / używać w poezji imion greckich pasterzy / można kusić się o utrwalenie barwy porannego nieba / pisać o miłości / a także / jeszcze raz / ze śmiertelną powagą / ofiarować zdradzonemu światu / różę” (*Pięciu*).

W tym sensie jest również Herbert poetą narodowym, poetą trudnego patriotyzmu, jak określił to Kazimierz Wyka, recenzując w 1956 roku pierwszą książkę poetycką Herberta – tom *Struna światła*. Zazwyczaj zresztą pamięta się o tym przywiązaniu, mówi o linii wierności, co jest jak najbardziej słuszne, warto jednak pamiętać, że jest to również pisarz dystansu do wspólnoty narodowej, który w opublikowanym w 1961 roku wierszu *Rozważania o problemie narodu* pytał: „czy wskutek przeżyć historycznych / nie staliśmy się psychicznie skrzywieni / i na wypadki reagujemy teraz z prawidłowością historyków / czy wciąż jesteśmy barbarzyńskim plemieniem / wśród sztucznych jezior i puszczy elektrycznych”?

Herbert był zresztą tego świadom – że jest poetą syntezy, sam deklarował chęć skonstruowania światopoglądu zgodnego z doświadczeniem, co należy rozumieć nie tylko jako zgodność z doświadcze-



niem potocznym, ale również z tak ważnym dla jego pokolenia doświadczeniem „historii spuszczonej z łańcucha”, czyli wojny, okupacji niemieckiej i sowieckiej i ich politycznych następstw. Ten spór o to, czym jest rzeczywistość, z jednej strony, z drugiej, ten szacunek dla tych, „którzy naprawiają sandały i republikę” i to o cierpliwe krzątanie się poety „wśród ptaków i kamieni”, obejmować zresztą będzie także więź żywych z umarłymi, w tym również polską i europejską tradycję.

Po drugie – Zbigniew Herbert jak żaden inny polski poeta połączył w swojej poezji myśl, liryczne przeżycie oraz zmysłowe doznawanie świata. Mam na myśli charakterystyczne dla niego myślenie wierszem i myślenie w wierszu, z jednoczesną rehabilitacją doznań zmysłowych, zwłaszcza wzrokowych i dotykowych. Herbert był bez wątpienia poetą filozofem, był jednak także twórcą, który z filozofią wiodł spór w imię widzialnego świata i ludzkiego – zmysłowo-emocjonalnego przywiązania do tego

świata, więcej, który kruchość tego świata brał w obronę przed zakusami zbyt oczywistej filozoficznej, ale i teologicznej abstrakcji.

Ta zdolność myślenia wierszem, czy, by użyć określenia poety, myślenia żarliwego, rodzi się także w Toruniu, w trakcie studiów Herberta na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika. Herbertowie opuszczają Lwów w marcu 1944 roku, przed ponownym wkroczeniem Rosjan do miasta, i osiadają na krótko w Krakowie, gdzie poeta studiuje na Akademii Handlowej, zgodnie z wolą ojca, który pragnął, by syn zdobył jakiś porządny zawód. Następnie rodzina Herbertów przenosi się do Sopotu, poeta natomiast w roku 1947 zaczyna studia prawnicze w Toruniu, na ledwie co powstałym Uniwersytecie Mikołaja Kopernika. Studia w Toruniu trwać będą do roku 1951. Jeden z pisanych w tamtym w tamtym czasie felietonów na tematy kulturalne – „listów z Torunia” czy, jak inaczej nazywał je Herbert – „Katarzynek toruńskich” – dotyczy pięciolecia naszego Uniwersytetu, zorganizowanych z tej okazji wystawy i konferencji oraz włożenia „Kopernikowi przed Ratuszem” czapki studenckiej i mianowania go studentem honoris causa UMK. „Ten wymyślny akt kurtuazji w stosunku do wielkiego astronoma oceniany był różnie. Rozwinęła się nawet dyskusja na temat: czy wypada” (*Pięciolecie Uniwersytetu Mikołaja Kopernika*).

W roku 1949 natomiast rozpoczyna Herbert studia filozoficzne na UMK, uczęszczając m.in. na zajęcia Henryka Elzenberga. To właśnie w tym cza-

się, dzięki temu spotkaniu filozofa i początkującego poety – ten ostatni znacznie zupełnie inaczej myśleć o poezji, szukać swojego oryginalnego języka poetyckiego i stawiać pytania nie tylko o to, co istnieje naprawdę, ale także, czym jest i czym powinna być poezja w tym szczególnym momencie dziejów Polski i Europy.

Chciałbym jeszcze wspomnieć o tak ważnym w pisarstwie Herberta współczuciu, o wysokiej próbie, jeśli mi wolno oceniać, moralistycie, o czułości dla świata, o jego umiłowaniu malarstwa i licznych podróżach, także o podróży jako figurze poznawczej i zapewne wielu innych rzeczach. Na zakończenie powiem już jednak tylko, że te dwie ogólne cechy pisarstwa Herberta i te pozostałe, pośpiesznie wymienione, nie wystarczyłyby oczywiście, byśmy uznawali go za jednego z najważniejszych polskich poetów, za – niech okoliczność usprawiedliwi pewną górnolotność – mistrza mowy polskiej.

Ranga poety zależy od tego, w jakim stopniu zmienił rodzimy język, jak bardzo zwiększył jego „pojemność” znaczeniową i emocjonalną. Jest to jedna z najtrudniejszych do opisanego rzeczy, ale właściwie ta najważniejsza. Herbert wchłania, jeśli tak można powiedzieć wiele języków przeszłości. Bez wątpienia związany z nurtem neoklasycystycznym, przygląda się też uważnie awangardowym metaforom i obrazom słownym, bywa neoromantyczny, wyczulenia na szczegół świata mógłby mu pozazdrościć niejeden realistyczny powieściopisarz. Tworzy zara-



zem język, którego nie sposób sprowadzić do jakichkolwiek wpływów czy podobieństw, mimo że oryginalność nie była jego głównym celem. Ożywia różne tradycje i jest jednocześnie wobec nich krytyczny. Jest, jak sam napisze o dwóch innych wielkich poetach XX wieku, Reinerze Marii Rillem i Thomasie S. Eliocie, jednym z „dostojnych szamanów którzy znali sekret / zaklęcia słów formy odpornej na działanie czasu bez czego / nie ma frazy godnej pamiętania a mowa jest jak piasek”.

Dr hab. Radosław Sioma, prof. UMK – Instytut Literaturoznawstwa Wydziału Humanistycznego UMK

Zdjęcia: Wikipedia

Zbigniew Bolesław Ryszard Herbert – jeden z najwybitniejszych polskich twórców literackich XX wieku. Przez wiele lat wymieniany w gronie najpoważniejszych kandydatów do Literackiej Nagrody Nobla (nagrody jednak nie otrzymał).

Urodził się 29 października 1924 roku we Lwowie, zmarł 28 lipca 1998 roku w Warszawie. Z wykształcenia był ekonomistą, a także prawnikiem i filozofem (za swego mistrza uważał Henryka Elzenberga). W Toruniu nie tylko studiował na UMK, ale także pracował w muzeum oraz jednej ze szkół.

Był poetą, dramatopisarzem, eseistą. Jego sztandarowym dziełem był poetycki cykl „Pan Cogito”. **(win)**

Marek Jurgowiak

Siła różnorodności – triumf życia

Żywe organizmy cechuje zdolność i nieodparta dążność do rozmnażania się. Dotyczy to zarówno jednokomórkowych bakterii, jak i człowieka. To kluczowa cecha życia i podstawowa funkcja organizmu dlatego, że umożliwia trwanie populacji gatunku i zapobiega jego śmierci biologicznej.

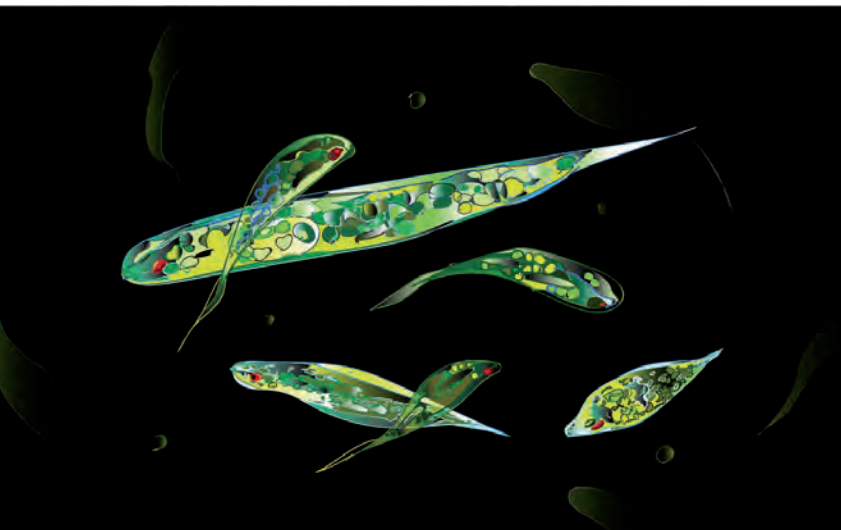
Nierozerwalnie z procesami rozmnażania kojarzy się nam pojęcie płci i płciowości jako naturalnego zjawiska biologicznego, starego ewolucyjnie, że Natura wręcz „widzi korzyści i celowość” w istnieniu płciowości. Bowiem tak naprawdę płeć nie stanowi koniecznego warunku życia biologicznego. Istnieją przecież organizmy, które radzą sobie doskonale bez istnienia płciowości, mnożąc się przez podział, paczkowanie czy fragmentację. I są to nie tylko mikroorganizmy, ale także rośliny i zwierzęta. Można więc zadać pytanie, po co powstała płciowość, która wymaga od dwóch jednostek odszukania się w celu wydania potomstwa. A z tym związana jest przecież kwestia poświęcenia dużych ilości czasu i energii tak potrzebnej do życia.



Nad funkcją płciowości zastanawiali się już wielcy uczeni XIX i XX wieku – Darwin i Weismann, stąd sporo już wiemy, ale wówczas, jak i obecnie odnośnie do biologii płciowości sporo pytań pozostaje bez odpowiedzi. Jak choćby to, w jaki sposób pojawiła się w procesach ewolucyjnych.



W przypadku rozmnażania bezpłciowego (wegietatywnego) wspólną cechą wszystkich jego typów jest zachowanie status quo. Oznacza to, że wszystkie nowe organizmy zachowują takie same cechy genetyczne jak ich organizm rodzicielski. Wystarczy tu jeden osobnik, aby powstały z niego nowe, identyczne, czyli klony. Chyba, że organizmy wykazujące mutację (zmiana w strukturze genów, lub chromosomu, bądź ich liczbie) ulegają rozmnożeniu i rozprzestrzenieniu. Wówczas taka populacja wykazuje pewien stopień zmienności międzysobniczej. W ustabilizowanych warunkach środowiskowych jest to wystarczający sposób powiększania liczby i trwania osobników populacji. Nie stwarza jednak możliwości dobrej adaptacji w przypadku zmieniających się warunków życia. Pewne jest, że zmienność indywidualna jest siłą napędową i motorem ewolucji. Jak pisał August Weismann: „nadzwyczajna



rozmaitość form płciowości w świecie ożywionym miała sens o tyle, o ile służyła tworzeniu zmienności indywidualnej”. To jednocześnie odpowiedź na wcześniej postawione pytanie o funkcję płciowości.

Rozwój każdego organizmu przebiega pod kontrolą i jest realizacją programu genetycznego zapisanego w genach ulokowanych na chromosomach. U organizmów bezpłciowych program ten jest kopiowany na nowo w każdym następnym pokoleniu. Płciowość natomiast powoduje, że program genetyczny nowego organizmu jest programem powstałym przez rekombinację dwóch różnych programów – ojcowskiego i matczynego. Tak więc w tym przypadku dwa osobniki biorą udział w tworzeniu nowych, potomnych.

Komórki rozrodcze obu organizmów rodzicielskich łącząc się, dają początek nowemu organizmowi, który rozwija się z zapłodnionej komórki jajowej w złożonym procesie morfogenezy. Zarówno plemniki, jak i komórka jajowa powstają w procesach gametogenezy i wnoszą po połowie materiału genetycznego zarodka. U człowieka ogólna liczba chromosomów zawartych w jądrze każdej komórki somatycznej (budującej ciało) wynosi 46. Połowę, a więc 23 chromosomy wnoszą do zygoty plemniki, a drugą połowę komórka jajowa. Procesy rekombinacji genetycznej zachodzące podczas gametogenezy (mejoza) powodują, że mimo produkcji olbrzymiej liczby gamet np. u człowieka w jednej porcji nasienia męskiego (ejakulat) jest ich średnio 75 milionów – a nawet do 120 milionów, materiał genetyczny gamet jednego osobnika jest właściwie niepowtarzalny. Kobiety także dysponują ogromnym potencjałem reprodukcyjnym i zasobami zmienności genetycznej. Początkowo u płodu żeńskiego większa liczba komórek jajowych spada do około miliona w chwili narodzin. Kobieta wkraczając w okres rozrodczy, posiada w pęcherzykach jajnikowych już tylko około 180 tysięcy komórek, co i tak stanowi liczbę przekraczającą możliwości ich wykorzystania. Dlaczego w gonadach męskich i żeńskich powstaje większa liczba gamet, niż kiedykolwiek będą mogły być wykorzystane? Można się domyślać, że ma to znaczenie w grze toczącej się o różnorodność kombinacji genetycznych samych gamet i powstającego z ich udziałem potomstwa. Powoduje to, że każdy nowo narodzony osobnik jest inny od pozostałych – odmienny. Wyjątek mogą tu stanowić bliźnięta jednojajowe, które rozwijają się z jednej zapłodnionej komórki jajowej, poprzez jej podział i stąd posiadają identyczny materiał gene-

tyczny. Każde zatem dziecko spłodzone przez rodziców jest tylko jedną z możliwości w zbiorze dzieci prawdopodobnych, które mogliby oni mieć, gdyby doszło do zapłodnienia innych komórek jajowych przez inne plemniki. Zmiana zestawu genów, które otrzymuje od rodziców potomstwo, wyraża więc biologiczny sens rozdzielnopłciowości: występowanie stałej zmienności form życia.

Zdarza się w świecie organizmów i tak, że game-ty męskie i żeńskie powstają w jednym osobniku. Takie organizmy to obojnaki, czyli hermafrodyty. Należą do nich niektóre gatunki ryb, większość roślin czy powszechnie znana dżdżownica. Jednak i tu Natura znalazła doskonałe rozwiązanie. Plemniki jednego osobnika zapładniają komórki jajowe drugiego (zapłodnienie krzyżowe). W tym przypadku również dwa osobniki biorą udział w powstaniu nowego życia – różnego od rodziców.

Natura zaskakuje nas obserwatorów – badaczy, również i w tym przypadku – okazuje się bowiem, że zróżnicowanie płci nie musi być czymś koniecznym dla skutecznego wydania na świat potomstwa. Wiele organizmów nie wykazuje podziału na płeć. Tak jest np. u gekonów. Jaszczurki te zupełnie pozbyły się płci męskiej. Składają jaja będące klonami matki, a te stają się nową generacją, pokoleniem tych organizmów. Z punktu widzenia matki rozwiązanie to pozwala na przekazanie potomstwu 100 procent własnych genów. Przy konwencjonalnej rozdzielnopłciowości każdy z rodziców przekazuje tylko połowę własnych genów i ta liczba wraz z każdym następnym pokoleniem zmniejsza się. Wnuki mają już tylko 1/4 genów, prawnuki 1/8, a praprawnuki tylko 1/16 puli genów rodzica. Genetyczna nieśmiertelność dotyczy zatem gatunku, a nie jednostki i jest realizowana z przekazywaną z pokolenia na pokolenie linią generatywną komórek (linią komórek płciowych). Soma zaś budująca nasze ciało to populacja komórek o ograniczonym czasie życia i budujących ciało osobnika rodzicielskiego, którego zadaniem życia jest wydanie na świat pokolenia następców. My jako osobniki rozmnażające się płciowo tworzymy nowe kombinacje genów – rekombinacje, wędrujących poprzez pokolenia każdego rozmnażającego się w ten sposób gatunku. Płciowość może zmniejszać nasz osobisty wkład w życie następnych pokoleń, ale dla naszego gatunku jest czymś zbalansowanym.

Biolodzy zgodni są co do tego, że tylko między tym, co nie jest identyczne, może zachodzić dobór, a więc i przemiana. Już w roku 1885 August We-



ismann pisał, że funkcją płciowości jest wytwarzanie „różnicowania osobniczego, przez które dobór naturalny tworzy nowe gatunki”. W toku ewolucji rozmnażanie płciowe pojawiło się nie tylko w większości grup roślin i zwierząt, ale także w świecie mikroorganizmów. Musiało zatem powstać dość wcześnie w historii życia ziemskiego. W roku 1946, czyli tuż po II wojnie światowej, I. Lederberg oraz E. L. Tatum wykazali, po raz pierwszy, że dwa mutanty bakterii *E. coli* wytwarzają rekombinanty, gdy są hodowane razem. Dalsze badania, innych uczonych (Hayera, Jacoba, Wollmana) wykazały, że u tych bakterii istnieje koniugacja komórek i rekombinacja genów między koniugującymi komórkami. Cały ten proces oparty jest właśnie na zróżnicowaniu płciowym bakterii. Co ciekawe, ten generujący różnorodność genetyczną proces występuje u bakterii jedynie co pewien czas. Wynika to najpewniej z korzyści, jakie daje rozmnażanie bezpłciowe, a mianowicie jest to proces bardzo wydajny (niektóre bakterie dzielą się co kilkanaście minut) i nie wymagający spotkania się partnerów. Jednak jeśli proces ten w ogóle nie występuje, następstwem jest śmierć hodowanych bakterii (jest niezbędny dla zachowania żywotności szczepu). Fakty te świadczą niezaprzeczalnie o dużej randze rozmnażania płciowego i to nie tylko dla świata mikroorganizmów – to tu spotykamy już cechy charakterystyczne dla obu płci, męskiej – ruchliwość (aktywne przemieszczanie się) i żeńskiej – brak

tej cechy. Informacja genetyczna męska przenoszona jest do komórki zawierającej żeńską informację genetyczną. Tak jak u organizmów posiadających wyspecjalizowane gamety – plemnik aktywnie (z zaangażowaniem kilku białek) wnika do przyjmującej go komórki jajowej.

Śmiało więc płciowość można określić jako mechanizm wytwarzania różnorodności. Każdy z 8 miliardów ludzi żyjących obecnie na naszej planecie (wg US Census Bureau, 2024) jest inny, jest jednostką wyjątkową, niepowtarzalną. W styczniu 2024 r. szacowano, że na całym globie ziemskim co sekundę przychodzi na świat 4,3 nowego życia – nowych kombinacji genów i możliwości. Daje to gwarancję ochrony przed niestabilnością środowiska, przed jego wpływem. Można wyobrazić sobie przecież świat zamieszkały przez identyczne osobniki, które cechowałaby np. taka sama podatność na zakażenie jakimś mikroorganizmem chorobotwórczym (ostatnie pandemiczne doświadczenia mogą tu wzniecić naszą wyobraźnię). Wówczas wystarczyłaby jedna epidemia, by zniszczyć ludzkość. Zresztą nie dotyczy to tylko gatunku *homo sapiens*, ale całego świata istot żywych. Dlatego też prace nad klonowaniem, czyli produkowaniem wiernych kopii organizmów zwierząt, a szczególnie człowieka zawsze wzbudzały i wzbudzają kontrowersje i obawy.

Na szczęście w kolejnych pokoleniach geny tworzą wciąż nowe kombinacje. Powstają osobniki lepiej bądź gorzej przystosowane do życia w danym środowisku, niż obie formy rodzicielskie, ale są to formy różne. I to właśnie daje każdemu gatunkowi wiele możliwości, przyczyniając się do stopniowego ulepszania cech strukturalnych i funkcjonalnych umożliwia ewoluowanie gatunku. Dzięki nowym kombinacjom genów zyskujemy różnorodność która jest gwarantem bezpieczeństwa i odporności. Utrudnia przenoszenie chorób na całe populacje. Oznacza możliwość ciągłego ewoluowania. Rozmnażanie bezpłciowe, wegetatywne, z założenia daje ciągle ten sam wynik, płciowość zaś – tę możliwość, że oprócz całej masy przeciętności na świat czasem przychodzi jakiś Bach, Rembrandt bądź Einstein.



Dr n. med. Marek Jurgowiak – Katedra Biochemii Klinicznej, Wydział Farmaceutyczny CM UMK, wiceprzewodniczący Rady Programowej Centrum Nowoczesności Młyn Wiedzy, Rada Programowa TFNiS, stały współpracownik „Głosu Uczelni”, autor podręczników, popularyzator nauki

Obecnie, już w trakcie edukacji szkolnej, uczymy się, że materiał genetyczny naszych komórek podczas fazy podziałowej komórki kondensuje i widoczny jest w postaci chromosomów. Chociaż chromosomy odkryto już w latach 80. XIX wieku, ich znaczenie wówczas nie było jednak ani jasne, ani właściwie doceniane. Ich odkrycia dokonał niemiecki badacz Heinrich Wilhelm Gottfried von Waldeyer-Hartz. Nazwa chromosomy wywodzi się od ich dużej zdolności do pochłaniania barwników chemicznych.

Nieco później dowiedzieliśmy się też, że kobiety posiadają dwa chromosomy X, a mężczyźni jeden X i jeden Y., co determinuje różnice płciowe

W roku 1891 młody wówczas zoolog Hermann Henking (Uniwersytet w Getyndze) odkrył istnienie specyficznego chromosomu u badanych osobników osy (*Pyrrhocoris*) i nazwał go X (z uwagi na jego tajemnicze odstawanie od innych chromosomów obserwowanych pod mikroskopem). Kilkanaście lat później w USA badaczka Nettie Stevens (Bryn Mawr College Pensylwania) prowadząc podobne obserwacje i badania nad aparatem rozrodczym robaków mącznych, odkryła drugi z tajemniczych chromosomów i nazwała go dla podtrzymania nomenklatury Henkinga – chromosomem Y. Jednocześnie badaczka zdała sobie sprawę z roli tego chromosomu w określaniu płci. W rzeczywistości oba chromosomy określane jako X i Y nie przypominają liter alfabetu, a to my raczej dostrzegamy w swojej wyobraźni takie podobieństwo.

Natomiast jeszcze krótsza jest historia odkrycia, które wykazało mechanizm genetyczny determinacji płci męskiej i żeńskiej. Bowiem dopiero w roku 1990 zespoły badawcze z National Institute for Medical Research oraz z Imperial Cancer Research Fund, zidentyfikowały gen znajdujący się na męskim chromosomie Y, który determinuje płć i nadano mu nazwę gen SRY (sex-determining region on the Y). Zatem od niedawna wiadomym jest, co sprawia, że od niezliczonych pokoleń rodzą się nowe generacje chłopców i dziewczynek.

Magdalena Schulz

Epidemia otyłości

Z początkiem września br. Polskie Towarzystwo Dietetyki opublikowało zaktualizowane rekomendacje dotyczące leczenia dietetycznego otyłości, z których jasno wynika, że otyłość to wciąż rosnący problem w Polsce i na świecie.

Statystyki dotyczące nadwagi według raportu WHO z 2022 r. wskazują, że prawie 60% dorosłych Europejczyków miało nadmierną masę ciała, natomiast w przypadku młodej populacji prawie 8% dzieci w wieku poniżej 5 lat oraz 25% nastolatków miało nadwagę. Dane dotyczące epidemiologii otyłości na świecie znacznie różnią się w zależności od kraju, wskazując od 3,7% osób z BMI ≥ 30 kg/m² w Japonii do 38,2% w Stanach Zjednoczonych. W Europie częstość występowania otyłości jest najwyższa, zaraz po Ameryce, z naciskiem na Wielką Brytanię, Grecję, Czechy i Hiszpanię, jednak we wszystkich krajach europejskich obserwuje się tendencję wzrostową. W Polsce natomiast nadwagę stwierdzono u 62% mężczyzn i 43% kobiet, a otyłość u 16% mężczyzn i 12% kobiet. W związku z powyższymi danymi zgodnie uznano, że żadnemu krajowi w Europie nie uda się zrealizować planu powstrzymania wzrostu otyłości do końca 2025 r.

Jakie są przyczyny nadwagi i otyłości?

Powszechnie uważa się, że nadmierna masa ciała jest konsekwencją nadmiernego spożycia wysokoenergetycznej żywności oraz zbyt niskiej aktywności fizycznej, co prowadzi do dodatniego bilansu energetycznego i gromadzenia się zapasów energii w postaci tkanki tłuszczowej. Warto jednak zaznaczyć, że na poziomie indywidualnym istnieje szereg innych czynników, które przyczyniają się do rozwoju otyłości, np. społecznych, psychologicznych, genetycznych. Do czynników społecznych możemy zaliczyć rozwój technologii oraz wzrost automatyzacji, które przyczyniają się do zmniejszonej aktywności fizycznej i siedzącego trybu życia. Dodatkowo, środowisko pracy i przewlekły stres często zaburzają regularność posiłków, co skutkuje konsumpcją wysokoenergetycznych przekąsek w późnych godzinach wieczornych. Ponadto, społeczeństwo



w obecnych czasach ma łatwy dostęp do wysoko przetworzonej żywności, która charakteryzuje się wysoką gęstością energetyczną i smakowitością, przy jednocześnie niskiej wartości odżywczej i małej ilości błonnika pokarmowego.

Wszechobecny stres jest również powiązany z czynnikami psychologicznymi, ponieważ permanentnie podwyższony poziom kortyzolu działa niekorzystnie na jakość i ilość snu, co może być pośrednią przyczyną wzrostu masy ciała. Udowodniono, że niedosypianie skutkuje zwiększonym apetytem w ciągu dnia, co często skutkuje nadmiernym spożyciem energii i przybieraniem na wadze. Do czynników psychologicznych możemy zaliczyć także zaburzenia odżywiania, np. napady objadania się, zespół jedzenia nocnego oraz jedzenie emocjonalne.

Nadwaga i otyłość często są następstwem występowania różnych chorób oraz farmakoterapii. W tempie przemian metabolicznych kluczową rolę odkrywa gospodarka hormonalna, dlatego wzrost masy ciała często obserwuje się przy zaburzeniach endokrynologicznych, np. niedoczynności tarczycy, zespole Cushinga, zespole policystycznych jajników (PCOS), czy chorobach przysadki i podwzgórza. Leki również mogą obniżyć podstawową przemianę materii, wpływać na zwiększenie apetytu lub zaburzać



działanie ośrodka nagrody w mózgu. Do takich leków zaliczamy glikokortykosteroidy, leki hipoglikemizujące, niektóre hipotensyjne oraz leki psychotropowe.

W związku z mnogością czynników, które odpowiadają za rozwój otyłości, do każdej osoby borykającej się z tą chorobą należy podchodzić z empatią. Otyłość jest chorobą przewlekłą, która stanowi poważne zagrożenie dla zdrowia i życia. Nieleczona prowadzi do rozwoju wielu zaburzeń metabolicznych związanych z cukrzycą, chorobami układu krwionośnego i pokarmowego, nowotworami oraz może obniżyć jakość życia i poczucie własnej wartości.



Podstawowym elementem leczenia i dobrania odpowiedniej strategii żywieniowej jest znalezienie przyczyny problemu, a następnie przedstawienie możliwości jego rozwiązania. Celem leczenia jest nie tylko redukcja masy ciała, ale głównie zmniejszenie ryzyka powikłań otyłości. Nawet 5% redukcja masy ciała w stosunku to masy początkowej prowadzi do mierzalnych korzyści zdrowotnych, np. obniżenie stężenia trójglicerydów i glukozy we krwi.

Dobór diety

Wartość energetyczna diety redukcyjnej powinna być dobrana indywidualnie, biorąc pod uwagę płeć, wiek, stan zdrowia, rodzaj pracy i styl życia, motywację pacjenta oraz jego aktualne nawyki żywieniowe. Deficyt kaloryczny powinien wynosić 500–800 kcal na dobę, co teoretycznie będzie skutkowało utratą masy ciała o 0,5–1 kg tygodniowo. Stopniowy spadek wagi może przynieść lepsze rezultaty w podejściu długoterminowym niż szybkie i bardzo restrykcyjne diety, które często są pierwszym wyborem wśród pacjentów z otyłością. Powolny spadek masy ciała wiąże się z redukcją głównie tkanki tłuszczowej, natomiast diety rygorystyczne, jednoskładnikowe skutkują często utratą również tkanki mięśniowej, co zwiększa ryzyko efektu jo-jo w przyszłości.

Aktualnie nie ma wystarczających dowodów, aby zalecić jeden skuteczny model żywieniowy w walce z otyłością. Zarówno diety niskowęglowodanowe, niskotłuszczowe czy ze zwiększoną zawartością białka mogą przynieść efekty w redukcji masy ciała, pod warunkiem, że zakładają deficyt energetyczny. Dobór diety powinien zakładać preferencje danej osoby, ponieważ zwiększa to szansę na długoterminowe stosowanie zaleceń dietetycznych, co jest kluczowe w osiągnięciu trwałych efektów. Badania pokazują, że najważniejsze czynniki żywieniowe przy diecie redukcyjnej to dobranie odpowiedniej energetyczności diety i rodzaju makroskładników oraz unikanie produktów z wysokim indeksem glikemicznym (IG).

Dieta powinna być urozmaicona, aby dostarczała wszystkich niezbędnych składników odżywczych i zmniejszała ryzyko niedoborów pokarmowych. W leczeniu otyłości najczęściej stosuje się następujące modele żywieniowe:

- dieta śródziemnomorska
- dieta DASH
- dieta Portfolio

- diety oparte na produktach o niskim IG
- diety roślinne.

Wszystkie wyżej wymienione diety bazują na produktach niskoprzetworzonych, ograniczeniu cukrów prostych i tłuszczów pochodzenia zwierzęcego. Opierają się na produktach pochodzenia roślinnego, czyli warzywach i owocach, pełnoziarnistych zbożach, orzechach, pestkach i nasionach. Dostarczają odpowiednich ilości błonnika pokarmowego, który zwiększając uczucie sytości, jest skutecznym elementem diety redukcyjnej. Powyższe diety cechują się różnorodnością spożywanych produktów spożywczych, dzięki czemu dostarczają niezbędne witaminy i składniki mineralne.

W przypadku leczenia otyłości szczególnie ważne jest odpowiednie zbilansowanie diety pod kątem spożycia wapnia, który zwiększa lipolizę (rozkład tłuszczu) oraz zmniejsza lipogenezę w adipocytach. Warto zadbać także o odpowiednią podaż magnezu, który przyczynia się do poprawy profilu lipidowego we krwi oraz obniżenia ciśnienia tętniczego. Ważnym składnikiem diety jest również cynk, który pełni rolę katalizatora dla enzymów biorących udział w metabolizmie lipidów, węglowodanów i białek.

Suplementy diety

Suplementacja poszczególnymi składnikami diety powinna być rozpatrywana indywidualnie, w zależności od współistniejących jednostek chorobowych, zażywanych leków oraz sposobu odżywiania. Ogólnie zaleca się jedynie suplementowanie witaminy D3 w okresie jesiennozimowym, w dawce podtrzymującej lub wyrównującej jej poziom (w przypadku niedoboru).

Na rynku dostępne są także suplementy o potencjalnych mechanizmach działania wspomagających redukcję masy ciała. Należą do nich składniki, które mogą wpływać na uczucie sytości (błonnik pokarmowy, konjac, chityna, babka płesznik), zmniejszając syntezę lub zwiększając utlenianie tłuszczu (CLA, L-karnityna, kapsaicyna) oraz zwiększać podstawową przemianę materii (kofeina, kapsaicyna, żeń-szeń, ekstrakt z zielonej herbaty). Większość badań potwierdza jedynie pozytywny wpływ kofeiny i zielonej herbaty na wzrost utleniania tłuszczów. Warto pamiętać, że suplementy diety mogą być pomocne, ale nie są niezbędne. Na początku należy skupić się na podstawach: zmianie diety, zwiększeniu aktywności fizycznej, higienie snu, redukcji stresu, ponieważ bez zastosowania modyfikacji w tych ob-



szarach, nawet najlepsze suplementy nie przyniosą efektów.

Pomimo popularności trendu na „bycie fit” i zwiększeniu świadomości żywieniowej, cały czas odnotowuje się wzrost nadwagi i otyłości w Polsce i na świecie. Rozwój automatyzacji i siedzący tryb życia oraz łatwy dostęp do wysokoprzetworzonej żywności dodatkowo pogłębia ten problem. Otyłość jest to przewlekła choroba, która nieleczone prowadzi do rozwoju szeregu chorób i obniżenia jakości życia. Wiele osób z nadmierną masą ciała nie zdaje sobie sprawy z konsekwencji, dlatego tak ważna jest edukacja osób zagrożonych tym schorzeniem.



Mgr Magdalena Schulz - absolwentka dietetyki Collegium Medicum UMK, dietetyk kliniczny



Nagrody Nobla 2024

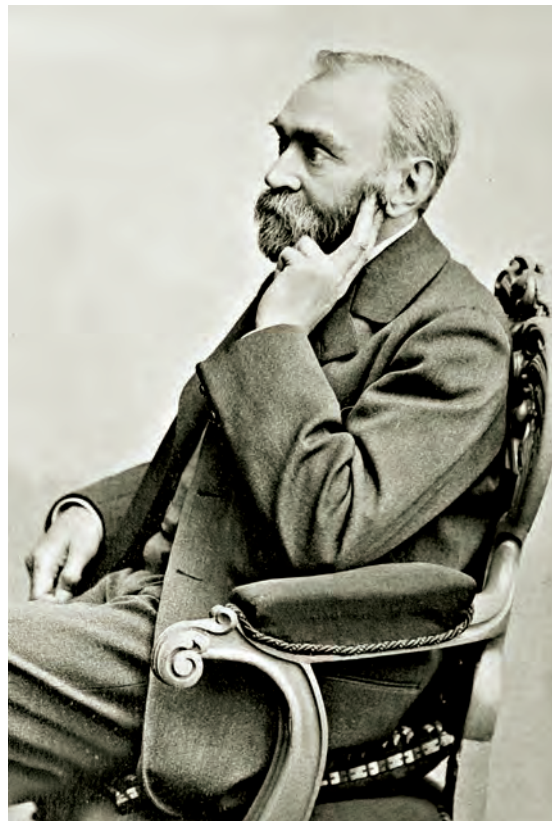
Fizjologia lub medycyna

Nagrodę Nobla w dziedzinie fizjologii lub medycyny przyznano dwóm wybitnym amerykańskim naukowcom Victorowi Ambrosowi i Gary'emu Ruvkunowi za odkrycie mikroRNA oraz jego kluczowej roli w regulacji genów w organizmach wielokomórkowych, w tym u ludzi.

Victor R. Ambros jest biologiem rozwojowym, który odkrył pierwszy znany mikroRNA (miRNA). Jest profesorem na University of Massachusetts Medical School w Worcester. Z kolei Gary Bruce Ruvkun jest biologiem molekularnym związanym z Massachusetts General Hospital i Harvard Medical School w Bostonie.

Tegoroczna Nagroda Nobla skupia się na odkryciu mechanizmu regulacji aktywności genów w komórkach. Do chwili odkrycia mikroRNA wiedzieliśmy jedynie, że tylko ok. 2% DNA jest nośnikiem tzw. twardych danych genetycznych. Pozostałe 98% materiału było strefą niepoznaną, którą nazwano mianem epigenetyki lub bardziej obrazowo mówiąc – „duchem genu”. Dzisiaj, dzięki odkryciom Ambrosa i Ruvkuna już wiemy, że cechy genetyczne mogą być także nabyte i kształtowane przez szeroko pojęte środowisko.

Informacja genetyczna przepływa od DNA do RNA za pośrednictwem procesu transkrypcji, a następnie mRNA (RNA przekąźnikowe) kieruje produkcją białek w komórce. Jak wyjaśnia jeden z noblistów, to geny instruuja maszynę komórkową, aby budowała określone białka, które wykonują większość pracy w komórce. Precyzyjna kontrola tego, które geny są przekształcane w białka, jest kluczowa dla życia. Jednak z biegiem lat okazało się, że proces ten nie jest tak prosty. Ambros i Ruvkun odkryli nowego niezwykle ważnego gracza – mikroRNA. Te małe fragmenty informacji genetycznej, same w sobie nie kodujące genu, wpływają na to, czy dana instrukcja genetyczna zostanie zrealizowana i czy nie mogą w pewien sposób zakłócać zaplanowaną produkcję białek. To nowe spojrzenie na regulację genów zrewolucjonizowało naszą wiedzę o tym, jak organizmy dostosowują swoje funkcje do zmieniających się warunków.



Portret Alfreda Nobla
Fot. Gösta Florman (1831–1900) / The Royal Library

Odkrycie tegorocznych noblistów otworzyło nową erę w badaniach naukowych. Współczesna biologia, a w ślad za tym medycyna, stale rozwija się w oparciu o to odkrycie. MikroRNA staje się kluczowym elementem w dociekaniach nad nowymi metodami leczenia wielu schorzeń. Praca tegorocznych laureatów przeniosła biologię molekularną na inny poziom, przynosząc nie tylko głębsze zrozumienie mechanizmów regulacji genów, ale także nowe możliwości medycyny precyzyjnej i leczenia celowanego.

W ubiegłym roku laureatami Nobla w dziedzinie fizjologii lub medycyny zostali Katalin Kariko i Drew Weissman. Nagrodzono ich za prace nad technologią umożliwiającą stworzenie szczepionki mRNA przeciw COVID-19.

Fizyka

Tym razem wyróżnienie przypadło naukowcom, którzy od ponad czterdziestu lat próbują zgłębić mechanizm zapamiętywania i przetwarzania informacji przez ludzki mózg, są to: John Joseph Hopfield 91-letni amerykański fizyk, emerytowany profesor Uniwersytetu w Princeton oraz Geoffrey Everest Hinton 77-letni kanadyjsko-brytyjski informatyk, związany z Uniwersytetem w Toronto.

John J. Hopfield już na początku lat 80. XX wieku rozpoczął pracę nad analizą ludzkiego procesu myślenia i zapamiętywania. W 1982 r. wydał swoją pierwszą pracę z zakresu neurologii pt. „Sieci neuronowe i systemy fizyczne z wschodzącymi zbiorowymi zdolnościami obliczeniowymi”. Przedstawił w niej projekt sztucznej inteligencji, którą dzisiaj nazywamy siecią Hopfielda. Jest to przykład sieci ze sprzężeniem zwrotnym (tzw. sieć rekurencyjna), którą sam opisał jako: „rodzaj sztucznej sieci, która może służyć jako pamięć adresowalna treściowo, stworzona z neuronów binarnych, które mogą być włączone lub wyłączone”. Należy zwrócić uwagę, że prof. John J. Hopfield jest synem pochodzącego z Płocka amerykańskiego fizyka polskiego pochodzenia Johna Josepha Hopfielda i fizyczki Helen Hopfield.

Drugi z nagrodzonych fizyków Geoffrey Everest Hinton jest Anglikiem i pochodzi z rodziny o długich tradycjach naukowych; studiował fizykę i fizjologię na Uniwersytecie Cambridge. W swoich zainteresowaniach naukowych łączy różne dziedziny nauki, poszukując źródeł i mechanizmów procesu głębokiego uczenia, czyli tworzenia głębokich sieci neuronowych w maszynach. Uczenie głębokie (deep learning) jest punktem wyjścia do tworzenia modeli i programów informatycznych symulujących zachowania częściowo inteligentne.

Geoffrey E. Hinton opublikował 200 prac dotyczących różnych sposobów wykorzystania sieci neuronowych w celu samodzielnego rozpoznawania, zapamiętywania i przetwarzania różnych symboli. Jest współtwórcą algorytmu „Forward-Forward” (FF), który wzorując się na zachowaniu ludzkich sieci neuronowych, ułatwia maszynowym sieciom neuronowym proces samouczenia.

Od 1901 r. do dzisiaj Szwedzka Królewska Akademia Nauk wyróżniła Nagrodą Nobla z fizyki 224 wybitnych naukowców i odkrywców

Chemia

Nagroda Nobla z Chemii za 2024 r. została przyznana trzem naukowcom za ich przełomowe badania nad białkami. Prof. David Baker z Uniwersytetu Waszyngtońskiego został wyróżniony za projektowanie nowych białek przy użyciu narzędzi komputerowych, natomiast Demis Hassabis i John Jumper (współzałożyciele firmy DeepMind Technologies, obecnie Google DeepMind) za stworzenie modelu sztucznej inteligencji AlphaFold2, opartego na algorytmach sztucznych sieci neuronowych, który przewiduje struktury białek wprost z ich sekwencji aminokwasowych.

Wspomniane odkrycia mają ogromny potencjał. Różnorodność życia świadczy o niesamowitych możliwościach białek jako narzędzi chemicznych. Kontrolują one i napędzają wszystkie reakcje chemiczne, które razem stanowią podstawę ziemskiego życia. Białka pełnią również funkcję hormonów, substancji sygnałowych, przeciwciał i elementów budulcowych różnych tkanek. Składają się zazwyczaj z różnych aminokwasów, które można opisać jako elementy składowe życia. W 2003 r. Davidowi Bakerowi udało się wykorzystać te elementy do zaprojektowania nowego białka, które nie przypominało żadnego innego. Od tego czasu jego grupa badawcza tworzyła jedno pomysłowe białko po drugim, w tym takie, które mogą być stosowane jako leki, szczepionki, nanomateriały i małe czujniki.

Drugie odkrycie dotyczy przewidywania struktur białek. W białkach aminokwasy są połączone w długie łańcuchy, które zwijają się, tworząc trójwymiarową strukturę. To ona determinuje funkcję białka. Od lat 70. naukowcy próbowali przewidywać struktury białek na podstawie sekwencji aminokwasów, ale było to niezwykle trudne. Jednak cztery lata temu nastąpił przełom. W 2020 r. Demis Hassabis i John Jumper zaprezentowali model sztucznej inteligencji AlphaFold. Dzięki niemu byli w stanie przewidzieć strukturę praktycznie wszystkich 200 milionów białek zidentyfikowanych przez naukowców. Od ich przełomu AlphaFold zostało wykorzystane przez ponad dwa miliony osób ze 190 krajów. Wśród niezliczonych zastosowań naukowych uczeni mogą teraz lepiej zrozumieć oporność na antybiotyki i tworzyć obrazy enzymów, które mogą np. rozkładać plastik.

Literatura

W 2024 r. literacką Nagrodę Nobla przyznano Han Kang „za intensywną prozę poetycką, która konfrontuje się z historycznymi traumami i obnaża kruchość ludzkiego życia”.

Han Kang urodziła się w 1970 r. w południowokoreańskim mieście Gwangju, a w wieku dziewięciu lat przeprowadziła się z rodziną do Seulu. Pochodzi ze środowiska literackiego, a jej ojciec jest uznanym powieściopisarzem. Oprócz pisania poświęciła się także sztuce i muzyce, co znajduje odzwierciedlenie w całej jej twórczości literackiej.

Laureatka rozpoczęła swoją karierę w 1993 r. od publikacji kilku wierszy w magazynie „Literature and Society”. Zbiór opowiadań *Love of Yeosu* (1995) był jej debiutem prozatorskim. Wkrótce ukazało się kilka kolejnych utworów, zarówno powieści, jak i opowiadań. Wśród nich na uwagę zasługuje powieść *Your Cold Hands*, która nosi wyraźne ślady zainteresowania pisarki sztuką. Książka powstała na bazie manuskryptu, pozostawionego przez zaginionego rzeźbiarza, który miał obsesję na punkcie tworzenia gipsowych odlewów kobiecych ciał. Jest tu mowa o ludzkiej anatomii i grze między osobowością a doświadczeniem, gdy w pracy rzeźbiarza pojawia się konflikt między tym, co ciało ujawnia, a tym, co ukrywa. Pod koniec książki autorka stwierdza m.in.: „Życie to prześcieradło wygięte w łuk nad otchłanią, a my żyjemy nad nim jak zamaskowani akrobaci”.

Han Kang zadebiutowała na arenie międzynarodowej powieścią *Wegetarianka*. Książka przedstawia brutalne konsekwencje, które osiągają bohaterkę Yeong-hye, gdy ta odmawia podporządkowania się normom spożycia żywności (nie chce jeść mięsa).

Jak czytamy w laudacji: „Prace Han Kang charakteryzują się podwójną ekspozycją bólu, korespondencją między udręką psychiczną i fizyczną, z bliskimi powiązaniem z myślą Wschodu”. W swojej twórczości pisarka konfrontuje się z historycznymi traumami i niewidzialnymi zestawami reguł, a w każdej ze swoich prac obnaża kruchość ludzkiego życia. Ma wyjątkową świadomość powiązań między ciałem i duszą, żywymi i umarłymi, a dzięki swojemu poetyckiemu i eksperymentalnemu stylowi stała się innowatorem we współczesnej prozie.

W tłumaczeniu na język polski ukazały się następujące książki Han Kang: *Wegetarianka*, *Nie mówię żegnaj*, *Nadchodzi chłopiec* i *Biała elegia*.

Warto przy okazji przypomnieć, że w tym roku mijają równo 100 lat od daty przyznania Władysławowi Reymontowi literackiej Nagrody Nobla (1924) za czterotomową „epopeję chłopską” pt. *Chłopi*.

Nauki ekonomiczne

Jak podała w uzasadnieniu Królewska Szwedzka Akademia Nauk, laureatami Nagrody Banku Szwecji im. Alfreda Nobla w dziedzinie nauk ekonomicznych w 2024 r. zostali: Daron Acemoglu (MIT), Simon Johnson (MIT) i James A. Robinson (Uniwersytet w Chicago) „za badania nad tym, jak tworzone są instytucje i jak wpływają one na dobrobyt”.

Polem badawczym dla ekonomistów były czasy kolonialne. Nie badano krzywd wyrządzonych przez zachodnich najeźdźców, lecz to, czy udało im się zbudować w niektórych miejscach trwałe instytucje oraz czy dzięki ich istnieniu ludzie szybciej się bogacili. „Inkluzywne instytucje były często wprowadzane w krajach, które były biedne, ale z czasem skutkowało to wzrostem zamożności populacji. To tłumaczy dlaczego niektóre dawne bogate kolonie są teraz biedne i odwrotnie” – tłumaczy komitet noblowski. Z kolei Jakob Svensson, przewodniczący komitetu nagrody, podkreślił: „Zmniejszenie ogromnych różnic w dochodach między krajami jest jednym z największych wyzwań naszych czasów. Laureaci pokazali, jak ważne są instytucje społeczne dla osiągnięcia tego celu”.

Na pytanie, dlaczego istnieją tak ogromne różnice w dobrobycie między narodami, nagrodzeni naukowcy wyjaśniają, że ważną przyczyną są różnice w instytucjach społecznych. W ramach badań wyeliminowali wiele innych czynników, które mają wpływ na zamożność krajów i porównali systemy polityczne oraz ekonomiczne, które kolonizatorzy wprowadzili lub postanowili zachować od XVI w. Badacze wykazali zaskakującą prawidłowość – miejsca, które były relatywnie najbogatsze w czasach kolonizacji, są teraz jednymi z najbiedniejszych. Wykazali również, że to odwrócenie nastąpiło głównie w związku z rewolucją przemysłową.

Ciekawe jest w tym kontekście prześledzenie losów miasta Nogales, leżącego na granicy między USA a Meksykiem. Właściwie są to dwa miasta, gdyż z biegiem lat rozwinęły się w zupełnie inne organizmy. Również pod względem bogactwa. W USA miasto leży w Arizonie. Jego mieszkań-

cy są stosunkowo zamożni, a wolne wybory dają mieszkańcom możliwość zastąpienia polityków, z których nie są zadowoleni. Z kolei w meksykańskim Nogales w stanie Sonora, mieszkańcy są znacznie biedniejsi, niż po północnej stronie granicy. Doskwiera im zorganizowana przestępczość, która wpływa na ryzyko prowadzenia biznesu i zmniejszenie miejsc pracy. Poza tym trudno jest tam zmienić skorumpowanych polityków, nawet jeśli szanse na to wzrosły od czasu demokratyzacji Meksyku, ok. 20 lat temu. Tegoroczni laureaci pokazali, że podzielone miasto Nogales nie jest wyjątkiem. Jest częścią modelu, który swoje korzenie ma w czasach kolonialnych.

Pokojowa Nagroda Nobla

Nihon Hidankyo to japońska organizacja, która zrzesza ocalałych z ataków atomowych na Hiroszimę i Nagasaki z 1945 r. Instytucja ta posiada placówki we wszystkich 47 prefekturach Japonii. Członkami tej organizacji mogą być wyłącznie ludzie, którzy przeżyli eksplozje bomb atomowych w Hiroszimie i Nagasaki (6 i 9 sierpnia 1945 r.). Tak samo w skład zarządu stowarzyszenia wchodzić mogą jedynie osoby ocalone. W języku japońskim osoby, które przeżyły te ataki są określane jako „Hibakusha”.

Łączna liczba Hibakusha mieszkających w Japonii i na świecie wynosi obecnie około 106 825 osób (stan na marzec 2024 r.). Jeszcze do końca 2024 r. liczba osób ocalałych w atakach atomowych na Japonię z 1945 r. przewyższy liczbę żyjących amerykańskich weteranów II wojny światowej.

Norweski Komitet Noblowski (Pokojowa Nagroda Nobla jest jedyną z nagród noblowskich, która jest przyznawana przez organizację spoza Szwecji, jaką jest Norweski Komitet Noblowski) w uzasadnianiu decyzji o przyznaniu tej prestiżowej nagrody właśnie Nihon Hidankyo, pochwalił organizację za to, iż pokazała, że „broń nuklearna nigdy więcej nie może zostać użyta”. W tym kontekście wskazano również duże znaczenie prac instytucji w zakresie zbierania i popularyzacji tragicznych świadectw osób, które przeżyły zrzucone bomb atomowych na Hiroszimę i Nagasaki.

„Pewnego dnia osoby ocalałe z ataków atomowych na Hiroszimę i Nagasaki nie będą już z nami jako świadkowie historii. Jednak dzięki silnej kul-



turze pamięci i ciągłemu zaangażowaniu młodego pokolenie w Japonii w tę sprawę, doświadczenia i przesłanie tych osób będzie przekazywane dalej” – przekazał Norweski Komitet Noblowski przy ogłaszaniu swojej decyzji w Oslo. Japońskie stowarzyszenie zostało także pochwalone za wniesienie istotnego wkładu w utrzymanie tabu dotyczącego broni nuklearnej, które określono jako „warunek wstępny do osiągnięcia przez ludzkość pokojowej przyszłości”.

Komitet uzasadniając wybór tegorocznego laureata, podkreślił, iż czymś budującym na przyszłość jest fakt, iż od prawie 80 lat broń nuklearna nie została użyta w trakcie działań wojennych. Jednocześnie przyznał, że tegoroczne wyróżnienie zostało wręczone w momencie, gdy „tabu dotyczące możliwości użycia broni nuklearnej znajduje się pod presją”. Przy ogłaszaniu Pokojowej Nagrody Nobla 2024 przewodniczący komitetu, Jørgen Watne Frydnes, stwierdził: „Historie i świadectwa Hibakusha stanowią ważne przypomnienie tego jak nieakceptowalne jest użycie broni nuklearnej”.

Norweski Komitet Noblowski stwierdził również, iż za sprawą tegorocznej nagrody chce „uhonorować wszystkich ocalałych, którzy mimo fizycznego cierpienia i bolesnych wspomnień zdecydowali się wykorzystać swoje kosztowne doświadczenia, aby pielęgnować nadzieję i zaangażowanie na rzecz pokoju”.

Przygotował i opracował: dr Wojciech Streich

Józef Szudy

Jak Kazimierz Antonowicz uniknął Katynia i utworzył fizykę węgla w Toruniu

Kazimierz Antonowicz – jeden z pionierów fizyki rezonansów magnetycznych i fizyki węgla w Polsce – urodził się 21 maja 1914 r. w Nowo-Święcianach, pow. Święciany na Wileńszczyźnie.

Jego ojciec był pracownikiem warsztatów kolejowych, dlatego gdy Niemcy w roku 1915 zbliżali się do Wilna, został wraz z rodziną przez władze rosyjskie ewakuowany do Petersburga, wówczas przemianowanego na Piotrogród, a jeszcze później na Leningrad. Paradoksalnie po wybuchu II wojny światowej ten fakt wpłynął szczęśliwie na losy Antonowicza i ocalił mu życie.

W 1921 r. Antonowicz wraz z rodziną repatriował się z Piotrogradu do Polski i powrócił do Nowo-Święcian. Następnie uczęszczał do gimnazjum w Święcianach, gdzie w 1933 r. uzyskał maturę, po czym rozpoczął studia fizyki na Uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie. W 1936 r. został powołany do wojska, do Szkoły Podchorążych Artylerii w Za-

mbrowie, którą ukończył w stopniu plutonowego podchorążego. Po skończeniu służby wojskowej powrócił na uniwersytet i kontynuował studiowanie fizyki. Pracę magisterską w zakresie fizyki doświadczalnej wykonywał pod kierunkiem prof. Wacława Dziewulskiego, lecz po jego śmierci (sierpień 1938) opiekę merytoryczną nad jego pracą przejął prof. Aleksander Jabłoński. W lecie 1939 r. miał już zaawansowaną pracę magisterską, ale nie zdążył jej ukończyć z powodu wybuchu wojny. Został powołany do wojska i wziął udział w kampanii wrześniowej jako podoficer łącznikowy artylerii. 18 września 1939 r. jego oddział został otoczony przez żołnierzy sowieckich w okolicach Kowla na Wołyniu; Antonowicz został aresztowany i wywieziony do obozu jenieckiego NKWD w Griażowcu pod Wołogdą. W czasie przesłuchania okazało się, że przesłuchujący go oficer NKWD pochodził z Piotrogradu (Leningradu) i w latach 1915–1921 jako kilkuletni chłopak mieszkał w tej samej kamienicy, w której mieszkała rodzina Kazimierza Antonowicza. Wydaje się, że sentymtalne wspomnienia z dzieciństwa spowodowały, że oficer ten doprowadził do zwolnienia plutonowego podchorążego Kazimierza Antonowicza z obozu w Griażowcu. Interesujące informacje na temat szczegółów tego zwolnienia są zawarte w wywiadzie z prof. Antonowiczem przeprowadzonym przez toruńskiego historyka prof. Sławomira Kalembkę 23.10.1989 r. Cały wywiad jest opublikowany w artykule Kalembki *Jeszcze jedno świadectwo o zbrodni katyńskiej. Relacja Profesora Kazimierza Antonowicza*¹.

Funkcjonariusze NKWD wyprowadzili Antonowicza z obozu w Griażowcu i wraz z nim udali się na stację kolejową. Na torach czekał pociąg z wagonami towarowymi, który stanowił transport jeńców polskich; strażnicy wprowadzili go do jednego z wa-



Fot. nadesłana

¹ W książce: *Pomorze – Polska – Europa. Studia i materiały z dziejów XIX i XX wieku*, Wydawnictwo UMK, Toruń 1995, s. 311–332.

gonów. Pociąg ruszył i jechał w kierunku Smoleńska, gdzie został przeprowadzony do innego pociągu, który miał jechać w kierunku Lidy. W czasie gdy przechodził peronem, zorientował się, że w innych wagonach pociągu, którym do tej pory jechał, znajdują się uwięzieni oficerowie polscy. Od strażników, którzy go eskortowali, dowiedział się, że mają one jechać do Kozielska. W zadrutowanych wagonach siedzieli oficerowie rozstrzelani później (w kwietniu 1940) w Katyniu. Po przyjeździe do Lidy eskortujący Antonowicza funkcjonariusze NKWD oświadczyli mu, że jest wolny i pozwolili mu udać się do Wilna. Dotarł tam pod koniec listopada i natychmiast zgłosił się do pracy w Zakładzie Fizycznym Uniwersytetu Stefana Batorego, jednak po dwóch tygodniach (15.12.1939) uniwersytet został zlikwidowany przez władze litewskie.

Po perypetiach wojennych Antonowicz osiedlił się najpierw w Bydgoszczy, gdzie został zatrudniony jako kierownik radiostacji nadawczej Polskiego Radia, a następnie przeszedł do radiostacji w Toruniu. Jednocześnie na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu podjął na nowo studia fizyki i wykonał nową pracę magisterską pod kierunkiem prof. Aleksandra Jabłońskiego. Stopień magistra uzyskał w 1950 r. i w tym samym roku został zatrudniony na stanowisku starszego asystenta w Katedrze Fizyki Doświadczalnej UMK. W roku 1954 uzyskał doktorat na podstawie pracy poświęconej konstrukcji przyrządu do całkowania równania Schrödingera. Antonowicz wykorzystał analogię pomiędzy równaniem Schrödingera a równaniem różniczkowym opisującym ruch igły magnetycznej w polu magnetycznym. W rezultacie powstał jedyny w swoim rodzaju elektroniczny instrument należący do typu maszyn matematycznych analogowych, który w swoim czasie zrobił pewne wrażenie na środowisku fizyków. Był odnotowany m.in. w podręczniku *Teoria kwantów - Mechanika falowa* Iwo Białynickiego-Biruli, Marka Cieplaka i Jerzego Kamińskiego. Szybki rozwój komputerów spowodował jednak, że przyrząd ten ma obecnie znaczenie jedynie historyczne.

Po doktoracie Antonowicz rozpoczął pionierskie badania zjawiska jądrowego rezonansu magnetycznego (NMR). Z tej tematyki w 1957 r. opublikował pracę, w której opisał wyniki swych doświadczeń nad NMR w płynącej cieczy. Była to jedna pierwszych prac z dziedziny radiospektroskopii rezonansów magnetycznych wykonanych w Polsce. W latach 1959–1961 przebywał na stypendium w Carbon Research Laboratory na Uniwersytecie

w Buffalo, gdzie zapoznał się z technikami EPR (elektronowy rezonans paramagnetyczny) i przy ich pomocy prowadził badania materiałów węglowych. Po powrocie do Torunia zbudował aparaturę EPR i przy jej użyciu rozpoczął badania w dziedzinie fizyki węgla w utworzonej specjalnie dla niego Katedrze Elektroniki i Fizyki Ciała Stałego UMK. Jako profesor zwyczajny i kierownik tej Katedry prowadził systematyczne badania różnych rodzajów materiałów węglowych przy użyciu technik EPR i NMR.

Rozwinął wraz ze współpracownikami program poszukiwania nowych materiałów węglowych o niezwykłych własnościach fizycznych i chemicznych, takich jak węgle pirolityczne, węgle szkłopodobne oraz włókna węglowe. W roku 1974 ogłosił w *Nature* pracę *Possible superconductivity at room temperature* [tom 247, 358 (1974)], zawierającą wyniki badań próbek węgla bezpostaciowego, przez które przepuszczano prąd elektryczny. Okazało się, że próbki te stają się nie tylko wielokrotnie bardziej przewodzące, ale i po wyłączeniu prądu „zapamiętują” ten stan. Zaproponowana przez Antonowicza interpretacja tego zjawiska wskazywała na możliwość pojawienia się efektu nadprzewodnictwa w temperaturach pokojowych. Stało się to jednak źródłem pewnych kontrowersji, gdyż powszechnie przyjęta teoria BCS (Bardeen, Cooper, Shrieffer) ograniczała możliwość występowania nadprzewodnictwa jedynie do temperatur bardzo niskich, takich jakie cechują ciekły hel. Trzeba jednak podkreślić, że Antonowicz nigdy nie twierdził, że odkrył zjawisko nadprzewodnictwa w temperaturze pokojowej. Jedynie mówił o możliwościach pojawienia się takiego efektu.

Na początku XXI wieku w kilku laboratoriach podjęto próby znalezienia materiałów wykazujących efekt nadprzewodnictwa w temperaturach znacznie przekraczających temperatury helowe. Wśród tych materiałów są także materiały węglowe. Autorzy tych prac nawiązują do publikacji Antonowicza z 1974 r. W ostatnich latach – w wielu laboratoriach na świecie – trwały i nadal trwają usilne próby znalezienia materiałów wykazujących nadprzewodnictwo w temperaturach pokojowych. Wiele z tych prób okazało się kompletnie nieudanych, ale niektóre są obiecujące. W nawiązaniu do średniowiecznych legend o rycerzach króla Artura, poszukujących tajemniczego kielicha, czyli Świętego Graala, używanego przez Zbawiciela podczas Ostatniej Wieczerzy, próby te nazwano poszukiwaniem *Świętego Graala fizyki fazy skondensowanej*. Jednak

zaczęły pojawiać się doniesienia o bliżej niezidentyfikowanych związkach, których wyników nikomu nie udawało się powtórzyć. Niektórzy twierdzą, że są to tak zwane USO (*Unidentified Superconducting Objects*, *Niezidentyfikowane Obiekty Nadprzewodzące*) w analogii do UFO. Warto jednak odnotować, że niedawno, w styczniu 2024 r., międzynarodowy zespół badaczy pracujących w laboratoriach *Terra Quantum* (St. Gallen, Szwajcaria) ogłosił, że dokonał pierwszej obserwacji nadprzewodnictwa w temperaturze pokojowej stosując materiał węglowy, znany jako grafit pirolityczny. Odkrycie to nie zostało do tej pory potwierdzone w innym laboratorium. Tym niemniej wybitny ekspert w dziedzinie nadprzewodnic-

stwa wysokotemperaturowego prof. Paul Ching-Wu Chu z Uniwersytetu w Houston w Teksasie w trakcie wywiadu prasowego (*New York Times*) powiedział: *Jeśli wyniki okażą się prawdziwe, to zdecydowanie mamy tutaj do czynienia ze znaczącym postępem. To by znaczyło, że droga na odnalezienie Świętego Graala fizyki fazy skondensowanej jest właściwa. A na początku tej drogi był Kazimierz Antonowicz.*

Profesor zmarł 5 maja 2003 r., jest pochowany na Cmentarzu św. Jerzego w Toruniu.

Prof. dr hab. Józef Szudy – fizyk, były dziekan Wydziału Fizyki, Astronomii i Informatyki Stosowanej UMK

Bartosz Rakoczy

Możliwości rozporządzenia majątkiem na wypadek śmierci

Głośna w ostatnim czasie medialna sprawa Zygmunta Solorza inspiruje do przybliżenia Czytelnikom „Głosu Uczelni” kwestii możliwości rozporządzenia swoim majątkiem na wypadek śmierci. Wprawdzie miałem już przyjemność i zaszczyt publikować krótki artykuł na temat spadkobrania, jednak na kanwie tej sprawy warto przypatrzeć się również innym sposobom rozporządzenia majątku na wypadek śmierci.



Przypomnieć należy, iż w systemie prawa polskiego istnieją dwa sposoby spadkobrania (dziedziczenia). Polski system prawny przewiduje możliwość spadkobrania albo z mocy ustawy (z mocy prawa), albo z mocy testamentu. Preferowanym przez ustawodawcę sposobem powołania do spadku są spadkobrania testamentowe. W tym bowiem przypadku o losach majątku decyduje wola samego spadkodawcy. Spadkobranie ustawowe pełni w zamyśle ustawodawcy rolę uzupełniającą, kiedy spadkodawca nie pozostawił testamentu, albo kiedy testament okazał się nieważny. Jednak sporządzenie testamentu powołującego określonego spadkodawcę lub określonych spadkodawców nie jest jedynym rozporządzeniem majątkowym na wypadek śmierci. Coraz bardziej dynamiczne i złożone stosunki majątkowe wymagają od ustawodawcy reakcji w zakresie wprowadzania rozwiązań odpowiadających tej dynamice i złożoności. Jednym ze sposobów rozporządzenia majątkiem na wypadek śmierci jest sporządzenie zapisu. Zapis jest instytucją prawa spadkowego pozwalającą spadkodawcy rozporządzić pewnymi tylko składnikami majątku. Zapis jest rozporządzeniem testamentowym, na mocy którego spadkodawca zobowiązuje spadkobiercę do spełnienia jakiegoś

określonego i konkretnego świadczenia majątkowego na rzecz określonej, uprawnionej osoby, która określana jest jako zapisobierca. Instytucja zapisu polega zatem na zobowiązaniu spadkobiercy do dokonania na rzecz zapisobiercy określonego świadczenia majątkowego. Przykładowo zapis może polegać na zobowiązaniu spadkodawcy do przeniesienia na zapisobiercę prawa własności określonej rzeczy ruchomej lub nieruchomości, czy na przeniesieniu jakichś innych praw majątkowych (np. majątkowych praw autorskich).

Po stronie zapisobiercy powstaje roszczenie, ale jedynie o dane konkretne zobowiązanie na jego rzecz. Rozporządzeniem majątkowym może być też tzw. zapis windykacyjny. Podobnie jak zapis, zapis windykacyjny jest rozporządzeniem testamentowym, czyli musi być wyrażony w testamencie. Zapis windykacyjny polega na wskazaniu, iż oznaczona osoba nabędzie przedmiot tego zapisu z chwilą otwarcia spadku, a więc z chwilą śmierci spadkodawcy.

Z uwagi na charakter prawny zapisu windykacyjnego wymaga się, aby był on sporządzony w formie aktu notarialnego.

W odróżnieniu od zapisu zapis windykacyjny nie powoduje jedynie powstania roszczenia po stronie zapisobiercy, ale powoduje nabycie przedmiotu zapisu od razu z chwilą śmierci spadkodawcy.

W odróżnieniu od spadkobrania w przypadku zapisu windykacyjnego nabycie obejmuje nie ogół praw i obowiązków majątkowych zmarłego, ale jedynie konkretny element majątku zmarłego.

Innym rozporządzeniem na wypadek śmierci jest polecenie. Polecenie również jest rozporządzeniem, które winno być określone w testamencie. Polecenie polega na nałożeniu na spadkobiercę lub **zapisobiercę** jakiegoś określonego obowiązku działania lub zaniechania. Jednak w odróżnieniu od zapisu polecenie nie przewiduje wskazania osoby wierzyciela, a więc osoby która mogłaby zgłosić roszczenie do spadkobiercy lub zapisobiercy o wykonanie tego polecenia.

Odrębnie należy wskazać, iż sukcesję przedsiębiorstw prowadzonych przez osoby fizyczne od 25 listopada 2018 r. obowiązuje ustawa regulująca tzw. zarząd sukcesyjny, która wprowadza pewne, samodzielne rozwiązania prawne. Uchwalenie tej ustawy wynikało z potrzeby zapewnienia kontynuowania możliwości prowadzenia przedsiębiorstwa po śmierci osoby fizycznej, która je do tej pory prowadziła. Ustawodawca dostrzegł, iż instrumenty

prawne klasycznego prawa spadkowego nie są tutaj wystarczające i uznał, że konieczne jest prowadzenie odrębnych rozwiązań właśnie w związku z sukcesją przedsiębiorstwa prowadzonego przez osobę fizyczną.

Zasadniczym elementem tej konstrukcji prawnej jest to, że po śmierci osoby fizycznej prowadzącej przedsiębiorstwo dalej będzie je prowadził tzw. zarządca sukcesyjny, który co do zasady przez 2 lata, a w wyjątkowych sytuacjach przez 5 lat będzie prowadził to przedsiębiorstwo.

Rola zarządcy sukcesyjnego jest rolą tymczasową, a podstawowym zadaniem jest podtrzymanie kontynuacji funkcjonowania przedsiębiorstwa. Zarządcę sukcesyjnego co do zasady może powołać ten sam przedsiębiorca który prowadził dotychczas przedsiębiorstwo. Istotną cechą tej instytucji jest to, że obejmuje ona tylko przedsiębiorstwo rozumiane jako zespół składników materialnych i niematerialnych służących do prowadzenia działalności gospodarczej. Nie obejmuje natomiast całego majątku spadkodawcy. Ten bowiem podlega regułom ogólnym.

Wskazane wyżej sposoby rozporządzenia majątkiem na wypadek śmierci stanowią interesującą i ważną alternatywę dla rozwiązania polegającego na powołaniu spadkobiercy. Umożliwiają one spadkodawcy zachowanie pewnej elastyczności w rozporządzaniu swoim majątkiem na wypadek śmierci.



Prof. dr hab. Bartosz Rakoczy – kierownik Katedry Prawa Ochrony Środowiska i Publicznego Prawa Gospodarczego, Wydział Prawa i Administracji UMK





Fot. Andrzej Romański

Żaneta Kopczyńska

Ostrakon w Bibliotece Uniwersyteckiej

Gościem Biblioteki Uniwersyteckiej był Krzysztof P. Czyżewski, autor książki *Ostrakon. Da Vinci i Kopernik – spotkanie, o którym Watykan wolałby zapomnieć*. Akcja tej sensacyjno-historycznej powieści rozgrywa się zarówno w murach naszej uczelni, jak i w samym sercu Torunia, co czyni ją wyjątkową promocją Uniwersytetu Mikołaja Kopernika oraz miasta.

Krzysztof P. Czyżewski, absolwent prawa na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika i adwokat specjalizujący się w prawie własności intelektualnej oraz prawie filmowym ma już na swoim koncie inne powieści sensacyjno-historyczne: *Izabela. Świat w płomieniach* oraz *Izabela i sześć zaginionych koron*. 17 października br. w Bibliotece Uniwersyteckiej spotkał się z czytelniczkami i czytelnikami, by opowiedzieć o swojej najnowszej książce *Ostrakon*.

– Treść odnosi się do zarówno do Uniwersytetu, jak i do naszej Biblioteki, nie ma więc chyba lepszego miejsca, gdzie moglibyśmy spotkać się i porozmawiać z autorem książki – witał licznie zgromadzonych gości dr Krzysztof Nierzwicki, dyrektor Biblioteki Uniwersyteckiej.

Akcja powieści Czyżewskiego toczy się na dwóch planach czasowych. W roku 2023 w niewyjaśnionych okolicznościach ginie wybitny profesor historii starożytnej, Zygmunt Rokosz. Śledztwo w tej sprawie utyka w martwym punkcie, z czym nie może pogodzić się Łucja, żona profesora, która rozpoczyna własne śledztwo. Już wkrótce przez tropy zakodowane z dzieł sztuki, odkrywa sekrety męża prowadzące do intrygi ukrytej w mrokach historii. Czytelnicy i czytelniczki przenoszą się także do roku 1507, kiedy to Mikołaj Kopernik zostaje wezwany na prywatną audiencję do króla Zygmunta, który powierza mu wyjątkową misję – astronom z tajemniczą skrzynią ma dotrzeć aż do Rzymu. Wyprawa okazuje się znacznie niebezpieczniejsza, niż przypuszczał. Wieści o sekretnej przesyłce i emisariuszu docierają do przedstawicieli tajnego stowarzyszenia, a do Rzymu zjeżdżają najwybitniejsze umysły renesansu, w tym Leonardo da Vinci.

Co wspólnego ma tajna misja Mikołaja Kopernika z niewyjaśnioną śmiercią profesora? Co się stanie, jeśli zawartość skrzyni dostanie się w niepowołane ręce? Kto wydał wyrok na Zygmunta i Łucję? Czytel-

nicy i czytelniczki powieści znają już odpowiedzi na te pytania, kolejne osoby rozszyfrują je z pewnością już wkrótce – po spotkaniu w Bibliotece Uniwersyteckiej zainteresowanie historią przedstawioną przez Krzysztofa P. Czyżewskiego było duże.

Spotkanie prowadzili prof. Rafał Moczko od z Wydziału Humanistycznego i prof. Adam Kola, prorektor ds. nauki UMK. W krzyżowym ogniu pytań Krzysztof P. Czyżewski opowiadał m.in. o inspirującej postaci Kopernika i nie w pełni wykorzystanym potencjale tego bohatera w twórczości literackiej.

– Kopernik, choć nie dosłownie, pojawia się na kartach mojej poprzedniej książki. Już wtedy pomyślałem, że ten okres historii i właśnie ten bohater zasługują na pierwszoplanowe role – mówi Krzysztof.

P. Czyżewski. – Nie jestem historykiem, więc mam to szczęście, że mogę bawić się hipotezami i niedopowiedzeniami historycznymi – to mnie pożywia jako autora.

Uczestniczki i uczestników spotkania interesował też proces twórczy autora – jego zwyczaje, inspiracje i motywacje. Nie zabrakło też rozmów o UMK i Toruniu, w tym wspomnień autora o miejscu jego studiów.



Mgr Żaneta Kopczyńska — Dział Promocji i Komunikacji UMK

Winicjusz Schulz

Pytania o życie

Takie książki w dzisiejszych czasach pojawiają się rzadko, bardzo rzadko! Mamy mnóstwo publikacji specjalistycznych z różnych dziedzin, ale formułowanie pytań i próby odpowiedzi na najbardziej fundamentalne pytania dotyczące naszego świata i wszechświata to domena tylko najwybitniejszych uczonych. I spory akt naukowej odwagi!

Takiego zadania podjął się (i to po raz kolejny) prof. Jan Kopcewicz, biolog, były wielokrotny rektor Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu. Książka nosząca tytuł *Pytania o życie* wydana została staraniem Wydawnictwa Naukowego Uniwersytetu Mikołaja Kopernika.

6 listopada 2024 r. w Bibliotece Uniwersyteckiej odbyło się spotkanie z autorem, które miałem przyjemność poprowadzić. Była to już kolejna taka okazja z mojej strony (i rzecz jasna zaszczyt) do publicznego wywiadu z Panem Profesorem. W imprezie uczestniczyło wielu naukowców, pracowników UMK. Obecne władze rektorskie reprezentowała prof. Joanna Kucharzewska, prorektorka UMK do spraw promocji i współpracy z otoczeniem gospodarczym.



Fot. Andrzej Romański

– Jestem biologiem, w związku z tym szeroko pojęta problematyka życia zawsze była dla mnie w centrum zainteresowania – tymi słowami prof. Jan Kopcewicz rozpoczął spotkanie. – Zdaję sobie sprawę, że choć o różnych aspektach życia sporo wiemy, to jednak wciąż istnieją duże obszary niewiedzy, wątpliwości, niejasności, niepewności. Dotyczą one zarówno powstania życia, jego funkcjonowania, jak i jego miejsca we wszechświecie, w przyrodzie.

Prof. Kopcewicz przyznał, że ta książka to właśnie efekt jego odniesienia się do tych problemów. *Pytania o życie* – tych pytań jest jedenaście. Trzy są natury kosmologicznej, pięć natury biologicznej, a trzy – ogólnofilozoficznej. Profesor zastrzegł się jednak, że w żadnym wypadku nie zakładał podania komukolwiek „prawd na tacy”; wręcz przeciwnie – to jest prezentacja różnych możliwości podejścia do danego tematu. I wyraził nadzieję, że czytelnik będzie w stanie sam przyjąć z tych różnych interpretacji taką, która będzie dla niego najbardziej odpowiednia.

– Jeśli ktoś twierdzi, że zna odpowiedzi na te egzystencjalne pytania, które ja zadałem, to tylko... on je zna. To dyskusyjna książka, przedstawia pewien zarys możliwych odpowiedzi – dodał prof. Jan Kopcewicz.

Jakie zatem padają pytania w tej książce? To pytania (i próby odpowiedzi) o Wszechświat, prawa natury, o to, czy Wszechświat jest przyjazny dla życia, czym jest samo życie, powstało naturalnie czy zostało stworzone, czy historia życia to zbiór przypadków czy program, co z ewolucją życia, z mózgiem, umysłem i duszą, jaka jest natura bytu, jak ująć metodologię nauk o życiu i wreszcie i to – o znaczenie i sens życia we Wszechświecie.

Spotkanie z prof. Janem Kopcewiczem trwało dwie godziny. Padło wiele ważnych pytań. Usłyszeliśmy wiele ciekawych, intrygujących odpowiedzi. A dla tych Państwa, którzy nie mogli w spotkaniu uczestniczyć, miła wiadomość: w kolejnym numerze „Głosu” opublikujemy obszerny wywiad z prof. Janem Kopcewiczem na temat *Pytań o życie*.

Jarosław Dumanowski

I znowu Wigilia...

W tym roku po raz kolejny zdałem sobie sprawę, że zbliżają się święta Bożego Narodzenia i jak co roku poprzedzone są Wigilią.



Temat to o tyle istotny, że Wigilia, czyli przeddzień, oczekiwanie i zapowiedź jest tu właściwie ważniejsza niż same święta. Widać to zwłaszcza z kulinarnego punktu widzenia. O ile Wigilia od wieków ma przypisane własne, zupełnie wyjątkowe menu, to na same święta jemy już bardzo różne rzeczy, często zresztą smakołyki pozostałe po wieczery wigilijnej.

Do pisania o Wigilii po raz kolejny skłoniła mnie, oprócz oczywistego faktu upartego powtarzania się zjawiska, inicjatywa wpisania polskich tradycji wigilijnych na listę niematerialnego dziedzictwa kulturowego UNESCO. Chodzi najpierw o listę krajową, a potem właściwie samą listę UNESCO (światową). Wpis na listę światową będzie przygotowywany razem z Litwą i Ukrainą. Jako inicjatywa międzynarodowa będzie szczególnie uprzywilejowany (nie będzie się wliczał do ograniczeń i kolejki związanej z rejestracją wpisów narodowych).

Powstaje oczywiście pytanie, co właściwie należy przedstawić do rejestracji, czy należy jakoś szczególnie uprzywilejować samą wieczerę wigilijną i jej niezwykle menu, czy ma to być wpis dotyczący współczesności, czy skupiać się na dawnej

kulturze ludowej, w większości zapomnianych już tradycjach i dawnej historii. Czy ma dotyczyć powszechnych dzisiaj zwyczajów czy też dawnych rytuałów religijnych, a jeśli tak to jakich wyznań? Pytań jest tu sporo, tym bardziej, że koordynacja wniosku międzynarodowego wymaga ujednoczenia przynajmniej pewnych kierunków, na szczęście zadanie to wzięta na siebie Litwa.

Sam fakt wystąpienia ze wspólną inicjatywą przez trzy kraje wskazuje na ponadnarodowy i ponadwyznaniowy, wspólnotowy wymiar tej tradycji. Jest ona częścią dziedzictwa dawnej polsko-litewskiej (właściwie polsko-litewsko-ruskiej) Rzeczypospolitej oraz dowodzi, jak żywy i jak różnorodny jest ten spadek po przeszłości. Nie ogranicza się on do polityki, przywiązania do wolności i niechęci wobec autorytarnych rządów oraz kpiącego stosunku do kultu genialnego przywódcy, blichtru władzy i politycznej propagandy.

Dzisiaj kluczowe miejsce w tej tradycji zajmuje wieczerza wigilijna i towarzyszące jej rytuały, a zwłaszcza sam posiłek. Jest to niezwykle relikt przeszłości, po pierwsze dlatego, że jest to jeden z niewielu dni w roku, gdy posiłek przygotowujemy od początku do końca, poświęcamy na to sporo czasu i sięgamy do dawnych receptur, które odziedziczyliśmy po babci, pamiętamy z rodzinnego domu czy wyszperaliśmy w domowych zeszytach z przepisami kulinarnymi lub w starych książkach kucharskich. Przygotowujemy wówczas potrawy pracochłonne, wymagające nie tylko długiego czasu przygotowania, ale i współpracy kilku osób.

Czas na moment staje w miejscu, spotyka się z przeszłością i na chwilę przestaje się liczyć. Przez wieki w kuchni najcenniejsze było samo jedzenie: produkt, który w czasach głodu i niedostatku był prawdziwym skarbem. Czas potrzebny do jego przygotowania, nakład pracy i związany z tym wysiłek schodził na drugi plan, bo czasu było sporo, a jedzenia mało. Dziś na każdym kroku podkreślamy, jak mało tego czasu mamy i sięgamy po gotowe dania, przygotowane do szybkiego przyrządzenia, a nawet do szybkiego, łatwego zjedzenia.

Te cechy naszego współczesnego jedzenia zostały prawie pół wieku temu określone jako „gastro-anomia”, czyli stan, w którym nie obowiązują żadne utrwalone normy żywieniowe. Zniknęły klęski głodu, jedzenia jest dużo i jest ono bardzo tanie – nie musimy ciężko pracować cały dzień, by zdobyć kawałek chleba, który pozwoli nam przeżyć do następnego dnia. Dziś borykamy się z nadmiarem jedzenia, które



nie ma już dawnej wartości ekonomicznej i symbolicznej. Tanie i gotowe jedzone spożywamy byle jak i byle gdzie, w pośpiechu, w podróży, na ulicy czy w samochodzie, często samemu. Dawne zasiadanie za stołem i jedzenie według ustalonych, stałych reguł jest czymś wyjątkowym, istotą samego święta. Wymaga ono nie tylko zasobów materialnych, samego wyjątkowego i świątecznego jedzenia, ale właśnie czasu.

Dawna tradycja religijna związana z oczekiwaniem na święto stała się czymś ogólnonarodowym, jednoczącym i wspólnym bez względu na wyznanie i stosunek do religii. Istotą posiłku wigilijnego jest jednak jego postny charakter. Chociaż obowiązek poszczenia w wigilię Bożego Narodzenia zniesiono w Polsce jeszcze w 2003 r., to wyjątkowość i świąteczny charakter tego posiłku wymagają właśnie zachowania postu. Biskupi katolicki co prawda zachęcają do jego stosowania, ale jest to już podyktowane tradycją, w tym właśnie kulinarną, a nie nakazami religijnymi. Większość postnych specjałów jest przy tym droższa niż mięso, dotyczy to zwłaszcza świeżych ryb, bakalii, maku, suszonych owoców. Horrendalne ceny osiągają np. suszone grzyby, zwłaszcza borowiki, ale w ostatnich latach cenowe rekordy bije też popularny karp.

Jest to z jednej strony spadek po historii: chrześcijański post jest oparty na produktach i zasadach kuchni śródziemnomorskiej. Przeniesiony na północ Europy, oznaczał duże trudności w dostosowaniu się do jego wymogów i zwłaszcza pogodzenia jego kalendarza z rytmem natury i dostępnością płodów rolnych. W średniowieczu i w czasach nowożytnych główne zadanie profesjonalnych kucharzy i zwłaszcza pałacowych kuchmistrzów polegało na urozma-



icaniu postnego menu. Post mógł być przyjemny i po prostu smaczny. Dotyczyło to zwłaszcza wigilii najważniejszych świąt, których było wiele, podczas których należało pościć, ale które miały już częściowo uroczysty, postny charakter.

Nasza wigilia Bożego Narodzenia jest więc reliktem dawnych czasów także dlatego, że jest już jedynym takim dniem w roku. Nikt już nie pości, a zwłaszcza nie urządza wystawnej, postnej wieczerzy w wigilię Wszystkich Świętych, nie pamiętamy o wieczerzy w przeddzień Wniebowstąpienia Pańskiego, świąt maryjnych czy wspomnień apostołów. Przez wieki jedną z najważniejszych tradycji „wigilijnych” była tzw. wieczerza wielkoczwartkowa, swoista wigilia Wielkanocy. Uroczystej wieczerzy nie można było urządzać w przeddzień samego święta, gdyż w Wielką Sobotę, tak samo jak w Wielki Piątek, obowiązywał post właściwy (ilościowy), określane także jako post ścisły (wstrzemięźliwość od pokarmów mięsnych i post ilościowy). Wieczereczkę urządzano więc w Wielki Czwartek nieprzypadkowo. Ta tradycja była kulinarnie znacznie starsza i bardziej rozwinięta niż wieczerza przyrządzana w wigilię Bożego Narodzenia. W *Kuchmistrzostwie*, najstarszej polskiej książce kucharskiej, opublikowanej w Krakowie ok. 1540 r., a której żaden egzemplarz nie przetrwał do naszych czasów, opisano

m.in. „Kisielicę na Wielki Czwartek”. Dzięki odnalezieniu i opublikowaniu rękopiśmiennej kopii tego tekstu w ósmym tomie naszej serii „Monumenta Poloniae Culinaris”, możemy dziś przyjrzeć się tym przepisom. Wielkoczwartkowa „kisielica” (galareta) spełnia wszelkie wymogi potrawy wigilijnej: była postna, a jednocześnie wyrafinowana i już w XVI w. bardzo tradycyjna czy wręcz archaiczna. Przygotowywano ją na żurze z dodatkiem mąki pszennej, który zaprawiano miodem, octem i orientalnymi ostrymi przyprawami. Była to więc potrawa zarazem swojska i tradycyjna (żur), doprawiana klasycznymi, lokalnymi dodatkami (miód i ocet), jak i świąteczna, przyrządzana z użyciem bardzo drogich, luksusowych dodatków (pieprz i szafran). Wszystko przy tym jak najbardziej postne, bez śladu mięsa czy nawet nabiału.

Uczta wielkoczwartkowa czy obchodzona bardzo uroczystie wigilia Wszystkich Świętych i inne dawne wigilie nie mogły obejść się przede wszystkim bez ryb. Jak w 1848 r. w swej *Kuchni postnej* pisał słynny kuchmistrz Jan Szyttler: „uczta wielkoczwartkowa, czyli tak nazwana Wieczerza Pańska, we wszystkich prawie chrześcijańskich domach z powagą obchodzona, cóżby znaczyła bez ryby?”. Połączenie postu z ucztą w postaci wigilii wymagało więc przede wszystkim ryb i pozostałością tego zwyczaju jest właśnie nasz wigilijny karp.

I tu zaczyna się niezwykła historia. Kilkanaście lat temu pojawił się w mediach news, że wigilijny karp to wymysł PRL-u, a nie żadna dawna, polska tradycja. Opowieść ta powraca regularnie przed każdymi świątami, a liczba internetowych wzmianek i wyników wyszukiwania rośnie wręcz lawinowo, tworząc samonapędzający się mechanizm.

W myśl najbardziej radykalnych wariantów tej opowieści karpia na wigilijne stoły wprowadzić miał komunistyczny minister przemysłu i handlu Hilary Minc, który miał nawet rzucić hasło „karp na każdym wigilijnym polskim stole”. Co prawda nie wiemy, kiedy i gdzie takie hasło miał minister sformułować, a przynajmniej nie zachowała się na ten temat żadna wzmianka z epoki. Nie wiemy też, dlaczego komunistyczny dygnitarz miał się starać o postny charakter katolickiej Wigilii. Autorzy internetowych wpisów wspominają czasem, że z racji swego pochodzenia towarzysz Minc miał uwielbiać karpia po żydowsku i stąd wziął się pomysł, by uszczęśliwić tym smakiem cały naród.

W skrócie ten internetowy mit sprowadza się do kilku podstawowych wariantów:

1. Karp stał się w polskiej kuchni popularny dopiero w czasach PRL-u i na polskie stoły wprowadził go Hilary Minc.
2. Karpia znano w Polsce już wcześniej, ale jako danie wigilijne został spopularyzowany w PRL-u.
3. Karp był spożywany na wigilię znacznie wcześniej, ale w PRL-u stał się powszechną potrawą wigilijną, główną potrawą wigilijną czy też jedyną spożywaną wtedy rybą.
4. Spopularyzowanie karpia w Polsce czy uczynienie z niego potrawy wigilijnej, zawdzięczamy Mincowi, bo z racji swojego pochodzenia miał on lubić karpia po żydowsku.
5. Wszystkie powyższe wymieszane w różnym stopniu np. karp był znaną staropolską potrawą wigilijną, ale na wigilijne stoły i tak wprowadził go dopiero Hilary Minc.

Opowieści te opatrywane są różnymi racjonalizacjami o charakterze ekonomicznym, np. tani karp zastępował spożywane wcześniej inne drogie ryby. Jednocześnie wyznawcy tej teorii nie wahają się wskazywać, że mincowskie wprowadzenie karpia na wigilijne stoły polegało właśnie na jego demokratyzacji. Z ryby dostępnej tylko dla wybranych, w epoce powszechnej socjalistycznej szczęśliwości stał się dostępny dla wszystkich. Opowieści te nigdy jednak nie nawiązują do jakichś konkretnych wypowiedzi, cytatów, dokumentów, jakichkolwiek świadectw z epoki czy ustaleń historyków.

Tymczasem karp był w Polsce znany od stuleci, uznawano go za jedną z najlepszych i najsmaczniejszych ryb postnych, a po stopniowym ograniczeniu licznych uroczystych wigilii, pozostał jednym z głównych dań przygotowywanych na wigilię Bożego Narodzenia. Całą serię receptur na potrawy z karpia odnajdujemy we wspomnianym już *Kuchmistrzostwie* z ok. 1540 r., czy w *Compendium ferculorum albo zebraniu potraw* z 1682 r. W pierwszej polskiej książce kucharskiej opisano np. kilka sposobów przyrządzania „kietbas” z karpia, czyli pracochłonnych aromatycznych i słodko-ostrych pulpetów przypominających dzisiejsze żydowskie gefilte fisz. Z kolei „Karp bez kości” z 1682 r. to właściwie znany nam karp po żydowsku, ryba nadziewana słodkim i lekko korzennym farszem. I nie jest to dziełem przypadku – kuchnia żydowska z XIX w. zachowała te staropolskie smaki i techniki kulinarne, co dzisiaj powoduje wrażenie wpływu kuchni „żydowskiej” na kuchnię polską, co w sumie nie jest nieprawdą.



Karp zawsze był jednym z najważniejszych produktów wigilijnych, znajdujemy go np. na stole Zygmunta III Wazy czy Jana III Sobieskiego. Można oczywiście wskazać, że są to przykłady jak najbardziej elitarne, ale karp, opisany wprost jako potrawa wigilijna pojawia się też z czasem (i to na długo zanim ktoś usłyszał o PRL-u i Hilarym Mincu) w poradach dla „ludu”, skromnych książeczkach kucharskich adresowanych do gospodyń z biedniejszych grup społecznych. Całą rozprawkę o *karpniu i wigilijnej wersji tej ryby* przyrządzanej w sosie piernikowym zamieszczono np. w *Nauce gotowania do użytku ludu polskiego* z 1915 r., książce kucharskiej wydanej w Grudziądzu, ułożonej z receptur nadesłanych przez gospodynie i kucharki z Pomorza oraz Wielkopolski.

W całej „mincowskiej” historyjce o wprowadzeniu karpia na wigilijne stoły dopiero w czasach PRL-u widzimy zresztą wszelkie cechy kulinarnego mitu, anegdoty o wynalezieniu czy rozpowszechnieniu potrawy przez jedną osobę. Podobnie skonstruowany jest mit o włoszczyźnie królowej Bony, babie Stanisława Leszczyńskiego czy makaronie Marco Polo.

W opowieści o karpniu i towarzyszu Mincu jest ziarno prawdy, ale nie odnosi się ona wcale do internetowego mitu z XXI wieku, tylko do realiów z czasów PRL-u. Otóż w 1949 roku wprowadzono kartki na karpia, nie znaczy to jednak, że trafił on w ten sposób na wigilijne stoły. W tym czasie z wigilijnego menu zniknęły łososie, sandacze, jesiotry, szczupaki, certy, liny, białugi i inne ryby. Ale przecież to, że akurat karp całkowicie nie zniknął, nie znaczy, że ktoś go nam „dał”...

O stosunku komunistycznych dygnitarzy do wigilijnych tradycji lepiej świadczy scena z „Rozmów kontrolowanych”, gdy towarzysze z SB zastanawiają się, kiedy urządza się wigilię i bardzo się cieszą, że jest to jeszcze przed świętami (skądinąd święta prawda). I z radością oblizują się na myśl o tradycyjnej golonce w piwie...

Dziś wiemy, kiedy wypada Wigilia, bo jest to już tylko jedna jedyna taka uroczystość w roku, ale i z takim wyznaczaniem daty bywały *kiedyś kłopoty*. Przekonałem się o tym, gdy kręciliśmy zdjęcia do serialu dokumentalnego „Historia kuchni polskiej”. Przy osobnym odcinku o Wigilii byliśmy w archiwum, w którym miałem pokazać wspaniałe menu wigilijne hrabiów Potockich z Łańcuta. Wybrałem wieczerę przygotowaną w Łańcutie w 1911 roku. Kiedyś czytałem to menu i zapamiętałem, że było urozmaicone, ciekawe i pouczające, bo obejmowało potrawy podawane tak na stół państwa, jak i dla pracowników pałacu. No i było napisane po polsku, a nie jak zwykle po francusku. Ta kulinarna *lingua franca* najwidoczniej do wigilijnego menu nie pasowała. W przygotowanym tomie odnalazłem szybko zapis z 24 XII i czytałem, że podano wtedy niezbyt polsko brzmiące, ale zapewne wigilijne *croquettes de sandre* (krokiety z sandacza) i zupełnie niekojarzące się z polską wigilią *civets de lievre* (potrawkę z zająca z krwią i śmietaną) oraz *jambon à la gelée* (szynkę w galarecie). Pracownicy pałacu raczyli się w tym czasie gotowaną wołowiną z soczewicą i pieczonymi kurczakami. Jakby nie było, całość jest mało wigilijna... A kamery i cały zespół czeka, czyżbym przez jakiś dziwaczny błąd zmarnował dzień zdjęciowy całej ekipy? Ale przecież w tym tomie było piękne menu wigilijne, miałem notatki...

Otóż 24 XII 1911 r. była niedziela. Tak jak w zeszłym roku, gdy pojawiała się kwestia niedzieleli handlowej przed świętami był to pewien kłopot, gdyż niedziela znosi post. Z punktu widzenia religijnego nie trzeba i nie można pościć w niedzielę, gdyż w święto po prostu się nie pości. Przykład 1911 r. to jeden z wielu przypadków, gdy 24 XII przypadał w niedzielę, a więc wigilia (przeddzień święta) była nie tyle przesunięta, ile po prostu wypadła 23 grudnia. I tak też było tym razem. W sobotę 23 XII 1911 r. w menu wyraźnie zaznaczono: „Wigilia”. Na stole hrabiów Potockich w Łańcutie pojawiły się:

- „Supa migdałowa. Barszcz
- Krążki z chrzanem.
- Sandacz z jajami, kartofle.

Kluseczki z grzybami.

Langoustes à la Stéphanie [langusty w stylu Stefanii]

Salade de légumes [sałatka jarzynowa]

Asperges, sauce hollandaise [szparagi, sos holenderski]

Kutia, łamańce.

Kompot z jabłek i śliwek

Bakalia”.

Nie ma tu jednak karpia, czyżby naprawdę wprowadzili go na Wigilię, a przynajmniej rozposzechnili dopiero komuniści? Kłam tej fantastycznej teorii zadaje jednak menu wigilijne pracowników i służących, którzy przy tzw. drugim i trzecim stole dostali wtedy:

„Barszcz.

Karp na szaro, kartofle.

Kluski z makiem.

Szczupak smażony.

Kapusta z grzybami.

Kutia.

Kompot z jabłek i śliwek.

Pierogi z powidłami.

Bakalia”.

Menu są dosyć podobne, karp znalazł się akurat w skromniejszym zestawie przedstawicieli ludu, co akurat przeczy niezbyt przemyślanej zapasowej wersji mitu o wigilijnym karpie jako wynalazku PRL-u. Państwo mieli wybór między barszczem a uważaną za bardziej luksusową zupą migdałową, mogli spróbować langusty, szparagów i sałatki warzywnej, ale większość potraw się powtarza.

Menu z 1911 r. jest o tyle ciekawe, że jest wręcz idealną ilustracją zastosowania przepisów i wzorcowego menu Antoniego Teslara, kuchmistrza Potockich z Krzeszowic (pod Krakowem). Teslar w 1910 r. opublikował książkę kucharską zatytułowaną *Kuchnia polsko-francuska* i zamieścił w niej odrębny rozdział poświęcony właśnie Wigilii. W zachowanych menu wigilijnych Potockich z Krzeszowic widać, że jego receptury są wynikiem doświadczeń z pracy w ich pałacu. A zatem książki kucharskie są nie tylko fantazją czy lekturą przeznaczoną przede wszystkim dla rozrywki. Dawne, fachowe i poradnikowe publikacje to zwykle dokumentacja czyjejś pracy, wiedzy i kulinarnych praktyk.

Dlatego sięgniemy do kilku przepisów Teslara. A więcej receptur i smakowitych historii o dawnej Wigilii pokażemy w ostatnim odcinku naszego programu „Historia kuchni polskiej”, który zostanie wyemitowany w TVP Historia tuż przed świętami.

Zupa migdałowa (na 10 osób)

½ kg migdałów oparzyć, obrać ze skórki, dodać parę gorzkich, ubić w młynku, podlewać po troszce wody, aby się nie wytworzył olej. Masę tę rozproszyc świeżym mlekiem zagotowanym, przekręcić przez pasówkę, osłodzić i wrzucić kawałek cynamonu. Ugotować następnie ¼ it. Ryżu na wodzie na pół-miękko, zalać go śmietanką, osłodzić, wygotować pod przykryciem, wysypać do zupy, dodając wymytych rodzynków (można i całych migdałów oparzonych). Przed podawaniem zupełnie wygrzać, doprowadzić do smaku cukrem i odrobiną soli.

Krażki z ryby z chrzanem

Na 1 kg ryby, oczyszczonej ze skóry i grubszych ości, ubitej w młynku, dodać 3 bułki rozmoczone w śmietanie, usmażonej jajecznicy z 2 jaj, na cebulce zarumienionej na maśle i 20 dag masła surowego; wszystko to razem z rybą ubić, posolić i przetrzeć przez sito. Z knelu tego wałkować na stolnicy podsypując mąką wałeczki grubości palca, zwijając krażki sklejać i smażyć na maśle. Podawać na półmisku w serwecie osobno dać chrzan utarty.

Szczupak – sos szafranowy

Szczupak (o ile możliwości jak największa sztuka) powinien być zabity wcześniej i nasolony. Gotować do z łuską, zalać zimną wodą z dodaniem wina białego, wypró-

bować ją, aby była słona dobrze i (zalaną rybę zupełnie) gotować ½ godziny. Ponieważ na dużą sztukę niema półmiska, podawać trzeba na desce obszytej serwetą i zwykle stojąco. Obnosić także nie można, więc kredensarz kładzie na talerze, które służba roznosi każdej osobie.

Osobno podaje się sos szafranowy i ziemniaki naturalne.

Sos szafranowy

Przyrządzić tak, jak na sos holenderski, dodając przed zaparzeniem parę piórek szafranu (Lepiej jest do tego sosu nie dawać cytryny). Po zaparzeniu, przekręcić go przez pasówkę, wygrzać i dosolić.

Sos holenderski

1 łyżkę mąki, 4 łyżki mleka, 1 łyżkę śmietanki, razem mieszając zagotować i odstawić; dodać 3 żółtka, 5 łyżek rosołu i zaparzyć do gęstości (ale nie zagotować) wciąż mieszając, włożyć 10 dkg masła deserowego, soli i cytryny do smaku i mocno wybić. (Jeżeli sos ma służyć do ryby, to dać 5 łyżek rosołu z ryby).



Prof. Jarosław Dumanowski – kierownik Centrum Dziedzictwa Kulinarnego na Wydziale Nauk Historycznych UMK

Marcin Lutomiński

Wigilia po szlachecku

W kulturze polskiej wigilia Bożego Narodzenia ma bogate i różnorodne tradycje. Tworzą one mozaikę ludzkich zachowań powtarzanych nierzadko przez dekady czy nawet wieki.

W świadomości powszechnej i przekazach medialnych utrwaliły się przed wszystkim zwyczaje i obrzędy ludu, które rozwijały się obok innych, dziś rzadziej pamiętanych – tych kontynuowanych przez szlachtę. Zajrzyjmy więc do typowego dawnego dworu przepełnionego atmosferą nadchodzących Świąt...





Dla obfitości plonów

Oto w kątach sali jadalnej ułożono bujne snopy niemłóconego zboża (pszenicy, żyta, jęczmienia i owsa), które miały zapewnić obfite plony i bogactwo w nadchodzącym roku. W zamożniejszych domach przynosił je gumienny (a więc nadzorujący ówczesne gumna, czyli stodoły). Zwyczaj ten, choć w różnej skali, był kontynuowany nie tylko w dworach szlacheckich czy nawet magnackich rezydencjach, lecz także w chatach chłopskich.



Za stołem...

Tradycyjnie, o zmierzchu zasiadano do wieczerzy, której jednym z symboli kulinarnych w ówczesnych dworach była zupa migdałowa – luksusowa potrawa postna. Jej uboższą wersję stanowiła polewka z konopi. W innych domach jadano m.in. zupę grzybową i barszcz z uszkami. Oczywiście, nie mogło zabraknąć popularnych na szlacheckich stołach ryb, m.in. szczupaka i karpia (najczęściej łowionych dopiero tego dnia w pobliskim jeziorze lub stawie). O tych i innych staropolskich potrawach bardzo interesująco opowiada prof. Jarosław Dumanowski (zob. m.in. „Głos Uczelni” 2022, nr 11–12). Warto nadmienić, że – jak wspominał w *Pamiętnikach czasów moich* Julian Ursyn Niemcewicz (1757–1841) – wśród wielu dań była również kutia: dla służących.

Przy stole, na którym lub pod którym rozkładano siano, zostawiano puste miejsce, a czasem nawet miejsca, o czym wspomina Wincenty Pol (1807–1872) w *Pieśni o domu naszym*: „I trzy krzesła polskim strojem / Koło stołu stoją próżne, / I z opłatkami każdy swoim / Idzie do nich spłacać dłużne / I pokłada na talerzu / Anielskiego chleba kruchy; / Bo w tych krzesłach siedzą duchy, / Co z ojczyzną są w przymierzu / My ich widzimy, oni siedzą / Razem z nami tu za stołem; Bo o dniu tym w sercu wiedzą – / Więc go święcą z nami społem” (wyd. 1866). Były to nakrycia dla dusz zmarłych domowników, czekających także na opłatek i świąteczną wieczerzę.

Opłatkami i potrawami szlachta dzieliła się także ze służbą, którą w tym wyjątkowym dniu zapraszano do wspólnego stołu. Ucztowano do nocy, spożywając wino dodające wesołości – jak wspomina Niemcewicz. Śpiewano przy tym kantyczki, m.in. *W żłobie leży...* Jeśli w pobliżu nie było kościoła, to świętowano dalej w domu, a jeśli był, to udawano się na *pasterkę*.

Dworskie świętowanie odbywało się w tłumie osób: domowników i gości, wśród gwarów i rozmów – możemy przeczytać w wielu wspomnieniach.

Choinkowe zwyczaje

Przez długi czas, zwłaszcza na ziemiach wschodnich, starsze pokolenia traktowały choinkę jako symbol obcy. Wspominała o tym m.in. Janina z Puttkamerów Żółtowska (1889–1968): „Mój dziadek nie znośił choinki i twierdził, że to obyczaj nie polski, ale niemiecki, więc od najdawniejszych lat przygotowywano ją ukradkiem w sali jadalnej nowego domu, gdzie po pierwszej uroczystości w wieczór wigilijny stała długo, połyskując z srebrnymi łańcuchami

i rozsiewając dookoła zapach jabłek i igliwia” (*Inne czasy, inni ludzie*, wyd. 1998)

Jednak stopniowo choinka „przyjmowała się” we wszystkich dworach wiejskich (w domach miejskich, także szlacheckich, znana była już wcześniej). Zofia Reklewska-Braun (ur. w 1939) tak zapamiętała obraz choinki i związanych z nimi rytuałami domowymi: „Ścinana w naszym lesie, ubierana wyłącznie w zabawki robione przez nas ze zrzyneków kolorowych papierów kolekcjonowanych cierpliwie cały rok, z wydmuszek, skorupki, orzechów i słomki. Nieśmiertelna gwiazda zwieńczała szczyt drzewka, przypominając, że istotą Świąt Bożego Narodzenia jest Jezus ze stajenki betlejemskiej. My, małe dzieci, oglądaliśmy ją dopiero po wieczery wigilijnej, która odbywała się zawsze w jadalni przy dużym stole” (*Urodziłam się pomiędzy...*, wyd. 2006).

W zależności od majątności szlachty i jej domowych zwyczajów zostawiano pod choinką prezenty, najczęściej dla dzieci, które w ich oczach zwykle nie były czymś wyjątkowym. Nie przywiązywano do upominków bardzo dużej wagi, ponieważ często ważniejsza była świąteczna atmosfera, wspólne śpiewanie i, jak zapamiętała Zofia Reklewska-Braun, „radość z błyszczących na choince żywych świateł”. Poza tym w wielu dworach dzieci otrzymywały podarunki przy różnych okazjach w ciągu roku.

Podarunki otrzymywali też pracujący dla dworu mieszkańcy czworaków. Wspomina o tym Helena z Zanów Stankiewiczowa (1904–1996), dodając gorzką refleksję po latach: „Co roku na Boże Narodzenie każda rodzina dostawała rybę z naszego jeziora, a przecież ryb było w bród i można było każdemu dać więcej niż jedną rybę” (*Pani na Berze-nikach*, wyd. 1991).

Magia

Zygmunt Gloger (1845–1910), wspominając Boże Narodzenie w okolicach Tykocina i Choroszczy z czasów swojego dzieciństwa, zwracał uwagę na tradycje, które były wspólne dla kultury ludowej i szlacheckiej.

„Ponieważ dzień wigilii Bożego Narodzenia jest właściwie ostatnim dniem starego roku w erze chrześcijańskiej – mówił badacz i krajoznawca – więc też od dawna połączono z nim rozmaite wróżby i wierzenia, które utkwiły w mojej dziecinnej pamięci i wyobraźni. Oto mówiono zarówno pod strzechami chat, jak i rodziców moich we dworze, że kto rano wstanie w wigilię Bożego Narodzenia, ten przez cały rok nie będzie ospałym” (*Rok polski*



w życiu, tradycyi i pieśni, wyd. 1900). Oprócz różnych wróżb matrymonialnych autor przywołuje również wiarę w to, że tyle, ile potraw wigilijnych się nie zje, tyle radości kogoś ominie w roku następnym.

Staropolski obyczaj nakazywał również przyjąć w Wigilię wiejskich kolędników (przebierańców) i poczęstować ich jedzeniem i/lub podarować jakieś pieniądze. Z czasem wizyty tych specyficznych gości odbywały się dopiero w kolejnych dniach świątecznego okresu.

Boże Narodzenie na dawnych ziemiach polskich to nie tylko Wigilia i dwa świąteczne dni, ale cały okres do Święta Trzech Króli, nazywany Godami. Działo się wówczas wiele, jednak to tematy na kolejne artykuły...



Dr Marcin Lutomierski – Wydawnictwo Naukowe UMK, Polskie Towarzystwo Ludoznawcze Oddział w Toruniu

Zdjęcia: D. Krześniak, Muzeum Wsi Mazowieckiej w Sierpcu (dwór z Bojanowa)

Lubow Żwanko, Walentyna Sierikowa

Tradycje bożonarodzeniowe Ukrainy Słobodzkiej

Boże Narodzenie w Ukrainie jest uważane za jedno z największych i najważniejszych świąt religijnych. To szczególnie okres, symbolizujący ciepło, więzi rodzinne, jasną radość, który ma swoje tradycje. Wraz z ogólnymi cechami obchodów można też wyróżnić cechy regionalne.

Obchody Bożego Narodzenia na Ukrainie Słobodzkiej to święto o kilkunastowiekowej historii, gdyż w połowie XVII stulecia ukraińscy przesiedleńcy przybyli na teren Dzikiego Pola. Ślady tegoż zachowane są w dziewiętnastowiecznych malowidłach, dziełach literackich oraz pracach naukowych Słobożan.

Jak dawniej i dziś Boże Narodzenie jest obchodzone na ziemiach ukraińskiego pogranicza wschodniego?

Nowy termin Bożego Narodzenia

We wszystkich państwach uznawanych za katolickie Boże Narodzenie obchodzi się tradycyjnie 25 grudnia i data ta pozostaje niezmienna od wielu stuleci. Od 1 września 2023 r. Cerkiew Prawosławna Ukrainy i Ukraińska Cerkiew Grecokatolicka przeszły na kalendarz nowojuliański, co spowodowało zmianę dat świąt religijnych, w tym Bożego Narodzenia. Ze względu na to, że Boże Narodzenie jest też świętem państwowym, Prezydent Ukrainy podpisał dekret o przełożeniu obchodów Bożego Narodzenia w Ukrainie z 7 stycznia na 25 grudnia.

Dlatego od 2023 r. Ukraińcy obchodzą Boże Narodzenie 25 grudnia, a dzień wcześniej Święty Wieczór (укр. – Святвечір, Святий вечір), znany



Na bożonarodzeniowym stole

w Polsce jako Wigilia, wspólnie z całym światem katolickim i cerkiewiami prawosławnymi, które funkcjonują według kalendarza nowojuliańskiego.

Istota święta

Boże Narodzenie to jedno z najważniejszych chrześcijańskich świąt, podczas którego wierzący świętują narodziny Jezusa Chrystusa. Święto jest uważane za drugie pod względem ważności (po Wielkanocy) i obchodzone przez wszystkie nurty chrześcijaństwa i niemal wszystkie wyznania chrześcijańskie. W przeważającej liczbie krajów świata jest to święto państwowe.

Według tradycji ewangelicznych moment narodzin Jezusa był naznaczony cudami: pojawieniem się na niebie gwiazdy, która zaprowadziła mędrców ze Wschodu do miejsca narodzin Zbawiciela, a także zstąpieniem anioła, który ogłosił wieść ukazania się Zbawiciela miejscowemu pasterzowi. Gwiazda bożonarodzeniowa, pasterze i mędrcy z darami (złoto, kadzidło, mirra), którzy przybyli, aby pokłonić się cudownemu Dzieciątku, to także bohaterowie bożonarodzeniowej szopki.

Atrybuty świąteczne

Głównymi symbolami Bożego Narodzenia w Ukrainie są: uroczysta kolacja, gwiazda bożonarodzeniowa, Święty Wieczór, Diduch (dosł. dziad, pol. – okłót), kolęda i szopka. Najważniejszym daniem Świętej Wierzy, do którego trzeba przygotować 12 potraw, podobnie do liczby 12 apostołów podczas Ostatniej Wieczerzy, jest kutia z gotowanej pszenicy i obficie doprawiona miodem, makiem, orzechami i suszonymi owocami.

Gwiazda bożonarodzeniowa jest atrybutem, który kojarzy się z narodzinami Jezusa Chrystusa, gdyż to właśnie „Gwiazda Betlejemaska” objawiła cudowne narodziny. Gwiazda jest jednym z symboli ludowego obrzędu kolędowania, który odbywał się na Słobożańszczyźnie w pierwszy dzień Świąt Bożego Narodzenia. We wszystkich cerkwiach odbywają się wtedy liturgie, a rodzina gromadzi się przy świątecznym stole, pozdrawiając się słowami: „Narodził się Chrystus! Chwalmy go!”.

Święty Wieczór (Wigilia)

Od czasów starożytnych święta Bożego Narodzenia uważano za narodziny nowego losu. Nasi przodkowie wierzyli w to, że w jakich okolicznościach człowiek spotka się w Boże Narodzenie, od tego będzie zależało jego życie przez cały ko-



Serhij Wasylkiwski, *Kolędnicy* (koniec XIX w.)

lejny rok. Do świątecznej kolacji (Świętej Wieczerzy) w owe czasy rodzina zasiadała dopiero wtedy, gdy na niebie zaświeciła pierwsza gwiazda. Święty Wieczór przed Bożym Narodzeniem jest to ostatni dzień postu. Tę Wigilię poprzedzał rzetelny okres przygotowań. Główną rolę w tym zakresie odgrywały gospodynie. Mile widziane było, aby w Święty Wieczór kolacja rozpoczynała się od przyniesienia do domu/mieszkania snopa pszenicy lub żyta. Ten snop jest również nazywany diduchem, kolędą lub dziadkiem, a symbolizuje dobro rodziny. Snop umieszczano w rogu stołu ze świątecznymi potrawami. Ta dobra tradycja przetrwała wieki i jest praktykowana również dziś.

Diduch

To symboliczne drzewo chlebowe utkane z kłosów pszenicy lub żyta. Przed Bożym Narodzeniem z łądyg ostatniego snopa pszenicy, który przechowywano po żniwach, wyjmowano kilka kłoci łądyg z kłosami i przewiązywano kolorowymi wstążkami lub innymi łądygami, kształtując coś w rodzaju snopka lub drzewa. Od dołu robiono nogi, aby mógł stać. Wierzch czasami dekorowano suszonymi kwiatami polnymi lub papierowymi. Samo słowo „diduch” wskazuje na jego starożytne korzenie i związek z kultem przodków – dziadów (inne imię to dziadek). Jednocześnie uważany jest za symbol żniw, dobrobytu i bogactwa, gdyż to właśnie w ostatnim snopie miał przetrwać (spędzić zimę) duch pola, polewik (polewoj – słowiański demon polny, żyjący w zbożu i opiekujący się nim). Z jego ziaren dokonywano pierwszego wiosennego zasiewu, aby ten duch wrócił na swoje miejsce.



Христославви.

Kolędnicy z gwiazdą. Słobożańszczyzna (gubernia charkowska), 1900 r.

W polskiej tradycji ludowej na Lubelszczyźnie diduch zwany był królem. Natomiast na południu Małopolski, w Gorcach i okolicy, w gwarze góralskiej nazywano go łokótem (staropolski okłót/okłot).



Diduch

Kutia i uzwar

W Święty Wieczór zamożni mieszkańcy Słobożańszczyzny częstowali biednych kutią i uzwarem. Uważano, że nawet w największej biedzie te dwie potrawy są niezbędne. Dziś główną potrawą wieczoru gotuje się z różnych zbóż, ale autentyczna kutia była gotowana z jęczmienia. Kutia to starożytna potrawa rytualna, wraz z uzwarem zawsze była podawana w rogu stołu na pokuciu i stąd wzięła się jej nazwa. Ze względu na rytualne znaczenie tej potrawy dni, w których przygotowuje się ją w okresie świątecznym, nazywane są Bogata Kutia, Szczedra Kutia i Głodna Kutia.

Funkcja kutii jako potrawy rytualnej ma charakter pamiątkowy (pomysłny – zachowanie pamięci o zmarłych członkach rodziny). Smakując kutię, Słobożanie wspominali wszystkich zmarłych przodków. Uważano bowiem, że zmarli przodkowie przychodzili do domu na Boże Narodzenie, aby skosztować tej potrawy. Dlatego na Boże Narodzenie kutia pozostawała na stole na całą noc. Dziś w wielu rodzinach kultywowana jest tradycja, gdy na stole lub na parapecie okna zostawia się mały talerz kuti z kromką chleba i wodą.

Kutia służyła także do wróżenia – rzucano ją z łyżki na sufit (stropy) i wierzono, że ile ziaren się przyklei, tyle dobrego przyjdzie do gospodarstwa. Zostawiano również kutię w misce po uroczystym obiedzie na stole dla dusz zmarłych bliskich, które mogły tej nocy odwiedzić swoje dawne (były) domy, a po łyżkach – przewróconych lub nie – odgadywano: czy dusze te przyjęły poczęstunek, czy nie były złe i czy będą pomagały. Na Boże Narodzenie dzieci przynosiły rodzicom chrzestnym i krewnym kutię i kolację. W bożonarodzeniowy wieczór gospodarz wychodził na podwórze wraz z miską kutii i przywoływał Mroza: „Mrozie, Mrozie, przyjdź do nas zjeść kutię, a jak nie idziesz, to nie idź po żyto, pszenicę i wszelakie zborze”.

Kolędy

Wybitny ukraiński etnograf z Charkowa Mykoła Sumcow (1854–1922) opisał kolędowanie w następujący sposób: „Daleko, w mroźnym powietrzu, niesie się radosna pieśń świąteczna, która oświeca ducha chłopa, odświeża jego serce jasną nadzieją na szczęście. Patrząc przez okienko, chłop mówi do kolędników: «Bawcie się, bawcie się!», czyli bawcie się dla własnej uciechy i uszczęśliwiającej mój dom, moją rodzinę. I do domu wptywają czyste dźwięki majestatycznej pieśni, wielorazowo obiecujące życzenia

poślubienia syna, wydania córki za mąż, życzenia zbiorów chleba i potomstwa bydła. Wszystko, co jest ciężkie i smutne, co niepokoi chłopską duszę w długie jesienne noce, gdy na strzechę słomianą spadają duże krople zimnego deszczu, w powietrzu nosi się mgła, a do pochylonego komina wdziera się hakaśliwy wiatr, przytłaczające zmartwienia, wątpliwości i lęki znikają, zostają zapomniane pod magicznym wpływem radosnej świątecznej pieśni. Kolęda czaruje wyobraźnię rysami i obrazami niezziemskiego szczęścia, wypełnia biedne życie fantastycznymi majątkami, prowadzi z samotnej i ponurej chaty do sali bogacza, gdzie wszędzie mieni się złoto i srebro, wznosi słuchacza w jasne, lśniące nadgwiazdowe obszary". W pieśniach bożonarodzeniowych: kolędach i szchedriwkach (gatunek ukraińskiej pieśni ludowej, związanej z obrzędami noworocznymi) miłosierne i miłościwe bóstwo zstępuje na ziemię, odwiedza biedne ludzkie domy i hojną ręką rozdaje obfitość i szczęście.

Świętu Bożego Narodzenia towarzyszyły kolędy i szchedriwki, czyli pieśni-modlitwy, pieśni-wiersze, pieśni-gratulacje. Mykoła Sumcow mówiąc o „wielkim humanizmie i idealizmie” rytualnych pieśni bożonarodzeniowych, podkreślał, że kolęda jest pieśnią światłą, radosną. Jak „brzmi” Boże Narodzenie na Ukrainie Słobodzkiej, można posłuchać w zbiorach kolęd zapisanych i utrwalonych przez etnografów w Cyfrowym Archiwum Obwodu Słobożanszczyzny i Połtawszczyzny. Przykładem jest kolęda *Gwiazda jasna upadła*, śpiewana przez Aleksandrę Gorgijenko (ur. w 1904 r.) ze wsi Mochnacz w powiecie zmiijwskim, nagrana w 1991 r.

Boże Narodzenie w literaturze i sztuce słobożańskiej

Najstarszy opis elementów rytuału bożonarodzeniowego na Ukrainie Słobodzkiej podał Hryhorij Kwitka-Osnowjanenko (1778–1843), twórca ukraińskiej prozy klasycznej, w opowiadaniu *Panna Sotnykiwna* (1840). Ukazał je na wzór kroniki rodzinnej setnika kozackiego, którego rodzina w 1732 r. obchodziła po staroświecku Boże Narodzenie.

Charkowski artysta Serhij Wasylkiwski (1854–1917), jeden z najwybitniejszych ukraińskich artystów przełomu XIX–XX wieku, w swoim obrazie *Kolędnicy* (z końca XIX w.) stworzył wyjątkowy obraz Bożego Narodzenia. To malowidło jest hołdem artysty, złożonym jego fascynacji ukraińskim folklorem i starożytnością.



Andrij Jermolenko, *Trzej Królowie*

Boże Narodzenie wielu rodzin w Ukrainie w czasie wojny to Boże Narodzenie przedstawione na obrazie autorstwa znanego rysownika Pawła Kuczyńskiego. Świąteczny stół, który stopniowo zamienia się w okop. Przy stole rodzina – kobieta i dzieci, a puste miejsce dla ojca, który w tym czasie zajada się świąteczną kolacją w okopie. Trzecie Boże Narodzenie na Słobożanszczyźnie odbędzie się pod ostrzałami armii rosyjskiej. Nasze Boże Narodzenie to także wiara w Zwycięstwo, bo narodziny Jezusa to wiara w nieśmiertelną moc dobroci i sprawiedliwości.



Prof. dr hab. Lubow Żwanko — Centrum Muzealne Państwowego Uniwersytetu Biotechnologicznego w Charkowie, stypendystka Programu Stypendialnego Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego Rzeczypospolitej Polskiej „Thesaurus Poloniae” (październik–grudzień 2024) i Międzynarodowego Centrum Kultury w Krakowie (2024)



Walentyna Sierikowa — studentka III roku europeistyki, Narodowy Uniwersytet im. Wasyla Karazina w Charkowie

Konsultacja językowa: dr Marcin Lutomiński



Maja Domasz

Zwyczaje bożonarodzeniowe na Kaszubach

Boże Narodzenie to wyjątkowy czas dla wielu Polaków. Święta obchodzimy hucznie, kultywując tradycje. Jednak w poszczególnych regionach bożonarodzeniowe rytuały i symbole różnią się od siebie. Na szczególną uwagę zasługują zwyczaje znane na Kaszubach.

Mieszkańcy tego obszaru Boże Narodzenie traktują w wyjątkowy sposób. Wyróżniają się swoim językiem i tradycjami odmiennymi od tych, które znamy z pozostałych regionach Polski. Warto jednak pamiętać, że zwyczaje różnią się od siebie w zależności od rejonu Kaszub.

Na Kaszubach Boże Narodzenie określa się mianem *Godë*. Świąteczny czas rozpoczął się już na początku adwentu. Wówczas wśród wiejskich domów wędrowała *Gwiôzdzka* zwana również

Gwiôzdem. Na Nordzie, czyli w północnej części Kaszub, ten obrzęd nazywa się *Panyszkami*. Była to grupa kołędników, przebranych za różne postaci czy zwierzęta. Znajdował się tam *Gwiôdz* ubrany w słomiany płaszcz, słomianą czapkę przystrojoną kolorowymi wstążkami z charakterystycznym gwizdkiem, który sygnalizował mieszkańcom przybycie *Gwiôzdzki*. Kołędnicy wcielali się w symboliczne dla Kaszubów postaci. Wśród nich znajdowały się: biała śmierć z kosą, komisarz symbolizujący szczęście, policjant pilnujący porządku, żołnierz wraz z drewnianym koniem. W końcu diabeł oraz anioł – symbole zła i dobra. Mieszkańcy Kaszub w osobliwy sposób traktują również zwierzęta. Zatem część kołędników przebrana była za wilki, krowy czy rogate byki. Szczególnie ważne były osoby w stroju kozy uważanej za symbol szkod-

nictwa, niedźwiedzia będącego oznaką powagi, bądź bociana zwiastującego dostatek i ochronę przed gradem oraz burzą i konia, który według Kaszubów miał zdolność łączenia się ze światem zmarłych. *Gwiôzdka* odwiedzała domy od początku adwentu aż do Bożego Narodzenia. Kolędnicy śpiewali polskie utwory przetłumaczone na język kaszubski, np. *Dzysô z Betlejem*. Wykonywali również wiele tradycyjnych pieśni znanych jedynie na Kaszubach, takich jak: *Czemù ptôchë dzys spiëwają* czy *Na kòlãdze*. Dla mieszkańców *Gwiôdze* miały szczególne znaczenie. Zarówno w sferze metafizycznej, gdzie przybycie kolędników oznaczało przejście do Nowego Roku, jak i ludycznej. Kaszubi chętnie przyjmowali *Gwiôzdkę* do swoich domów, częstując śpiewających kielbasą, alkoholem, bądź drobnymi pieniędzmi. Tradycja ta była praktykowana już przed drugą wojną światową. W wielu miejscach znana jest do dziś. Warto dodać, że *Gwiôdze* znajdują się na Krajowej Liście Niematerialnego Dziedzictwa UNESCO.

Innym, charakterystycznym dla Kaszub, zwyczajem był snop siana, który stawiano w kącie izby. Miał zapewnić pomyślność i dostatek na kolejny rok. Współcześnie zwyczaj zachował się w formie *sónka* pod obrusem. W XIX wieku za sprawą Niemiec zmieniło się to na dekorowanie *danki* bądź *gòdowégò drzewka*. Musiało to być świerkowe drzewko i zawsze dbano, żeby było bogato zdobione. Wieszano naturalne, zazwyczaj suszone, owoce, cukierki i szydełkowe aniołki. Dziś natomiast *dankę* ozdabia się *kùglami*, *widzi* i *lińcuchami*, a na czubku widnieje *betlejems্কò gwiôzda* lub *szpëc*.

Kaszubi wierzyli, że *Wilëjô* była czasem cudów. Przed świętami w całym domu odbywało się wielkie sprzątnięcie. Od *Wilëjô* do Święta Trzech Króli nie można było zajmować się czynnościami domowymi. Obwiązywano drzewka owocowe powrozem, czyli grubym sznurem skręconym z włókna. Po *Wilëjô* gospodarz musiał udać się do sadu. Uderzał drzewka siekierą, aby obudziły się i dobrze obrodziły w następnym roku. Szczególną uwagę poświęcano również zwierzętom hodowlanym. Jeszcze przed wieczerzą *chowa* dostawały dodatkową karmę – paszę, siano, owies bądź mleko. Po kolacji gospodarz musiał również zanieść resztki jedzenia do inwentarza. Wierzono, że dzięki temu zwierzęta będą zdrowe. Do obory można było wejść jedynie przed północą, gdyż wówczas *wszëtka chowa może gadać jak ledze*. Nie można było ich podstuchiwać. Kaszubi wierzyli, że przynosi to nieszczęście.



Najważniejszym momentem świąt była oczywiście *Wilëjô*. Kaszubi wierzyli, że na stole nie powinno znajdować się więcej niż 10 potraw. Według nich byłaby to zła wróżba. Do kolacji przystępowano po zauważeniu na niebie pierwszej gwiazdy. Wówczas gospodarz odczytywał fragment Pisma Świętego. Następnie domownicy dzielili się *òpłótkiem* i składali *žëczbë*. Dopiero po tym można było zasiąść do wieczerzy. Potrawy na wigilijnym stole były różnorodne, w zależności od zamożności rodziny. Przede wszystkim podawano zupę grzybową oraz kapustę z grzybami. Popularna był również *sztepka*, czyli solony śledź wymoczony przez noc i smażony. Jako dodatek podawano ziemniaki w mundurkach zwane *pulczy*. Kolejnym charakterystycznym daniem były kluski z makiem bądź pierniki wypiekane z marchewek. Jednak najważniejszą potrawą była *brzadowô zupa*, czyli zupa z suszonych owoców, np. śliwek, gruszek i jabłek. Wiele z tych potraw do dziś ma swoje miejsce na wigilijnych stołach w Kaszubskich domach. Największą popularnością cieszy się *brzadowô zupa*.

Jednym z istotniejszych zwyczajów podczas *Wilëjô* było przybycie *Gwiôzdóra*, który przynosił najmłodszemu domownikom *darënczi*. Był to z reguły członek rodziny lub ktoś z sąsiedztwa przebrany oraz w masce, żeby nie został rozpoznany przez dzieci. *Gwiôzdór* zanim obdarował najmłodszych, przepytывał ich ze znajomości pacierzy, kolęd czy *žëczbë*, czyli rymowanych kaszubskich życzeń. Jako *darënczi* dzieci otrzymywały wełniane skarpetki, proste drewniane zabawki czy słodycze. W mniej

zamożnych rodzinach były natomiast *bunter telle-ry*, czyli talerzyki z jabłkami, orzechami, ciastkami i cukierkami. Zwyczaj ten jest znany również współcześnie.

Kaszubi bardzo cenili i cenią po dziś dzień Boże Narodzenie. W tym regionie jest to czas radosnej i głośnej zabawy poprzedzonej Gwiżdżem. Dla mieszkańców ważne są zarówno tradycje regionalne, religijne, jak i spędzenie czasu z najbliższymi. Do dziś w niektórych kaszubskich wsiach można usłyszeć życzenia: *Bëlnëch Gòdów*.

Bożonarodzeniowy słowniczek kaszubski

Bëlnëch Gòdów – wesółych świąt

brzadowô zupa – zupa z suszonych owoców

chowa – zwierzęta hodowlane

danka, gòdowé drzewkò – choinka

darënczi – prezenty

Gwiôzdka, Gwiôdzë – kolędownie zwane Gwiżdżem

Gwiôzdór – Gwiazdor

Godë – Boże Narodzenie

kùgłë – bombki choinkowe

lińcuch – łańcuch

òptótk – optatek

pulczy – ziemniaki w mundurkach

szteпка – solony śledź

sónko – sianko

widczy – światełka

Wilëjò – Wigilia

žëczbë – życzenia



Lic. Maja Domaszk – studentka I roku II stopnia filologii polskiej na Wydziale Humanistycznym UMK

Zdjęcia: Bartosz Stachowiak (Muzeum – Kaszubski Park Etnograficzny im. Teodory i Izzydora Gulgowskich we Wdzydzach)



Fundamentalna praca

8 listopada br. w Pałacu Staszica Polskiej Akademii Nauk odbyła się dyskusja panelowa *Pejzaż po edycji „Słownika polskiej krytyki literackiej 1764–1918”*. Uczestnikami panelu byli badacze zajmujący się tytułową problematyką: prof. Teresa Kostkiewiczowa, prof. Grażyna Borkowska, prof. Urszula Kowalczyk, dr Eliza Kącka, prof. Mirosław Strzyżewski i prof. Marek Stanisław.

Asumptem do dyskusji było opublikowanie przez Wydawnictwo Naukowe UMK i Towarzystwo Literackie im. Adama Mickiewicza 4-tomowego opracowania: *Słownik polskiej krytyki literackiej 1764–1918. Hasła osobowe*, pod redakcją Teresy Kostkiewiczowej, Grażyny Borkowskiej i Magdaleny Rudkowskiej. Redakcją techniczną całości zajęła się Pracownia Edytorstwa Naukowego i Praktycznego na Wydziale Humanistycznym UMK kierowana przez prof. Mirosława Strzyżewskiego. Obecna edycja słownika jest kontynuacją publikacji *Słownik polskiej krytyki literackiej 1764–1918. Pojęcia – terminy – zjawiska – przekroje*, która ukazała się w Wydawnictwie Naukowym UMK osiem lat wcześniej (zob. relację z promocji: „Głos Uczelni” 2017, nr 4). Obie serie książek zostały przygotowane w ramach Narodowego Programu Rozwoju Humanistyki. We wstępie do nowego słownika czytamy, że zawiera on „[...] hasła osobowe – opracowane przez badaczy i badaczki z prawie



wszystkich polskich ośrodków naukowych – prezentujące sylwetki i działalność krytyków literackich, historyków i teoretyków literatury oraz innych ludzi pióra, którzy podejmowali refleksję nad piśmiennictwem im współczesnym i nad ogólnymi problemami twórczości literackiej”. Warszawska dyskusja wokół obu serii słownika potwierdziła bezprecedensowość wydanej w Toruniu publikacji.

Tekst i zdjęcia: Marcin Lutomiński



Józef Gawłowicz

Szczęśliwy brat „Titanica”

Losy najświetniejszego transatlantyku początków XX wieku, jak również najbardziej tragicznego RMS „Titanic” z powodu zatonięcia w dziewiczej podróży po zderzeniu z górą lodową, są powszechnie znane. Niedawno nawet trafiła do Polski wystawa z pamiątkami z „Titanica”.

Cień tej wielkiej katastrofy przesłonił historię jego starszego brata o nazwie „Olimpic”, o którego istnieniu niewiele osób dziś pamięta, więc może warto o nim wspomnieć.

Ten statek został zwodowany w listopadzie 1910 r. i wyposażony przez kolejne 7 miesięcy w celu stworzenia pałacu pływającego luksusu. Został równocześnie nie tylko największym transatlantykiem pasażerskim, lecz największym naówczas statkiem świata, będąc dumą zarówno stoczni Harland and Wolff w Belfaście, jak i kompanii żeglugowej White Star Line, a tym samym brytyjskiej floty handlowej.



31 maja 1911 r. statek gotów do podróży oceanicznych został oddany armatorowi w obecności 100.000 widzów i symbolicznie tego samego dnia zwodowano kadłub bliźniaczego „Titanica”, w celu wyposażenia do kolejnych rejsów z pasażerami. „Olimpic” przemierzał Atlantyk z Southampton do Nowego Jorku w ciągu 5 dni i 17 godzin ze średnią prędkością 21,7 węzłów (dla dzisiejszych statków ekonomiczna średnia prędkość to 15 węzłów). W stulecie jego wodowania można było nabyć trwałe ilustracje statku.

Historia żeglugi w USA jest szczególnie pielęgnowana i publikowana w różnych ujęciach. Tu przypomnę postać wybitnego historyka floty – Samuela Eliota Morisona (1887–1976), mało znanego w naszym kraju. W 1964 r. poznał mnie z nim w Houston profesor Kazimierz Bulas, gdy byłem najmłodszym w PRL bezpartyjnym kierownikiem praktyk studenckich gdyńskiej Szkoły Morskiej na statku „Polanica” Polskich Linii Oceanicznych. Legenda głosiła, że Bulas, archeolog, lingwista i miłośnik antyku, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, znał kilkanaście języków obcych, a faktem było, że gdy nauczył się języka nowogreckiego na dwa lata przed wojną, zaczął eksperymentalnie wygłaszać Grekom z krakowskiej rozgłośni radiowej pogadanki niedzielne o historii Polski. Bywały specyficznie żartobliwie – że Wanda nie chciała Niemca, a brat Mieszka Ścibor wbił sztylet w blat stołu z taką siłą, że dwóch rycerzy nie mogło go później wyjąć. Greckim słuchaczom tak się spodobały, że w wakacje 1939 r. zaprosili go do Aten, po czym w sierpniu przerwali do Stanów, wiedząc o zbliżającej się wojnie. Tam uniwersytet w Houston dał Bulasowi pracę i mieszkanie, gdzie wspólnie z Francisem Whitfieldem i Lawransem Thomasem stworzyli doskonały słownik polsko-angielski i angielsko-polski zwany popularnie Kościuszkowskim (sponsorowanym przez Fundację Kościuszkowską w Nowym Jorku).

Teraz kilka słów o roli przypadku w życiu człowieka. M/s „Polanica” zawija do Houston, gdzie dowódca statku kapitan Zygmunt Truszczyński wraz ze starszym mechanikiem i ze mną podejmujemy uro-

czystym obiadem doktora z Cancer Institut, wojennego emigranta Polaka Kunikowskiego z małżonką i rozmowa schodzi na tematy „krakowskie” oraz losy polskiej elity emigracyjnej w Nowym Orleanie i Houston. Kiedy wspominałem o notatce w paryskiej „Kulturze”, że Bulas popełnił mały, błąd pisząc *trooping the colours* w liczbie mnogiej (a nie *color* w pojedynczej), którego nie zauważyli lingwiści, tylko Mieroszewski, weteran *Army of the Nile*, gdyż podczas wojny uczestniczył w „paradzie koloru” co niedzielę. Tak wielki lingwista miał odwagę przyznać się do drobnego błędu, zaś madame Kunikowska rzekła, że przyjaźni się z żoną profesora Bulasa. Postanowiłem kuć żelazo póki gorące.

– Czy Pani mogłaby poprosić, aby jej sławny małżonek mnie przyjął?

– Oczywiście – odpowiedziała – zaś mój syn nawet zawiezie Pana do niego!

Wieczorem, telefonując do profesora Bulasa z prośbą o audiencję, dowiedzieliśmy się, że ma dla nas czas od 15.00 do 17.00.

Następnego dnia od 15.00 czasu lokalnego gawędziliśmy w trójkę z profesorem, po czym profesor zatrzymał mnie do asysty z dilerem obrazów, dowiadując się o moim staraniu na studia historii sztuki właśnie na Uniwersytecie Jagiellońskim w roku akademickim 1959/60. Wówczas Ricky (junior Kunikowski) oddalił się na dwie kolejne godziny, w których profesor szybko rozstał się z dilerem obrazów i zaproponował drugie, ważniejsze spotkanie z umówionym *człowiekiem z branży*. Okazał się nim wspomniany już Samuel Eliot Morison, komandor Marynarki Wojennej USA. Bulas znał go bardziej jako profesora niż wojskowego, gdyż komandor był wielką indywidualnością, nawet na tle tak prężnego amerykańskiego środowiska naukowego.

Wspominałem – imponując mu wyraźnie – że wiem o dwu dowodzonych przezeń okrętach, które pod jego dowództwem odbyły w latach 1939–41 cztery podróże dokładnie szlakiem Kolumba. Statki wielkości „Santa Marii” różniły się od tamtej karaweli tylko dodatkowym wyposażeniem w radiostację i silnik zapasowy na wypadek zaniku wiatru, a komandor Morison potwierdził, że to były w jego karierze najmniejsze okręty. Później zrewanżował się, że zwiedzał pięć lat wcześniej w jednym z kanadyjskich portów najpiękniejszy polski statek – transatlantyk „Batory” i że był zauroczony jego wystrojem, finezyjną kuchnią oraz znakomitą obsługą. Zasmuciłem go informacją, że od niedawna rozważana jest sprzedaż transatlantyku do stoczni złomowej.



Komandor poradził mi, żeby podpowiedzieć armatorowi poświęcenie kawałka opuszczonego nabrzeża, obudować falochronem i zacumować tam „Batorego” na stałe. Podkreślił, że tak planuje się zrobić w Long Beach z transatlantykiem „Queen Mary” – przeciąć wzdłuż dla wygody zwiedzających niektóre części statku, zostawiając jedynie w całości okazałą kaplicę na rufie, w której młode pary sławnych ludzi będą celebrować swoje śluby, przynosząc dla portu znaczne dochody. Zaznaczył, że zapomniano tak zrobić z transatlantykiem „Olimpic” tuż przed wojną, który także był szczęśliwy i przewiózł podczas pierwszej wojny znaczne oddziały wojska z USA do Europy. Był na początku XX wieku największym statkiem świata, co także przyciągałoby zwiedzających. Komandor wyjaśnił, że po tragedii „Titanica” siostrzany statek wyposażono w więcej szalup ratunkowych i dołożono grodzi wodoszczelnych, a na modernizację poświęcono zimę 1912/13. Po wybuchu I wojny światowej transatlantyk przewoził wojsko z USA i Kanady do Europy oraz został dozbrojony w działa strzelające pociskami o średnicy pięciu cali, zaś dowodzący w tym czasie statkiem kapitan Hayes dobrał sobie jako zastępcę chiefa z Marynarki Wojennej – Davida Neilla.

Kwalifikacje tych oficerów były znane w świecie żeglugowym, toteż komandor przytoczył opowieść o przygodzie wojennej transatlantyku o czwartej nad ranem 12 maja 1918 r. W Kanale Angielskim zaczęły się nań dwa niemieckie okręty podwodne: pierwszy U103 w pobliżu południka Brestu i kapitan polecając wyłożyć ster „lewa na burtę” zapytał chiefa czy niemiecki okręt podwodny zdąży zanurzyć się i odpalić torpedę.



– Nie zdąży! – opart Chief Neill doświadczo-
ny w walkach morskich – Ja rozstrzelam go na
powierzchni, gdyż władam bronią palną tak jak
sekstantem.

Uruchamiając rufowe działko, wygrawerował
pięcicoalowymi pociskami część elipsy ogromnych
rozmiarów połowy długości burty U103 tuż nad linią
wodną. Wrogi 800-tonowy okręt został równocześ-
nie uderzony masą 45.000 ton kadłuba „Olimpica”
manewrującego na pełnej prędkości i przechylił się
na burtę, zaś rodzina otworów po nabojach wystrze-
lonych przez Neill'a zadziałała jak sito, więc okręt
podwodny w krótkim czasie zatonął.

– Jakież nowe rozkazy? – zapytał Chief.

– Nie strzelać do rozbitków! – odparł kapitan.

Po godzinie żeglugi w kierunku Southamp-
ton zauważono z mostku „Olimpica” drugi okręt
podwodny wroga: UB72, lecz „Olimpic” pływał
z eskortą, więc sojusznicy, szybki amerykański niszc-
yciel USS „Davis”, który zdążywszy podjąć 31 roz-
bitków z zatopionego U103, storpedował i zatopił
drugiego czatującego wroga – podsumował z dumą
komandor Morison, a w swoich książkach napisał, że
12 maja 1918 r. był „bardzo kosztownym porankiem
dla Niemiec”, przyczyniając się do przegrania wojny.

W Gdyni zlekceważono całkowicie w PLO su-
gestię Morisona pomimo, że składając wniosek
z prymusem mojego rocznika studiów Ryszardem

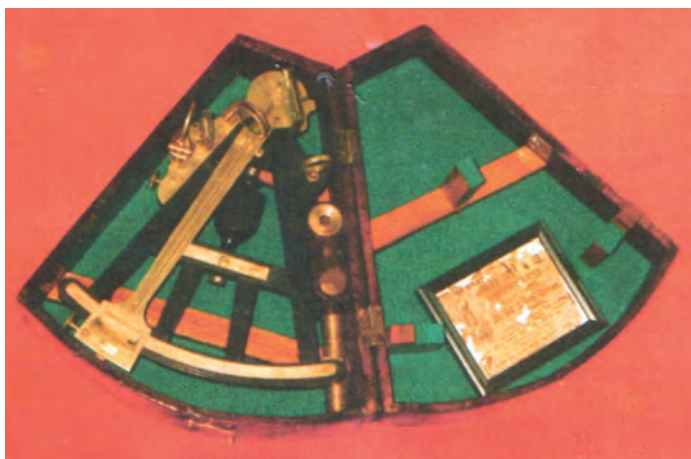
Choińskim, otrzymaliśmy wsparcie dla pomysłu od
znanego długoletniego kapitana „Batorego” Tade-
usza Meissnera (posta i brata znanego pisarza) oraz
wybitnego conradysty i wszechstronnego fachowca
kapitana Józefa Miłobędzkiego, wykładowcy sta-
teczności, który podczas wojny służył w Marynar-
ce Wojennej, a polską Szkołę Morską ukończył na
emigracji w Southampton. Z kolei ostrzegł mnie,
żeby nie ujawniał autora pomysłu, gdyż Morison
jako komandor Marynarki Wojennej USA, był wyż-
szym oficerem wrogiego mocarstwa. W Warsza-
wie pamiętano też, że Meissner „miał na sumieniu”
jako poseł walkę o status profesorski kapitanów
i starszych mechaników z dobrą opinią pracują-
cych w szkolnictwie morskim na wzór anglosaski
i sam dwa razy pracował jeden semestr jako wykła-
dowca i drugi jako kapitan „Batorego”, zdobywając
wielki autorytet u studentów. Wy tłumaczono mu,
że wystarczy akademie morskie w Leningradzie,
Odessie, Murmańsku i Władywostoku zarówno dla
ZSRR, jak i demoludów, czyli pozostałych krajów
socialistycznych. Kapitan Miłobędzki był wyraźnie
zbulwersowany odrzuceniem świetnego pomysłu
wykorzystania „Batorego”, a mnie poradził prze-
nieść się ze skostniałych Polskich Linii Oceanicz-
nych w Gdyni do prężnej Polskiej Żeglugi Morskiej
w Szczecinie.

Przytoczę teraz kilka ważnych faktów z dorob-
ku komandora, wkrótce awansowanego na admira-
ła. Profesor Uniwersytetu Harvarda, autor 26 wa-
żnych prac naukowych, w tym 15- tomowej *History
of US Naval Operation In World War II*, dwukrotny lau-
reat nagrody literackiej Pulitzera oraz autor wydanej
w 1940 r. ważnej i dobrze przyjętej pozycji maryni-
stycznej *Portugese Voyages to America Before 1500*
(wydanej w połowie lat 40. historii odkryć Kolumba).

Astronawigacja oceaniczna niewiele się od
dzisiaj zmieniła i przypominam to z uwagi na za-
głuszanie od 2018 r. na rozkaz Putina części mor-
skiego GPS, „dzięki” któremu sekstanty Izaaka
Newtona i Thomasa Godfrey'a wróciły do łask na
mostki wszystkich statków świata. Na statkach
szkolnych męczyłem studentów koniecznością uży-
wania sekstantu, co teraz wielu z nich autentycznie
doceniło. W kolejnych latach ciągle woziliśmy pol-
skimi statkami amerykańskie zboże dla kurczaków
polskich i radzieckich, ale na zbożowcach postoje
w portach były długie, co ułatwiało kontakty ko-
lekcjonerskie, dzięki którym pływanie wyglądało
jak kolorowy film. Miałem okazję obejrzeć i zaku-
pić najróżniejsze instrumenty nawigacyjne, m.in.

XIX-wieczne astrolabium szyckie w 1966 r., kilku sekstantów w 1972 r., a w 1980 r., będąc już kapitanem trzydziestoczwartotysięcznika „Powstaniec Wielkopolski”, zaprosiłem na statek w Baltimore Saula Moskowitza publikującego w „Navigation” (ten świetny kwartalnik prenumerowała do swojej biblioteki szczecińska Wyższa Szkoła Morska).

Jak wiadomo, „Powstaniec Wielkopolski” był chlubą nie tylko Polskiej Żeglugi Morskiej, ale też całej naszej floty. W dodatku dzięki kontaktom pierwszego dowódcy tej jednostki, pani kapitan żeglugi wielkiej Danuty Kobylińskiej-Walas, jako jedyny z trzydziestoczwartotysięczników zbudowanych przez Stocznnię Szczecińską, statek ten został gustownie udekorowany kilimami, rzeźbami, a nawet witrażami autorstwa uznanych artystów. Obiad z Saulem Moskowitzem zaowocował przyjaźnią, a na jego zaproszenie zwiedziliśmy sławną Walters Art Gallery – czteropiętrowe gmazysko wraz z nietuzinkowymi zbiorami podarowanymi miastu Baltimore przez światłego biznesmena Henry’ego Waltersa, będącego między innymi właścicielem połowy złota Scytów zakupionego w tajemnicy od bolszewików po załamaniu się tzw. NEP-u. Saul znał wiele szczegółów z życia prywatnego wielkich kolekcjonerów. Są oni na świecie – według niego – mafią, ale w dobrym znaczeniu tego słowa, bo wspierają się wzajemnie pod każdą szerokością geograficzną i do ostatniego tchnienia robią wszystko, aby powiększać swoje zbiory. Na statku przed odjazdem Saul podarował mi cyrkiel nawigacyjny z połowy XIX wieku, który dałem później Markowi Czasnojciowi do sfotografowania na okładkę mojej książki *Nawigacja wczoraj i dziś*, wydanej ze wstępem kapitana Krzysztofa Baranowskiego. Poprosił też, dodając że najstynniejszym konstruktorem drewnianych żaglowców w Bostonie był Donald McKay, więc że bym szukał dla niego sekstantu z „Great Republic” największego stworzonego przezeń drewnianego żaglowca świata. Jego córką była „Flying Cloud” („Latająca Chmura”) zostając rekordzistką na trasie Nowy Jork – San Francisco, a z kolei kliper „Lightning” („Błyskawica”) okazał się najlepszy na trasie australijskiej i został uznany za najszybszą jednostkę tego typu na świecie. Niestety, stumetrowemu nieomal „Great Republic” nie było dane sprawdzić się na trasie kalifornijskiej (według legendy stało się tak dlatego, że McKay rzucił wyzwanie konstruktorowi Arki Noego, czyli samemu Bogu). Popłynął więc tylko do Nowego Jorku, gdzie pożar w porcie strawił znaczną część jego wspaniałego kadłuba do



linii wodnej i większość masztów – zaś uratowanych z pożaru instrumentów nawigacyjnych szukają kolekcjonerzy z całego świata.

Saul zaznaczył, że za ten jedyny sekstant ze sławnego żaglowca dostarczony za jego życia zostaną dobrze wynagrodzony, a w przeciwnym razie że bym przekazał go do muzeum. Wkrótce popłynąłem do Los Angeles na jednostce pod banderą norweską i poznałem wtedy agenta jednego z przedstawicieli japońskiej firmy Mitsubishi, czekającego na statek, który miał dostarczyć do jego kraju koncentrat rudy miedzi. Opowiedział on anegdotę o tym, że w swoim czasie sprzedano w USA japońskiemu biznesmenowi nóż tantō, którego po przegranej Japonii w II wojnie światowej użył premier Hideki Tōjō, by popełnić harakiri. Nóż kosztował 25 tys. dolarów, ale według sprzedawcy były to grosze w porównaniu z jego rzeczywistą wartością. Był w istocie bardzo pięknie zdobiony, więc biznesmen bez namysłu zapłacił żadaną sumę, sądząc, że kupuje skarb narodowy. Kiedy wrócił do Japonii, przyjaciele poinformowali go, że premier się zastrzelił, a nie popełnił harakiri.

Tego samego wieczoru w jednym z antykwariatów w Los Angeles zobaczyłem drewniany sekstant firmy Spencer Barret&Co. Na jego skrzynce koloru skrzypiec znajdowały się dziewiętnastowieczne kłamy i haki, a wewnątrz znak handlowy, po części nadgryziony przez szczury, ale składający się z dwóch naklejek (jedna na drugiej) DeMory Grey&Co. Te dwie naklejki zostały zatopione w plastiku, co miało je uchronić przed zniszczeniem, były więc świetnie zachowane, podobnie zresztą jak sam instrument. Będąc sekstantem z „Great Republic”, został bardzo tanio wyceniony na 2,5 tys. dolarów. Antykwariusz potwierdził, iż instrument przez wiele dziesięcioleci był własnością jednej rodziny (w przeciwnym razie znalazłby się zapewne w kolekcji Mo-



skowitza). Z powodu kłopotów finansowych, w jakie popadła ta rodzina, dopiero teraz został wystawiony na sprzedaż. Amerykanie mieli uwiecznione drewniane sekstanty na obrazie ich wybitnego malarza Winslowa Homera, wysoko w świecie notowanego.

Następnego dnia złożył mi wizytę poznany u agenta Japończyk, tym razem jednak jego twarz nie była już nieruchomą maską; nie mógł ukryć malujących się na niej emocji. Okazało się, że w maszynowni statku, który miał właśnie przyplłynąć do Los Angeles, doszło do poważnej awarii, a następna jednostka w tym czarterze dopiero wypływa z Chile, więc jeśli w ciągu najbliższych dni ładunek koncentratów nie wyruszy do Japonii, koncern Mitsubishi straci płynność produkcji. Zasugerował, bym się zorientował, czy mój armator nie mógłby zabrać koncentratów do Japonii, i zapytał, jakiej gratyfikacji życzyłbym sobie w przypadku odpowiedzi pozytywnej. Odparłem, że jako człowiek skromny zadowolę się bonusem o wartości jednej dziesiątej legendarnego noża *tantō* dla premiera. Po telefonie do Bergen (gdzie mieszkał armator z polską żoną) i otrzymaniu akceptacji na rejs japoński podałem biznesmenowi adres antykwariusza, a po dwóch godzinach stałem się właścicielem sekstantu z niezwykłego „Great Republic”.

Przez całą dekadę pozostawaliśmy z Saulem w luźnym kontakcie telefonicznym, informując się wzajemnie o ciekawych instrumentach, które tu i ówdzie spotykaliśmy. W roku 1988 gratulowałem mu świetnego artykułu *The World's First Sextants* w „Navigation”, a w lipcu następnego roku mogłem go powiadomić o upadku komunizmu. Po śmierci tego specjalisty w 1991 r. zostałem zwolniony z przyrzeczenia danego Saulowi i przekazałem sekstant do Muzeum Morskiego w Szczecinie, gdzie można ten sekstant oglądać na Wałach Chrobrego.

Spadkobierca Saula syn Isaac znalazłszy w papierach mój adres, przesłał mi zaproszenie na aukcję kolekcji Saula, która miała zostać wystawiona 18 czerwca 1992 r. w ekskluzywnej dzielnicy Londynu South Kensington, w domu aukcyjnym Christie's. Wykładając astronawigację w szczecińskiej WSM, miałem już w czerwcu ofertę objęcia stanowiska kapitana zespołu portów Szczecin i Świnoujście, więc nie mogłem wyjechać do Londynu, ale znalazłem kompetentnego pełnomocnika z londyńskiej October Galery. On zakupił dla mnie sekstant z „Olimpica”, walcząc z niemieckim kolekcjonerem po dramatycznej licytacji, która będzie tematem osobnej noweli. Uznałem, że tu zbiegają się drogi instrumentów z nieszczęśliwego największego drewnianego żaglowca świata i szczęśliwego kolosa ze stali. Postanowiłem uzupełnić zbiory w instrument z tego sławnego *lucky ship*. Pływałem w sumie trzy lata dłużej niż kapitan tragicznego bliźniaka „Titanic” i byłem *lucky captain*, więc z wielkim pietyzmem przechowywałem sekstant. Instrument był świetnie zachowany w oryginalnej skrzyneczce oraz z wygrawerowanym na limbusie nazwiskiem właściciela, który rozstrzeliwał zaczajony niemiecki okręt podwodny U103 oraz miejscem zamieszkania strzelca *Belfast*, gdzie zbudowano trzy największe naówczas transatlantyki o nazwach: „Olimpic”, „Titanic” i „Britannic” (bo był jeszcze ten trzeci!). Sekstant ma cztery lunetki do obserwacji w różnych warunkach atmosferycznych, a na pokrywie wewnętrznej, zamiast certyfikatu wklejoną kartkę kalendarza z 1910 r., którą zdobi logo White Star Line i dostojna sylwetka transatlantyku z czterema kominami.

Ostatnim, najmłodszym i najmniej znanym *bratem* „Titanica” był „Britannic”, zatrudniony podczas wojny jako statek sanitarny na Morzu Śródziemnym od 1915 r. Nie był statkiem szczęśliwym – zatonął po krótkiej służbie, uszkodzony miną na Morzu Egejskim, tyle że z niewielkimi stratami – 30 zatopionych. Anglojęzyczni autorzy poświęcili każdemu z tych trzech gigantów osobne publikacje przygotowane ze starannością godną admirała Morisona.

Zdjęcia: Józef Gawłowicz

Kapitan żeglugi wielkiej Józef Gawłowicz — wykładowca w Wyższej Szkole Morskiej w Szczecinie, pisarz, w latach 1963–1989 tajny kurier paryskiej „Kultury do Polski”; był także publicystą tejsze „Kultury”, pisując do niej artykuły pod pseudonimami.

Roman Bäcker, Janusz Małek

Wolfgang Rudzio – przyjaciel Polski z Oldenburga

W 2024 roku zmarł profesor Wolfgang Rudzio. Był wybitnym niemieckim politologiem przez wiele lat pracującym na Uniwersytecie imienia Carla Ossietzky'ego w Oldenburgu.

Wolfgang Rudzio urodził się w 1935 roku w małym miasteczku w Prusach Wschodnich, który wtedy nazywał się Instenburg, a w tej chwili Czerniachowsk, a po polsku Wystruć. Profesor Rudzio najprawdopodobniej wywodził się z polskiej (mazurskiej rodziny), o czym świadczyło jego nazwisko. Był tym faktem bardzo zainteresowany i pragnął odwiedzić miejscowości Pawłowo i Marcinowo (węgorzewskie). W źródłach o ew. przodkach Profesora (przynajmniej noszących nazwisko Rudzio), mamy takie dane: W roku 1642 składa hołd elektorowi brandenburskiemu Fryderykowi Wilhelmowi w formie przysięgi wierności sołtys Pawłowa (Paulswohl) Marcin Rudzio („Marzin Rudzio”, „Marzien Rudzo”). W tym samym roku czyni to samo Jan Rudzio z Marcinowa (Marzinowen). Z kolei w roku 1663 taką przysięgę złożył Krzysztof Rudzio z Pawłowa („Christoff Rudzo”). Jest wysoce prawdopodobne, że Wolfgang wywodził się właśnie z tej mazurskiej rodziny. Wolfgang Rudzio miał świadomość swojego pochodzenia etnicznego. Wielokrotnie w czasie spotkań mówił do Romana Bäckera: „powinniśmy zamienić się nazwiskami”. Wiedział, że jego nazwisko nie jest niemieckie, choć oczywiście czuł się i niewątpliwie był Niemcem – członkiem kulturowej wspólnoty narodu niemieckiego.

Po ukończeniu szkoły średniej w Hannoverze Wolfgang Rudzio studiował matematykę i historię we Frankfurcie nad Menem. W 1967 roku obronił doktorat. Po uzyskaniu habilitacji już od roku akademickiego 1972/1973 pracował na stanowisku profesora politologii na Uniwersytecie Carla Ossietzky'ego, by w roku 2000 przejść na emeryturę. Zmarł kilka miesięcy temu (dokładnie 3 lutego 2024 roku) w Oldenburgu – będącym jego drugą, po Ilstenburg, małą ojczyzną.

Ten skrócony życiorys nie oddaje najistotniejszych osiągnięć Profesora Rudzio. Ten wybitny politolog jest znany w Niemczech przede wszystkim



z powodu wielokrotnie wydawanego podręcznika dotyczącego systemu politycznego Republiki Federalnej Niemiec. Do 2017 roku opublikowano 10 wydań. Ostatnia, poszerzona i uzupełniona, edycja tej książki napisana wspólnie z Tomem Mannowitzem ukazała się w 2022 roku, a po angielsku w roku następnym. Podręcznik ten jest traktowany w Niemczech jako podstawowy dla wszystkich zajmujących się tą problematyką. Po niemiecku takie dzieło nazywa się Standardwerk.

Prof. Rudzio był jednocześnie znany jako wybitnej klasy specjalista w zakresie funkcjonowania niemieckich partii politycznych oraz praktyki funkcjonowania rządów koalicyjnych. Jeden z jego tekstów o paradoksach pomiędzy założeniami ideowymi a praktyką działalności niemieckich partii politycznych został po przetłumaczeniu przez Romana Bäckera opublikowany w 1994 roku w polskim czasopiśmie naukowym. Jednakże co najmniej rów-

nie wartościowe są inne prace Wolfganga Rudzia. Warto tu wspomnieć o książce dotyczącej erozji przedziałów pomiędzy niemiecką lewicą a partią komunistyczną (opublikowaną w 1988 roku), czy o monografii poświęconej nieformalnemu regułom zarządzania koalicyjnymi rządami w Niemczech i Austrii z 2005 roku.

Nie sposób nie wspomnieć o aktywności politycznej w okresie młodości. W czasie studiów we Frankfurcie był szefem studenckiej organizacji socjaldemokratycznej związanej z SPD. Będąc członkiem tej ostatniej partii, dążył do jak najszerszego pojednania Niemiec z Polską, wspierając w tym politykę rządu Willy'ego Brandta. Jednocześnie był stanowczo przeciwny współpracy z niemieckimi komunistami, co ostatecznie spowodowało jego odejście z SPD. Po kilku latach wstąpił do CDU, traktując ją jako partię o wiele bardziej demokratyczną niż wszystkie pozostałe. Jednakże odrzucenie przez CDU polityki transformacji energetycznej, uchodźczej i europejskiej spowodowało, że zrezygnował z członkostwa w tej partii w 2015 roku. Wyznawane wartości były dla niego przez całe życie o wiele ważniejsze niż jakakolwiek przynależność organizacyjna.

To co jest jednak dla jego znajomych i przyjaciół z Torunia najważniejsze, to jego stosunek do Polski. Profesor Rudzio wielokrotnie zapraszał do Oldenburga naukowców z Polski. Do nich należeli

przede wszystkim socjolog (Andrzej Kaleta), historycy (Janusz Małtek) oraz politolog (Roman Bäcker). Za każdym razem pobytu w Oldenburgu byli oni zapraszani do jego domu w urokliwej części Oldenburga. Byliśmy tam podejmowani znakomitym jedzeniem, ale w o wiele większym stopniu opowieściami o tajnikach niemieckiej polityki, której często był bezpośrednim świadkiem.

Prof. Rudzio był wielokrotnie gościem na UMK. Jego wykłady po angielsku dla studentów i pracowników cieszyły się bardzo dużym zainteresowaniem. Najważniejsze jednak były bezpośrednie rozmowy, wymiana doświadczeń i opinii o sytuacji politycznej i społecznej w Niemczech i Polsce. Do anegdot z lat 90. przeszło jego niesamowite zdziwienie, gdy okazało się, że pociąg niemiecki do Szczecina przyszedł z ogromnym opóźnieniem, a ze Szczecina do Torunia odszedł punktualnie. Był to dla niego widomy dowód na nieadekwatność narodowych stereotypów.

Wolfgang Rudzio był jednym z najwybitniejszych niemieckich politologów i jednocześnie oddanym przyjacielem Polski.

Prof. dr hab. Roman Bäcker — Wydział Nauk o Polityce i Bezpieczeństwie UMK

Prof. dr hab. Janusz Małtek — emerytowany pracownik Wydziału Nauk Historycznych UMK

Sebastian Żurowski

Tapeta na tapecie

Trudno o bardziej typowy przykład związku frazeologicznego, w którym mówiący i piszący po polsku często popełniają rażąco błęd. Czy jednak rzeczywiście?

Każdy blog zajmujący się poprawnością językową, każda poradnia językowa i każdy słownik poprawnościowy musi zawierać informację, że w języku polskim poprawne brzmienie frazeologizmu to *ktoś bierze coś na tapet*, a nie *ktoś bierze coś na tapecie*, bo etymologia tego zapożyczenia (z języka niemieckiego) nawiązuje do *tapetu* (a *tapet* to dawniej 'stół pokryty zielony sukniem, przy którym toczyły

się różne obrady'). Dlaczego w takim razie jednak w „Wielkim słowniku języka polskiego PAN” są zarejestrowane dwa warianty (*ktoś bierze na tapet kogoś/coś* i *ktoś bierze na tapecie kogoś/coś*)? Co prawda ten drugi opisany jest jako „kwestionowany” (co oznacza, że w wydawnictwach poprawnościowych uznaje się go za błędny), ale za to jednocześnie autor tego hasła podaje, że wariant z „tapetą” jest częstszy. A w „Dobrym słowniku” w ogóle poszliśmy jeszcze dalej i uznaliśmy, że obie wersje są poprawne.

W języku niemieckim rzeczownik *die Tapete* 'tapeta' i rzeczownik *das Tapet* są osobnymi wyrazami,

przy czym oba pochodzą od łacińskiego *tapetum*, ale ten drugi używany jest współcześnie tylko w wyrażeniu *etwas aufs Tapet bringen*. W czasopiśmie „Poradnik Językowy” już w 1907 r. zwracano uwagę, że w zasadzie etymologia tak naprawdę nie przesądza, jaki rodzaj (żeński czy męski) jest właściwy dla którego znaczenia. W utworach bardzo znanych pisarzy XX-lecia – Tadeusza Dołęgi-Mostowicza i Poli Gojawicyńskiej – można odnaleźć formy *na tapetę*, a przecież trudno odmówić im biegłości w postugiwaniu się słowem.

Jedna z łacińskich sentencji prawniczych mówi, że co od początku jest wadliwe, przez sam upływ czasu nie może być uzdrowione (*quod ab initio vitiosum est, non potest tractu temporis convalescere*). I tu można się do niej odwołać – jeśli wyrażenie *ktos bierze kogoś/coś na tapetę* od początku byłoby bezwzględnie błędne (a jak widać, niekoniecznie tak było), to uznawanie, iż w latach 20. XXI wieku jest ono już poprawne, byłoby zwykłą kapitulacją przed tym, że forma uznawana za błędną jest po prostu częstsza niż forma uznawana za poprawną. Czyli tak naprawdę byłaby to kapitulacja przed ignorancją użytkowników języka polskiego.

W tym wypadku dodatkowo jednak upływ czasu spowodował, że *branie czegoś na tapetę* stało się wyrażeniem przejrzystym etymologicznie. Jak to możliwe? Gdy uznamy, że *tapeta* to tylko dekoracyjny papier naklejany na ścianę, sensu to nie ma. Ale Mirosław Bańko w poradni językowej PWN (a także w swoim „Słowniku wyrazów trudnych i kłopo-

tliwych”) słusznie zauważył, że przecież w chwili, gdy słowo *tapeta* zaczęło oznaczać nie tylko papier naklejany na ścianę, ale także grafikę na pulpicie komputera, wyrażenie *ktos wziął coś na tapetę* nagle przestało być nielogiczne.

Czas i zmiany zachodzące w języku – wbrew przywołanej zasadzie prawa rzymskiego – spowodowały, że dla współczesnego użytkownika polszczyzny frazeologizm ten stał się jasny etymologicznie. Zatem w całą tę, i tak nieprostą, sprawę włączył się proces, który w językoznawstwie nazywamy neosemantyzacją. Polega ona na tym, że z czasem istniejące wyrazy zaczynają być używane w nowych znaczeniach (zwykle powiązanych jakoś z dawnymi, ale niekoniecznie). W wypadku słowa *tapeta* te nowe znaczenia to właśnie ‘grafika na ekranie’ oraz ‘przesadny makijaż’.

Jakie z tego wnioski? Chyba dwa najważniejsze: warto używać wyrażenia *brać na tapet*, bo w ten sposób pokazujemy, że wiemy, jaką formę przez dekady uważano do prawną i starano się promować. A jednocześnie zdecydowanie nie warto poprawiać tych, którzy używają formy *brać na tapetę*. Bo wcale nie jest ona tak zła, jak ją pisano.



Dr Sebastian Żurowski – Wydział Humanistyczny UMK



Winicjusz Schulz

Pruski mur, czyli życie w cieniu gotyku

„Drzewa umierają, stojąc” – w tym legendarnym spektaklu aż po kres życia grała równie legendarna aktorka Mieczysława Ćwiklińska. I chciałoby się sparafrazować tytuł tej sztuki, by oddać to, co przez długie lata, gwoli prawdy nie tylko w Toruniu, działo się z tzw. budownictwem szkieletowym: „Pruski mur umiera, stojąc”.

Kiedyś w Toruniu była to bardzo powszechna forma zabudowy, zwłaszcza w peryferyjnych dzielnicach. I nie chodziło tylko o względy ekonomiczne. Nie bez znaczenia było też to, że w trakcie w działań wojennych taki pruski mur był łatwy do zniszczenia i nie mógł służyć za schronienie dla wroga. A przecież wojenny dyktat niszczył nie tylko pruski mur, ale mamy w Toruniu także przykłady burzenia z tego powodu gotyckich budowli.

To, co ocalało z pruskiego muru, na długo wpisane było w toruński pejzaż w takich dzielnicach jak chociażby Bydgoskie, Mokre, Jakubskie czy Chełmińskie Przedmieście, Winnica. Były też przykłady takiej zabudowy „po drugiej stronie Wisły”, na przy-

kład w okolicach dworca kolejowego Toruń Główny. Nie da się ukryć, że towarzyszyło temu wszystkiemu powszechne przekonanie, że to budownictwo substandardowe, tymczasowe, niezbyt cenne. A w Toruniu, który wszak gotykiem stoi, taka ocena zyskiwała dodatkowych argumentów. Po prostu pruski mur na tle gotyku był czymś bylejakim. Z równą pogardą przez dziesięciolecia odnoszono się do XIX-wiecznych fortyfikacji – porzuconych, zaniedbywanych, zamienianych w najlepszym przypadku na magazyny, siedziby firm usługowych.

Fortyfikacje doczekały się nobilitacji, a nawet własnego muzeum w centrum Torunia. Pruski mur ginął dalej. W ciszy, najlepiej bez rozgłosu, bo to nie byłoby na rękę deweloperom. Pamiętajmy, że domy z pruskiego muru zajmowały często bardzo atrakcyjne lokalizacje, na których potem powstawały apartamentowce. Pruski mur był w coraz gorszym stanie, więc argumenty do jego burzenia (zamiast rekonstrukcji) trafiały na podatny grunt. Przykłady, że można było czynić inaczej są, ale jakże nieliczne. Proszę wybrać się choćby na spacer na ulicę Kiliń-



skiego. Można też powędrować do „Zofiówki” przy ul. Bydgoskiej. Próby ratowania widać też przy niektórych obiektach przy ul. Mickiewicza. W ostatniej niemal chwili uratowano też tzw. „Dom Grossówny” przy ul. PCK. Dosłownie tuż przed rozbiórką udało się przenieść obiekt na tereny w pobliżu bulwarów.

To nie zmienia jednak faktu, że pruski mur ginął masowo, ustępując dosłownie i w przenośni pola nowoczesności. Tylko co jakiś czas dziennikarze, fotoreporterzy, pasjonaci dziejów Torunia odnotowywali śmierć kolejnego budynku z pruskiego muru.

Według najnowszych danych udostępnionych przez Urząd Miasta w zasobach gminy Toruń jest teraz 56 obiektów wykonanych w technologii budownictwa szkieletowego. Dodajmy – tylko 56! Można by porównać to do meldunku o populacji ginącego gatunku.

Czy pruski mur w Toruniu wyginie? Miejmy nadzieję, że uda się uratować jego resztki, bo o odtworzeniu atmosfery całych kwartałów miasta zabudowanych domami szkieletowymi już nie można mówić. Dobrą wiadomością jest ta, że prezydent Torunia Paweł Gulewski powołał zespół do spraw opracowania standardów rewitalizacji i ochrony budownictwa szkieletowego na terenie Gminy Miasta Toruń. Przewodniczącym tego zespołu jest wiceprezydent Adam Szponka. Z informacji uzyskanych przez nas z Urzędu Miasta Torunia wynika, że przed zespołem tym postawiono szereg zadań. Oto i one: określenie potrzeb i niezbędnych działań związanych z rewitalizacją i ochroną budownictwa szkieletowego na terenie Gminy Miasta Toruń, stworzenie rekomendacji, wytycznych oraz katalogu narzędzi możliwych do wykorzystania przez Gminę Miasta Toruń do rewitalizacji i ochrony zabytków budownictwa szkieletowego, opracowanie przykładowych strategii rozwiązań kluczowych problemów związanych z rewitalizacją i ochroną budownictwa szkieletowego na terenie Gminy Miasta Toruń, ocena spo-

ządzanego na zlecenie Gminy „Programu ochrony budownictwa szkieletowego na terenie Gminy Miasta Toruń”, udział w spotkaniach konsultacyjnych „Programu ochrony budownictwa szkieletowego na terenie Gminy Miasta Toruń”, koordynacja działań związanych z implementacją wypracowanych założeń.

Warto dodać, że w składzie zespołu znaleźli się także przedstawiciele Uniwersytetu Mikołaja Kopernika: dr hab. Michał Białkowski, prof. UMK – pełnomocnik Prezydenta Miasta Torunia ds. Dziedzictwa Kulturowego Torunia, dr hab. inż. arch. Ulrich Schaaf, prof. UMK – kierownik Katedry Konserwatorstwa Wydziału Sztuk Pięknych Uniwersytetu Mikołaja Kopernika, dr Maciej Prarat – członek Głównej Komisji Konserwatorskiej przy Generalnym Konserwatorze Zabytków, pracownik naukowy Katedry Konserwatorstwa Wydziału Sztuk Pięknych Uniwersytetu Mikołaja Kopernika.

Zdjęcia: Winicjusz Schulz



Spuścizna w bibliotece

W nawiązaniu do publikacji w poprzednim „Głosie” *O planach stworzenia indologii na UMK i innych niewykorzystanych możliwościach* informujemy, że spuścizna po profesorze Eugeniuszu Słuszkiewiczu nie znajduje się w Archiwum UMK, lecz w Bibliotece Uniwersyteckiej UMK w Oddziale Zbiorów Specjalnych w Gabinetach Rękopisów. (ewb)

KONCERT SPECJALNY PAMIĘCI GRZEGORZA CIECHOWSKIEGO

14 GRUDNIA 2024
godz. 20.00

KUJAWY I POMORZE

OD NOWA
ul. Gagarina 37a
Toruń



foto: Andrzej Świrski



WRĘCZENIE NAGRODY ARTYSTYCZNEJ MIASTA TORUNIA IM. GRZEGORZA CIECHOWSKIEGO

bilety: 110 zł w przedsprzedaży (130 zł w dniu koncertu) | EmpikBilety.pl | aplikacja Going. | Od Nowa (ul. Gagarina 37a)

PATRONAT MEDIALNY

PARTNER GŁÓWNY

MIASTO TORUŃ

Samorząd Województwa Kujawsko-Pomorskiego

KUJAWY POMORZE

Urząd Marszałkowski Województwa Kujawsko-Pomorskiego w Toruniu

Partnerem głównym wydarzenia jest Samorząd Województwa Kujawsko-Pomorskiego

1 1 1 4
na 1000
miejsc
dostępnych

UNIWERSYTET MIKOŁAJA KOPERNIKA W TORUNIU

Fundusze Europejskie dla Kujaw i Pomorza

Rzeczpospolita Polska

Dofinansowane przez Unię Europejską

Samorząd Województwa Kujawsko-Pomorskiego

PARTNERZY FESTIWALU

TVP3 BYDGOSZCZ

TV Toruń

wyborcza

jazzforum

Radio CRA

PK

Radio im. Komisji Europejskiej

GŁOS UCZELNI

LECH

GRODA

OWAL

odnowa

ME

MerCure

oficyna

Jacek Adamowski

Cały czas tego świata

Patrzę na wystużony parowiec rozcinający zabagnioną rzekę, na powierzchni której unoszą się fragmenty zębatek, sprężyn, zegarowych tarcz i wszelkiej maści industrialnych śmieci. Jedną myśl później w miejscu jednostki śródlądowej widzę dumny gotycki fort z napędem bocznołowym, którego łopatki kancerują spokojną powierzchnię, zostawiając za sobą wartki kilwater. Rufę tego quasi-statku porasta bujna roślinność, a kadłub

zdobi napis „Timebreaker”. To czas płynie przez niego, a on stoi od wieków niewzruszony, czy jest na odwrot? Może sunie w górę rzeki czasu, pod prąd transformacji i przemian, a to nurt za nim staje się rwący i porywa tych, którzy wypadli za burtę? Z pomostu ze stoickim spokojem wszystkiemu przygląda się... ślimak Teofil. Nigdzie się nie śpieszy. Ma do dyspozycji cały czas tego świata. Zresztą i tak na brzegu stoi znak zakazujący uży-



Fot. Andrzej Romański



Timebreaker

wania wszelkich urzędzeń mierzących jego upływ. Ciekawe dlaczego?

Taka jest cała twórczość artysty. Niejednoznaczna. Zostawia pole do przemyśleń, do interpretacji. Każdy



Lądowanie miasta

Jego obraz, każdy szkic, czy rysunek to wielowymiarowa podróż w głąb wyobraźni twórcy i tylko od nas zależy jakie wspomnienia z niej zabierzemy do domu. O ile oczywiście w ogóle będziemy chcieli wrócić.

Surrealizm? Realizm magiczny? Obrazy Jacka Yerki nie sposób jednoznacznie zakwalifikować do określonego nurtu w sztuce, a i sam artysta odżegnuje się od jakichkolwiek klasyfikacji. Jego prace jednocześnie wpisują się w te określenia, jak i wykraczają daleko poza nie. Drobiazgowość o szczegóły i wielopoziomowość pełna onirycznych symboli składają się na unikatowy, charakterystyczny styl, rozpoznawalny na pierwszy rzut oka. Niczym nieskrępowana wyobraźnia, nieszablonowe pomysły, jakie przelewa na płótno i perfekcyjny warsztat przekładają się na niesłabnące zainteresowanie kolekcjonerów i miłośników sztuki na całym świecie. Dziś wydaje się to nieprawdopodobne, że u progu dorosłości przyszłemu artyście bliżej było do Kopernika i Hipokratesa, niż do Jana van Eycka czy Hieronima Boscha.

Jack Yerka przyszedł na świat w poniedziałek 7 lipca 1952 roku w Toruniu, ale na wyciągu aktu urodzenia próżno szukać takich personaliów. W domu Państwa Kowalskich, na drugim piętrze secesyjnej kamienicy Gustava Beichle przy ówczesnej Klonowica 30, twardą ręką rządził dziadek Stefan. Wybrane przez rodziców imię „Jacek” wydawało się nestorowi zbyt nowoczesne i Ci ulegając jego sugestiom, zdecydowali się nadać synowi imię Ryszard. Nigdy się z nim nie utożsamiał i po latach zmienił je w urzędzie, przychylając się do pierwszego wyboru rodziców. Joanna i Norbert obdarzyli go nieprzeciętną wrażliwością zarówno artystyczną, jak i emocjonalną. Na co dzień zajmowali się grafiką użytkową i mocno absorbowała ich praca, więc trafił pod opiekuńcze skrzydła ukochanej babci Wandy. Pierwsze wspomnienia z dzieciństwa na Bydgoskim Przedmieściu, to przede wszystkim aromaty babcinej kuchni i spacerów po klimatycznym Parku Miejskim. Echa tych wspomnień będą wybrzmiewać w pracach artysty przez całe życie. Wrażeń dostarczały również wycieczki po okolicznych lasach, nad Wisłę i jej starorzecze Martówkę, do przystani wioślarskiej AZS-u oraz rowerowe wycieczki w okolicy sportowego lotniska Aeroklubu Pomorskiego. Z racji wykonywanego przez rodziców zawodu dorastał wśród zapachu farb, tuszy, gumek i szelestu wszechobecnego papieru. Choć nie chciał iść w ich ślady, to młode lata upłynęły mu na rysowaniu, malowaniu i obsesyjnym wręcz rzeźbieniu w korze wszelkiej

maści figurek. Widział w tym jednak odskocznnię od rzeczywistości i drogę ucieczki przed światem.

Przeprowadzki i częste zmiany szkół również nie sprzyjały nawiązywaniu głębszych znajomości i dopiero w szkole średniej odnalazł stabilizację. Mury V Liceum Ogólnokształcącego i tamtejsza kadra nauczycielska nawet po latach jawić się będą w pamięci artysty żywymi kolorami. Nadal jednak ignorował swój talent i nie wiązał przyszłości ze sztuką. Interesowały Go przedmioty ścisłe i przyroda, poważnie więc rozważał studiowanie astronomii lub medycyny. Dopiero rok przed maturą zdał sobie sprawę z siły przeznaczenia i wybrał drogę artystycznej kariery, zdając na Wydział Sztuk Pięknych, na którym ćwierć wieku wcześniej studiowali Jego rodzice. Kunsztu Mu nie brakowało, ale zderzył się z systemem. Jego drobiazgowo, perfekcyjnie dbanie o każdy szczegół stało w kontrze z szybkim, abstrakcyjnym malowaniem, jakiego wówczas oczekiwano na studiach. Dziś zakrawa na ironię, że umiejętności z malarstwa przyszłego mistrza pędzla oceniono z początku na trzy. Trzy lata zabiegał też o niezależność. W końcu pozwolono Mu iść własną drogą i fascynację realizmem potraktowano jako nieszkodliwe dziwactwo, przypinając łatkę: „zdolny, aczkolwiek niepokojący talent”. Specjalizował się w grafice artystycznej i już dyplom u profesora Edmunda Piotrowicza w 1976 roku obronił na pięć. Były to medzioryty inspirowane mistrzem z Norymbergi Albrechtem Dürerem i wielowarstwowe, bardzo pracochłonne serigrafie.

Jeszcze na studiach zaczął z powodzeniem projektować plakaty i wygrywać liczne konkursy. Przez 12 lat utrzymywał się tylko z tego, zdobywając kilkadziesiąt nagród i wyróżnień w konkursach krajowych i na międzynarodowych biennale. Odnajdywane w archiwach po latach nadal zachwycają pomysłowością i precyzją wykonania, a niejednokrotnie pozostają aktualne w wymowie po dziś dzień.

Pierwsze indywidualne wystawy prac malarstwa zaprezentował w 1974 roku w Nowej Rudzie i w Poznaniu. Kolejne lata to autorskie ekspozycje obrazów w Katowicach, Rypinie, Włocławku, Wąbrzeźnie i w rodzinnym Toruniu. Przełom nastąpił w 1980 roku i po wystawie w klimatycznej Galerii Grażyny Hase artysta zdecydował się zrezygnować z projektowania plakatów i oddać wyłącznie malarstwu. Indywidualne wystawy w kolejnych latach w Warszawie, Londynie i w Düsseldorfie zapewniły nabywców i pozwoliły spokojnie malować, a już w 1990 roku zainteresowanie było tak duże, że pra-



Dwa ślimaki



Baldachim



Nauka chodzenia

ce wypełniły dwie sale Galerii Sztuki Alicji i Bożeny Wahl na warszawskim Żoliborzu.

Początek lat 90. przyniósł uznanie i rozpoznawalność wśród kolekcjonerów w całej Europie i Japonii, ale również załamanie rynku sztuki i wycofanie się inwestorów spowodowane wojną w Zatoce Perskiej. Stabilizację przyniósł chłonny rynek



Letnia Madera

amerykański. Artysta został zauważony za oceanem i nawet krótko rozważał przeprowadzkę za Wielką Wodę, ale ostatecznie wybrał sielskość polskiej wsi. Stany Zjednoczone to osobny rozdział w życiu artystycznym i ugruntowanie na rynku. To tam – za namową marszanda z Morpheus Gallery w Beverly Hills – panięskie nazwisko żony Jerka, którym się wtedy posługiwał, zmienił urzędowo na to, pod jakim znany jest dzisiaj całemu światu. Współpraca z galerią zaowocowała także wydaniem w 1994 roku dwóch publikacji zawierających dzieła artysty. Album *The Fantastic Art of Jacek Yerka*, oraz *Mind Fields* z opowiadaniem Harlana Edisona trafiły pod amerykańskie strzechy, z dnia na dzień stając się bestsellerami i cementując pozycję na rynku. W następnym roku, jako pierwsza osoba spoza Stanów Zjednoczonych, został laureatem prestiżowej *World Fantasy Award* dla najlepszego artysty. W tym samym roku uhonorowani zostali Stephen King i Ursula K. Le Guin, co daje wyobrażenie o elitarności tej nagrody.

W końcu o Yerkę upomniało się Hollywood. Holenderski reżyser i producent Rene Daaler, który nabył prawa do 50 piosenek zespołu The Beatles, zaprosił Go do współpracy przy pierwszym w historii kina filmie 3D *Strawberry Fields* z muzyką czwórki z Liverpoolu. Artysta stworzył projekty organicznych maszyn, potworów, postaci i fantastycznych pejzaży. Niestety ówczesne możliwości techniczne uniemożliwiły realizację produkcji i concept został odłożony do szuflady. Nigdy do niego nie wrócono. Wszystkie pomysły i prace związane z fabryką snów spoczywają w czeluściach sejfów producentów, niemniej echa czasu poświęconego wtedy dziesiątej muzie znalazły się w kilku pracach malarza i dają pewne wyobrażenie o zawartości tych skrytek.

Przełom millennium to dla artysty dzielenie czasu między spokojem kociewskiej wsi a wrzawą zabieganej stolicy i praca twórcza w dwóch atelier. Obrazy powstałe zarówno nad Wisłą, jak i nad Prusimą rozchodziły się od ręki, niemniej dało się ich zebrać na tyle, by zrobić indywidualną wystawę w warszawskiej Galerii SD w Panoramie. Pięć lat później prace Yerki można było również podziwiać na czerwonych ścianach czterokondygnacyjnej klatki schodowej stołecznej Galerii Tamka. Od 2006 roku współpracuje z Domem Aukcyjnym Agra-Art w Warszawie i Konradem Szukalskim jako jedynym agentem. Relacja ta zaowocowała – po latach starań – wydaniem w 2021 roku wyczekiwanego na

rynku, pierwszego w Polsce albumu malarstwa artysty. *Jacek Yerka. Obrazy z lat 1972–2001* to dziś biały kruk. W kolejnym roku, w siedzibie przedstawiciela artysty zorganizowano monograficzną ekspozycję prac Jacka Yerki. Dla miłośników Jego pędzla była to niepowtarzalna okazja, by zobaczyć kilkadziesiąt obrazów mistrza w jednym miejscu. Wystawa okazała się olbrzymim sukcesem i przyciągnęła rzesze zwiedzających z kraju i z zagranicy.

W kwietniu tego roku Wydawnictwo BoSZ przy współpracy z DA Agra-Art wydało minialbum z wybranymi pracami artysty, a jesienią ukazał się pełnowymiarowy wolumen. Idealny prezent pod choinkę nie tylko dla fanów Mistrza.

Nadchodzący rok dla miłośników twórczości Jacka Yerki zapowiada się równie obiecująco. Już w styczniu będzie można podziwiać Jego prace w toruńskiej Od Nowie. Będzie to pierwsza od lat, tak duża wystawa w rodzinnym mieście artysty. Przygotowania trwają i jak zapewnia kurator wystawy Anna Walkowska – jest na co czekać. Obecność obowiązkowa.

Artykuł powstał przy współpracy z kuratorem wystawy Anną Walkowską.



Twister



Wirydarz

Anna Walkowska

Jacek Yerka w roku jubileuszu

Jacek Yerka to malarz światowej sławy. Jego twórczość znana jest pod każdą szerokością geograficzną i uhonorowana została prestiżową nagrodą **World Fantasy Award**. Wyróżnienie to zdobyło tylko dwóch Polaków – poza naszym artystą drugą nagrodę przyznano pisarzowi **Andrzejowi Sapkowskiemu**.

Mało kto jednak wie, że malarz pochodzi z Torunia, a początki jego twórczości związane są z Wydziałem Sztuk Pięknych Uniwersytetu Mikołaja Kopernika. Tutaj też wcześniej studiowali jego rodzice. Jacek Yerka jest jedynym malarzem, który został laureatem w Piernikowej Alei Gwiazd przy Dworze Artusa (2008 r.), a uczelnia nadała mu w 2015 roku tytuł Ambasadora UMK.

We wczesnym okresie dzieciństwa malarz mieszkał na Bydgoskim Przedmieściu, przy ulicy

Klonowica 30. Klimat tej części Torunia, starych kamienic, ale i pobliskiego Parku Miejskiego ze swoją, różnorodną zielenią do dziś przewijają się w malarstwie artysty. Ten okres życia głęboko tkwi w jego pamięci, snach i fantazjach. Jako dziecko lubił spędzać też czas nad Wisłą w okolicach starej przystani AZS-u, nad Martówką oraz na rodzinnych wycieczkach rowerowych do pobliskich lasów Barbarki, lotniska, a także licznych toruńskich fortów.

Pierwsze szkoły, do których uczęszczał, to Szkoła Podstawowa nr 18 i nr 4 tuż za rogiem Klonowica, na ulicy Krasieńskiego, gdzie obecnie znajdują się pomieszczenia należące do WSP UMK. W tym okresie malarz jeszcze dwukrotnie zmieniał szkołę, gdyż rodzice przeprowadzili się na nowo powstające Osiedle Młodych. Wówczas było to tylko sześć bloków przy ulicy Moniuszki. Ostatnią szkołą wczesnej edukacji była nowo wybudowana Szkoła nr 21,



która powstała w kolejnym etapie rozbudowy tego osiedla.

Jacek Yerka, a właściwie wtedy jeszcze Jacek Ryszard Kowalski, obracając się w środowisku artystycznym, również przez całe dzieciństwo rysował, malował i rzeźbił. Mimo to w trakcie nauki w V Liceum Ogólnokształcącym myślał o studiowaniu astronomii lub medycyny. Ostatecznie jednak, podobnie jak rodzice, wybrał Wydział Sztuk Pięknych UMK, który wówczas mieścił się w Collegium Maius, przy ulicy Żeglarskiej (w dawnym Pałacu Dąbskich) i Moniuszki (w dawnym Willi Ossowskiego), gdzie znajdowała się Katedra Rzeźby i Grafiki. Tu nasz artysta spędzał najwięcej czasu. Początkowo nie był akceptowany na studiach, gdyż jego malarstwo było pracochłonne, precyzyjne i bogate w szczegóły. Zrozumienie odnalazł dopiero w pracowni profesora Edmunda Piotrowicza, gdzie w 1976 roku dyplom obronił na ocenę bardzo dobrą. Były to medzioryty inspirowane twórczością Albrechta Dürera oraz wielowarstwowe, bardzo pracochłonne serigrafie.

Już w trakcie studiów projektował pierwsze plakaty – jako że specjalizował się w grafice artystycznej. I to właśnie tym zajął się po studiach. Za powstałe plakaty otrzymał aż kilkadziesiąt nagród krajowych i zagranicznych, co pozwoliło mu na spokojne życie i dalsze projektowanie. Od roku 1980 swoją twórczość całkowicie skupił na malowaniu. Były to oleje na płótnie, a później akryle, pastele (od 1996 roku), kredki i ołówki. Jego twórczość do dziś ma rzeszę fanów, a wszystkie prace sprzedają się właściwie od ręki za niebagatelne kwoty. Z tego właśnie powodu tak trudno zorganizować wystawę malarza. Pierwszą indywidualną prezentacją obrazów artysty zorganizowała Galeria Grażyny Hase w 1980 roku. Później odbyła się wystawa w Hella Nebelung Gallerie w Düsseldorfie w 1983 roku. W 1998 roku miała miejsce wystawa w Morpheus Gallery w Los Angeles. Ostatnią wystawę zorganizował w 2022 roku Dom Aukcyjny Agra Art w Warszawie.

Ciekawostką dotyczącą naszego miasta jest również fakt, że artysta w 2010 roku namalował obraz, który pojawił się na plakatach i banerach z okazji 777-lecia Torunia. Jego projekt był również kiedyś wykorzystany na okładce świątecznego wydania „Nowości”, dla których wcześniej rysował jego ojciec. Malarz brał też udział w pierwszej edycji Toruńskiego Festiwalu Nauki i Sztuki, zorganizowanej w lutym 2001 roku. W jego ramach w Książnicy Kopernikańskiej odbył się wykład pt. „Jacek Yerka



Bibliotama supersize

i jego giclee”, połączony z prezentacją obrazów artysty. A w trakcie odsłonięcia Katarzynki malarza w 2008 roku, Dwór Artusa przyozdobiony był banerem stworzonym na bazie obrazu Yerki pt. „Lądowanie miasta”.

Moje pierwsze zetknięcie się z obrazami Jacka Yerki miało miejsce wiele lat temu. Było ono początkiem zainteresowania malarstwem, które z czasem przerodziło się w pasję. Od momentu, gdy zaczęłam zajmować się organizacją wystaw artystycznych, moim marzeniem stało się przygotowanie również wystawy Jacka Yerki w Jego rodzinnym mieście, na Jego Alma Mater – UMK – w roku jubileuszowym dla Uczelni. Założonym celem tego wydarzenia jest popularyzacja twórczości mistrza właśnie w Toruniu, ponieważ toruńczycy mają z kogo być dumni. A za sławą artysty pójdzie w świat sława Torunia i Uniwersytetu Mikołaja Kopernika.



Anna Walkowska — WNBiW UMK, kurator wystawy Jacka Yerki

„Wyśniony świat” Jacka Yerki

Z okazji obchodów 80. rocznicy powstania UMK, **18 stycznia 2025 roku o 18.00** w Galerii Dworzec Zachodni Akademickiego Centrum Kultury i Sztuki Od Nowa UMK w Toruniu odbędzie się wernisaż związanego z Toruniem i naszym Uniwersytetem artysty malarza Jacka Yerki. Ten ceniony i rozpoznawalny na całym świecie surrealista, swoje obrazy prezentuje niezwykle rzadko, dlatego jest to niepowtarzalna okazja zobaczyć jego dzieła.

Kurator wystawy Anna Walkowska, komentuje wydarzenie: *Udało nam się zgromadzić nie tylko*

obrazy mistrza, ale i oryginalne plakaty jego autorstwa z początków drogi artystycznej oraz szereg artefaktów związanych z artystą. To precedens na skalę światową.

Wystawa potrwa do 7 marca. Jacek Yerka zapowiedział swoją obecność w dniu wernisażu oraz **17 lutego 2025 r. o 16.30** na spotkaniu autorskim z okazji Święta Uniwersytetu. Po zakończeniu wydarzenia w Od Nowie, do **30 kwietnia 2025 r.** będzie można zobaczyć jeszcze powystawową prezentację giclee malarza w holu głównym na parterze w Bibliotece Uniwersyteckiej.



4 pory roku



Krótka historia cywilizacji

„Wyśniony świat – twórczość Jacka Yerki”

Miejsce: Akademickie Centrum Kultury i Sztuki OD NOWA, Galeria „Dworzec Zachodni”, UMK Toruń, ul. Gagarina 37a

Termin wystawy: 18.01.2025 r.–07.03.2025 r.

Data I wernisażu: 18.01.2025 r. godz. 18.00

Data II wernisażu (spotkania autorskiego) z okazji Święta Uniwersytetu

Organizatorzy: UMK w Toruniu, ACKiS OD NOWA, Agra Art Warszawa

Partnerzy: Biblioteka Uniwersytecka UMK w Toruniu, Muzeum Narodowe w Warszawie, Oddział MNW Muzeum Plakatu w Wilanowie

Współpraca: Muzeum Okręgowe w Toruniu

Patronat: JM Rektor UMK, Prezydent Miasta Torunia, Marszałek Województwa Kujawsko-Pomorskiego, Muzeum Narodowe w Warszawie

Film „Sezony” to komedia o miłości w trzech aktach z Łukaszem Simlatem oraz Agnieszką Dulębą-Kaszą w rolach głównych. Na ekranie śledzimy losy ekscentrycznego aktora z niewielkiego teatru, który musi zmierzyć się z nieoczekiwanym rozpadem swojego małżeństwa. Akcja toczy się podczas trzech spektakli, a życie prywatne bohaterów miesza się z rzeczywistością sceny. W filmie trudnym emocjom towarzyszy zaskakujący, inteligentny humor. Dodatkowym walorem filmu jest umiejscowienie akcji w Toruniu. Rozmowa z Michałem Grzybowskiem została przeprowadzona podczas spotkania autorskiego po seansie filmu w Kinie Studenckim „Niebieski Kocyc”, działającym przy ACKiS „Od Nowa” w Toruniu.



W każdym dramatycznym momencie jest odrobina humoru

Z Michałem Grzybowskiem, reżyserem i współscenarzystą filmu „Sezony”, rozmawia Kajetan Szmul

Fot. nadesłana

– Jesteśmy właśnie po seansie filmu „Sezony” w Kinie Studenckim „Niebieski Kocyc” i nadal żywe są nasze emocje po tej projekcji. Zaczniemy natomiast od kwestii fundamentalnych. Jak wpadłeś na pomysł stworzenia właśnie takiej historii – prostej, ale też niosącej za sobą konkretne przesłanie.

– Przynajmniej na początku szukaliśmy takiej prostej historii, która będzie się działa w jakimś ciekawym, według nas, środowisku. Dodatkowo, ja pracowałem w teatrze przez wiele lat [Michał Grzybowski jest nie tylko reżyserem i scenarzystą, ale również aktorem teatralnym i filmowym – przyp. red.] i mój

współscenarzysta również, więc uznaliśmy, że to będzie najlepszy kierunek, żeby skorzystać z tej wiedzy przy pracy nad scenariuszem. Wspólnie doszliśmy do wniosku, że historii o rozstaniu i o związkach jest już mnóstwo. Natomiast takiej historii, która dzieje się w teatrze, dodatkowo w trakcie trzech różnych spektakli, jeszcze w polskim kinie nie było. Pomyśleliśmy, że to może być dla widza interesujące.

– Twoi rodzice również byli aktorami. Podpatrywałeś, jak rozumiem, wszystkie te rzeczy, które dzieją się za kulisami. Zapewne dla ciebie oczywiste było to, jak wygląda praca aktora. Pewnie o wiele bar-

dziej niż dla osoby niewtajemniczonej w teatralne kuluary. To właśnie dlatego zdecydowałeś się oprzeć na tym aspekcie scenariusz najnowszego filmu?

– To prawda. Można powiedzieć, że ja wychowałem się w teatrze. Rzeczywiście to było dla mnie zupełnie normalne, kiedy byłem dzieckiem. Teraz, gdy sam mam dwie córki, które jakiś czas temu były jeszcze w przedszkolu, to dla nich to, że zarówno ja, jak i moja żona, pracowaliśmy w teatrze, jest wręcz oczywistością. Moje córki zapytały się mnie kiedyś, w jakim teatrze pracuje tata Janka, kolegi z ich grupy zajęciowej, bo przecież skoro my tam pracujemy, to normalne jest, że inni rodzice również (śmiech).

– Kiedy oglądałem Twój film po raz pierwszy, podczas tegorocznego, 49. Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni [film „Sezony” brał udział w konkursie „Perspektywy” – przyp. red.], sala była wypełniona po brzegi. Nasze toruńskie kino „Niebieski Kocyc” ma 300 miejsc, z kolei tam sala mieściła około 700 osób. Warto podkreślić entuzjastyczny, żywy odbiór tych wszystkich scen, które pozwalają na to, żeby się głośno zaśmiać. Ale chwilę po tym wybuchu śmiechu pojawiała się na sali głęboka cisza. Udało Ci się w tak dobry sposób manewrować emocjami w filmie. Czy trudno było

zbudować komedię, może nawet komediodramat, która swój humor opiera na sytuacyjnych żartach, podawanych jednak w inteligentny sposób?

– Dziękuję, że podkreśliłeś, iż w inteligentny sposób (śmiech). Wychodzę z założenia i uważam, że takie już jest życie, że w każdym dramatycznym momencie jest odrobina humoru i odwrotnie. Staraliśmy się więc łączyć te dwie rzeczy. Myślę sobie, że dużo bardziej wiarygodne stają się historie ludzi, którzy potrafią być śmieszni i dramatyczni jednocześnie.

– **Chciałbym jeszcze dopytać o konstrukcję scenariusza. Mamy w nim parę aktorów, którzy przenoszą swoje prywatne życie na grane przez siebie sztuki. Działa to też w drugą stronę i to sztuka wpływa na ich życie osobiste. Ta historia ma rację bytu w teatrze, który wydaje się być hermetycznym środowiskiem. W teatrze pracuje się bardziej, niż gdziekolwiek indziej, na emocjach. Czy rzeczywiście prawdopodobna jest sytuacja, w której znalazł się bohater grany przez Łukasza Simlata – on dowiaduje się ostatni o sytuacji, która go bezpośrednio dotyczy?**

– No ale, to tak właśnie jest..., to dzieje się w tym środowisku aktorskim, bo tam wszyscy o wszystkim



Kadr z filmu

Fot. Natalia Łączyńska

wiedzą. Myślę jednak, że to o wiele bardziej uniwersalna historia, sama sytuacja. Bardzo często jest tak, że w gronie przyjaciół wszyscy już o czymś wiedzą, tylko nie ta najbardziej zainteresowana osoba. I to nie dotyczy tylko i wyłącznie zdrady, samego związku, tylko różnych życiowych sytuacji. Dlatego wydaje mi się, że opowiedziana przez nas historia jest taka prawdziwa.

- Skoro już mówimy o tym, że jest to prawdziwe i wręcz rzeczywiste i miałyby szansę zdarzyć się w prawdziwym życiu, to czy zainspirowałeś się jakimiś realnymi osobami? Chociażby dyrektorem jakiegoś istniejącego teatru [w filmie w postać dyrektora teatru wcieli się aktor Andrzej Seweryn - przyp. red.]?

- Tak, każda postać w tym filmie jest zainspirowana kimś, kogo znam, ale niektórzy bohaterowie składają się z kilku innych postaci. Dyrektor Seweryn składa się przynajmniej z sześciu dyrektorów, jakich znam. Szukałem różnych znanych mi sytuacji, które i tak ostatecznie zostały podkreślone na potrzeby scenariusza. Gdyby jakiś aktor rozwalił spektakl, jak zrobił to Łukasz Simlat w scenie „Piotrusia Pana”, to myślę, że mogłoby się to źle dla niego skończyć. Chociaż w sumie, jest to mały teatr, gdzie on jest gwiazdą i ważnym elementem zespołu, więc pewne rzeczy mu się wybacza...

- Długo starałem się znaleźć jakiś klucz kategoryzacyjny dla tego filmu, przemyślałem, o czym jest on tak naprawdę i dochodzę do wniosku, że przede wszystkim to produkcja o pogodzeniu się z pewnymi rzeczami, które muszą się wydarzyć, mają miejsce w naszym życiu. I gdyby nie wymowna, ostatnia scena rozmowy między postaciami granymi przez Łukasza Simlata i Agnieszkę Dulębę-Kaszę, w której wychodzą z przestrzeni teatru i spacerują uliczkami Torunia, wydzwięk całości byłby zupełnie inny. Ta scena sprawia, że pojawia się w jakimś sensie „światło w tunelu”, szansa na stworzenie relacji po rozwodzie, na zupełnie nowych już zasadach. Inna, równie poruszająca scena, to rozmowa ojca z synem, kiedy Andrzej Grabowski przyznaje, że nie jest w stanie odejść na emeryturę i przekłada to z sezonu na sezon...

- Myślę, że gdyby to był szpital, czy dajmy na to kancelaria adwokacka, to można byłoby znaleźć podobne sytuacje. Teatr jest tu tylko metaforą i słu-

ży do opowiedzenia tej historii. Każdy z nas chce być potrzebny. Każdy nie chce odchodzić. Myślę, że wielu ludzi jest tak bardzo związanych ze swoją pracą, niezależnie jaka by ona nie była, że przejście na emeryturę jest dla nich jakimś końcem. Nie widzą siebie poza tą pracą, jest to dla ludzi trudny moment. Pomimo, że pewnie wielu marzy o tym, żeby przejść na emeryturę, ale może okazać się, że to nie jest takie proste. A jeśli chodzi o związek... Ukazała się recenzja, w której było napisane, że „związek nie musi trwać tak jak spektakl – do końca”, jest w tym coś ładnego. Uświadomiliśmy sobie, że ten film przez niektórych nie jest odbierany jako taki, który posiada *happy end*. Ja im oczywiście daję zielone światło, ale dla niektórych widzów ta rozmowa, to jest właśnie ich pożegnanie. To fajne, że niektórzy odbierają to w taki sposób.

- Skoro tak mówisz, to może dajesz też zielone światło do stworzenia kontynuacji tej produkcji? Powstaną „Sezony 2”?

- My mamy jakiś pomysł na to, ale jeszcze nie wiem. Pewnie byłaby to zupełnie inna historia, ale tego nie wykluczam.

- Mam nadzieję, że wówczas też akcja działałaby się w Toruniu. Lokalizacja to kolejny wątek, do którego wręcz muszę nawiązać. W jaki sposób nasze miasto pojawiało się w Twojej głowie, jako potencjalnie wartościowe do umiejscowienia filmu właśnie w nim?

- Najpierw szukaliśmy teatru i oglądaliśmy różne teatry w Polsce. Wiedzieliśmy od początku, że Toruń ma po prostu piękny teatr. Taki klasyczny, a nie ma już takich teatrów zbyt wiele. Oczywiście, że najłatwiej byłoby ten film kręcić w Warszawie, bo przewożenie sześćdziesięciu osób, całej ekipy, z miasta, gdzie ta produkcja działa codziennie, jest dużo droższe. No, ale w Warszawie nie ma takiego teatru. Jest co prawda Teatr Polski, ale jest on tak duży, że w nim można byłoby nakręcić film o operze, a nie o małym teatrze. Horzyca „wygrał” casting, ale też na to miało wpływ samo miasto i to, jak nas tutaj przyjęto.

- To czym najbardziej ujęło cię to miasto?

- Tutaj po prostu mieliśmy wrażenie, że nie tylko urzędnicy, ale też ludzie zajmujący się kulturą w mieście, myślą w kategoriach promowania regionu

i miasta oraz zaprzyjaźniania się z ludźmi, którzy chcą tutaj coś zrobić, a nie jak z kimś, z kim jest się zmuszonym przez pół roku rozmawiać, tak jak to często bywa w urzędach. Ja sam doświadczyłem tego, bo wcześniej już byliśmy w kilku innych miejscach. Mieliśmy na oku kilka różnych teatrów. Oglądaliśmy chociażby teatr w Cieszynie – to jest ten sam architekt co tutaj. Właściwie ich teatr jest taki sam, bardzo podobnie wygląda. Może tamten jest nieco bardziej zaniedbany. Chyba różni je jedynie to, że Horzyca był po remoncie, ale ten remont i tak przebiegł w taki sposób, że nie zmienił tego wnętrza w bank. A, co często się dzieje z tego typu budynkami. Został zachowany klimat teatru.

- Zaryzykuję jednak stwierdzenie, że Toruń jest o tyle wyjątkowy, że nigdzie indziej nie znajdziesz tak pysznych pierników i to w dodatku dostępnych na każdym kroku oraz wody „Krystynki”, o której niejednokrotnie wspominasz w wywiadach. Zapamiętałeś jakieś ciekawe anegdoty z planu?

- Oczywiście, pierniki i woda z Ciechocinka, którą na pewno zapamiętam z planu. Nie działało się w sumie nic takiego. Nic z tych rzeczy, które pokazałyśmy w filmie. Nikt nie wpadł do dziury, ani nie przyszedł na plan nietrzeźwy (śmiech). Był to spokojny plan. Wszystko przebiegało sprawnie.

- Wracając do filmu, akcja dzieje się praktycznie w całości na deskach teatralnych. Dlaczego wybrałaś te konkretne sztuki teatralne, które stanowią kanwę dla całej opowieści? Mamy więc kolejno: „Piotrusia Pana”, „Dom Lalki” Ibsena oraz „Sen nocy letniej” Szekspira.

- To są dwa tematy, które są w tym przypadku istotne. Te sztuki bardzo dobrze korespondują z tym, co się z nimi dzieje w filmie. Natomiast drugim bardzo ważnym elementem jest to, że szukaliśmy sztuk, które będą znane widzom. Mogliśmy wrzucić w ich miejsce sztuki, które byłyby nikomu nie znane i wtedy pewnie nikt by na ten film nie przyszedł. Takie mam wrażenie. Sztuk teatralnych jest masa, ale jednak one muszą być takie, żeby widzowie wiedzieli, z czym one korespondują, a jednak ten „Piotruś Pan” i „Sen nocy letniej”, to takie teatralne podstawy. Ibsen jest może teraz mniej modny, ale był czas taki, że był grany. „Dom lalki” był wtedy grany właściwie w każdym teatrze. Robienie filmu w teatrze jest trudne ze względu na to, że później nikt nie chce tego

filmu dystrybuować, bo „hermetyczne środowisko”, „nikogo to nie będzie interesowało”. Dlatego też szukaliśmy tekstów, które będą powszechnie znane. Dodatkowo Piotruś Pan jest przecież symbolem niedojrzałości, w Ibsenie mamy scenę rozstania i cała sztuka jest o kobiecie, która dojrzewa do tego, żeby odejść. Z kolei „Sen nocy letniej” jest takim romantyczną historią o pogodzeniu. Wszystkie trzy sztuki korespondują z historią bohaterów filmu i to jest najważniejsze, ale myśleliśmy też o widzu. Myśleliśmy o różnych innych tekstach. W pewnym momencie układ był zupełnie inny. Przez jakiś czas były np. trzy dramaty. Przez chwilę braliśmy pod uwagę „Hamleta”, ale to już dawno temu.

- Czy na etapie tworzenia scenariusza miałeś już w głowie konkretnych aktorów, którzy pojawiali się w filmie?

- Było tak z częścią aktorów, ale nie ze wszystkimi. Na przykład Andrzej Seweryn pojawił się w drugiej fazie produkcji, kiedy scenariusz był już gotowy. Początkowo myśleliśmy o młodszym aktorze w tej roli, ale uznaliśmy, że skoro już Seweryn jest dyrektorem dużego teatru w Warszawie, to na pewno z chęcią zagrałby dyrektora małego teatru w Toruniu (śmiech). O Łukasz Simlacie myśleliśmy już w trakcie pisania scenariusza, ale do zupełnie innej roli. Ostatecznie ta rola wypadła. Trzeci akt nie działał się w trakcie „Snu nocy letniej”, tylko w trakcie współczesnego, amerykańskiego dramatu. Tam była właśnie ta postać, ale kiedy zupełnie zmieniliśmy ten trzeci akt, to pojawił się Łukasz w głównej roli. W Polsce jest tak, że dobrych aktorów grających w filmach nie jest wielu. Jest ten rynek dość mały, co oczywiście jest często smutne, bo fajnie byłoby zobaczyć różne twarze w filmach. Tutaj mamy tak, że pojawia się kilku aktorów zupełnie nieznanymi. Ja doceniam kolegów z branży, którzy obsadzają mniej znanych aktorów, żeby trochę rozszerzyć ten rynek. Natomiast, aktorzy mają często tak zajęte terminy, że można sobie zrobić obsadę, a później dostaje się zupełnie coś innego. Bardzo lubię taką historię o aktorach właśnie. Aktor, gdy chce zagrać w filmie: ma zawsze czas, świetnie jeździ konno, zna wszystkie języki, śpiewa, recytuje, pływa... Ogólnie rzecz biorąc, robi wszystko. Później, gdy już dostaje rolę, okazuje się, że nigdy nie siedział na koniu, co prawda trochę jeździ na nartach, ale nie ma czasu (śmiech). Czasami już się z kimś człowiekiem dogada, ale potem okazuje się, że te terminy w ogóle mu nie pasują.



Kadr z filmu

Fot. Natalia Łączyńska

Dlatego pisząc tekst, najlepiej o nikim nie myśleć, bo to ostatecznie może się jeszcze tyle razy zmienić, że nie warto.

– Jak się czujesz po zrobieniu tego filmu?

– Ja chciałem robić filmy od czternastego roku życia. Mam taką potrzebę opowiadania historii. Lubię też opowiadać żarty i lubię, kiedy ludzie się z nich śmieją. Chociaż mam specyficzne poczucie humoru i nie wszystkich to śmieszy, no ale w sumie jak nie wszystkich to śmieszy, to mnie wtedy korci, żeby jeszcze więcej ich opowiadać. Tak samo mam ze wzruszeniem, kiedy udaje mi się kogoś wzruszyć, to mam dużą satysfakcję. Jest to jakaś taka chęć opowiadania historii, które mam w głowie i wydaje mi się, że wypływają one z mojego serca. Nie ma tutaj przemyślanych, cynicznych zagrań, nie myślę o tym, żeby zarobić kasę i być bogatym reżyserem (śmiech). Robienie takich filmów powoduje, że nie zarabiam dużo pieniędzy. W Polsce co innego się sprzedaje. Natomiast robienie filmu trwało w tym przypadku pięć lat – z pisaniem scenariusza, szukaniem finansowania, zdjęciami, montażem, dźwiękiem, później szukaniem dystrybutora. I to jest tak, że oczekiwania są wówczas ogromne. A prawda jest jednak taka, że nikt nie czeka na ten film. Nikogo ten film nie interesuje. To jest chwila. Przychodźcie na ten film, bo

ktos wam o nim powie. Super, jak jutro będziecie jeszcze gadać o tym filmie. To wtedy jest już sukces. Film to półtorej godziny, może dwie. A dla mnie to pięć lat życia. I ja nie mam pretensji, bo tak po prostu jest. Ja jestem teraz po premierze, po festiwalu w Gdyni, który był we wrześniu. I jestem tak zmęczony, że mam takie myśli, że już nie chcę więcej robić filmów. Wiem, że to jest tylko chwila i niedługo będę miał nowy pomysł i będę chciał dalej coś robić, ale to jest duży rollercoaster emocjonalny. Często spotykam kogoś kto mi mówi: „kurde, zazdroścę ci, masz taki ciekawy zawód”. A ja myślę sobie: „Jak ja bym chciał tak chociaż rok popracować na stacji benzynowej, albo sprzedawać frytki i czuć zapach kartofli” (śmiech). Marzy się o jakimś takim stereotypowym zajęciu, gdy się go nie ma. Więc jeśli zapytasz, co mi zrobiła, praca nad filmem, to tak super dobrze, a potem super źle. I potem znowu będzie super dobrze, żeby później było super źle (śmiech). Śmieję się trochę z tego, ale właśnie tak to wygląda. No więc – samo życie.

– Mam nadzieję, że przed Tobą same pozytywne emocje związane z tym filmem oraz kolejnymi projektami. Tego Ci właśnie życzę. Dziękuję za rozmowę.

– Ja również dziękuję.

Miłosz Michalski

24 JAZZ Od Nowa Festival

Stali bywalcy toruńskiego festiwalu jazzowego, przyzwyczajeni do muzycznej różnorodności oferty programowej wydarzenia, z pewnością nie zawiedli się również ostatnią jego edycją.

Cztery październikowe wieczory (16–19 października, Akademickie Centrum Kultury i Sztuki Od Nowa) wypełnione były doskonałą muzyką o spektrum stylów rozciągającym się od klasyki i mainstreamu, przez nawiązujące do nich awangardowe brzmienia, aż po jazz-rockowe i elektroniczne projekty oraz graniczne eksperymenty muzyki improwizowanej. Sala amfiteatralna Od Nowy wypełniła się do ostatniego miejsca.

„Zgodnie z pewnym krakowskim zwyczajem zaczniemy od Bacha...” – zapowiedział swój występ **Andrzej Jagodziński**, otwierając pierwszy festiwalowy wieczór. Jego trio występujące i nagrywające w niezmiennym składzie od ponad 30 lat (A.J. – fortepian, Adam Cegielski – kontrabas i Czesław „Mały” Bartkowski – perkusja) buduje konsekwent-

nie swój indywidualny i rozpoznawalny styl, najszerzej znany z pełnych błyskotliwości i muzycznej erudycji jazzowych interpretacji twórczości Fryderyka Chopina i Jana Sebastiana Bacha. Wydana w 1993 r. pierwsza płyta tria pt. „Chopin” w krótkim czasie zyskała międzynarodową renomę, zdobywając przy tym wszystkie ważniejsze nagrody fonograficzne w kraju. To unikatowe odczytanie twórczości Chopina rozwijało się w kolejnych latach, owocując nagraniami, coraz śmieiej łączącymi klasyczny materiał ze swobodną jazzową, pełną wirtuozerii improwizacją. „Dzisiaj, po piętnastu latach wspólnej pracy i wobec akceptacji słuchaczy, nie boimy się ryzyka. Pomysł się sprawdził, utwory okrzepły, niektóre aranżacje zostały wzbogacone i wiemy już, że można je grać jak standardy jazzowe, bez zahamowań i bez obawy, że ktoś nas posądzi o burzenie pomników” – napisał Andrzej Jagodziński w książeczce dołączonej do wydanej w 2010 r. płyty „Chopin les brillantes”.

Nieco później przyszedł czas na muzykę Bacha, po którą przecież świat jazzu sięgał już co naj-



Andrzej Jagodziński Trio, JAZZ



Anna Maria Jopek i Piotr Wojtasik Quintet

mniej od półwiecza, by wspomnieć choćby nagrania Modern Jazz Quartet czy tria Jacquesa Loussiera. Jednak gdy tam oryginalne tematy bachowskie stawały się po prostu kanwą jazzowych interpretacji, Andrzej Jagodziński idzie w swym bachowskim projekcie znacznie dalej, rozwijając kunsztowną technikę polifonicznej improwizacji. To tak, jakby lewą i prawą rękę pianisty improwizującego zgodnie z bachowskim rygiem fugi rozdzielić między kontrabas i fortepian, oplatając to łagodnie swingującą perkusją („czwórki” Bartkowskiego są tu mistrzowskie!). Toruński występ tria zawierał między innymi bachowskie Preludium C-dur i Partitę C-moll, Preludium E-moll Chopina, a także kilka kompozycji Jagodzińskiego i zinterpretowany jakby *au rebours* – na modłę klasyczną – utwór Krzysztofa Komedy „Svan-tetic”.

W kontraście do klasycznej inauguracji, druga odsłona wieczoru należała do eksperymentatorskiej, zdobywającej coraz większą popularność wrocławskiej formacji **Błoto**. W rzeczywistości muzycy Błota znani są bardzo dobrze toruńskiej publiczności z wcześniejszego występu w 2021 r. jako grupa EABS (Electro-Acoustic Beat Sessions), a jej leader – Marek Pędziwiatr towarzyszył Michałowi Urba-

niakowi, grając na klawiszach jeszcze wcześniej, podczas JONF w 2017 r. Oprócz Pędziwiatra Błoto tworzą Paweł Stachowiak na basie, Olaf Węgier na saksofonie tenorowym i Marcin Rak na bębnach. Dodajmy, że w składzie EABS, oprócz wymienionych, gra także trębacz Jakub Kurek.

Muzyka Błota, podobnie do EABS, zakorzeniona jest w klubowych, house’owych, agresywnie hip-hopowych brzmieniach z mocno wyakcentowanymi basem i perkusją. O ile jednak EABS w bardziej oczywisty sposób należy do świata jazzu, z wyraźnie zarysowanymi kompozycjami i tematami, w których improwizacja pełni pomocniczą rolę, to Błoto porusza się głównie w świecie eksperymentu i czystej improwizacji. Twórczość obydwu formacji jest osobistym komentarzem muzyków do otaczającej nas coraz bardziej niepewnej i nieprzewidywalnej rzeczywistości, do czasów niekorzystnych zmian klimatycznych, wyraźnych podziałów społecznych i politycznych.

Dotychczasowa dyskografia Błota obejmuje 3 płyty: „Erozje”, „Kwiatostan” oraz „Kwasy i Zasady”. Toruński występ promował nowy – bo dosłownie spod igły – krążek pt. „Grzybnia”. Grzybnia jako metafora przetrwania i podskórnej komunikacji,



Od lewej Jerzy Małek i Andy Middleton

z emanacjami w postaci pożytecznych lub „jadalnych” jak i złych – „trujących” form. Grzyboznawczy charakter mają też tytuły utworów prezentowanych podczas koncertu: „Kozak”, „Boczniak”, „Prawdziwek” czy „Szatan”. Niektóre z nich przywodzą skojarzenia z muzyką EABS zarejestrowaną na płycie „Discipline of Sun Ra” z 2020 r. Być może zdradza to trwałą fascynację grupy twórczością jednej z najważniejszych postaci chicagowskiej sceny awangardowej lat 1950.

Dzień drugi rozpoczął występ Øyvinda Mathisena, młodego norweskiego trębacza obecnego na skandynawskiej scenie jazzowej od kilku lat. Klasyczne jazzowe wykształcenie zdobyte w akademii w Trondheim pozostawiło w nim zauważalny szacunek do tradycji, niepozbawiony jednak zacięcia eksperymentatorskiego. Grając wcześniej w formacjach ØyvindLAND i Get Your Goat eksplorował nietypowe brzmienia klasycznego jazzowego kwartetu bez perkusji. W Od Nowie wystąpił z działającym od roku Øyvind Mathisen Trio, z Erlendem Olderskog Albertsenem na basie i Partycją Wybrańczyk na bębnach. Tu – idąc podobnym tropem – klasyczny skład pozbawiono fortepianu. Muzyka tria jest bardzo skandynawska, przywołuje z pamięci zimne i melancholijne północne pejzaże pojawiające się na

okładkach płyt Jana Garbarka. Kanwą utworów jest zaskakujący brzmieniowo dialog, który prowadzi trąbka Mathisena ze smyczkowymi partiami kontrabas, dyskretnie otaczany łagodnymi partiami perkusji, niekiedy ustępując miejsca jej rozwiniętym partiom solowym. Patrycja Wybrańczyk prezentuje tu świetnie zniuansowany styl gry perkusyjnej, skupiony na barwie dźwięku, niekoniecznie zaś na dynamice. W Od Nowie pojawiła się już wcześniej, podczas doskonałego występu krakowskiego O.N.E. Quintet w 2021 r.

Kontynuacją wieczoru był koncert polsko-amerykańskiej formacji **Jerzy Małek IQ Project** w składzie: Jerzy Małek (trąbka), Andy Middleton (tenor i sopran), Danny Grissett (fortepian), Doug Weiss (kontrabas) i Alan Jones (perkusja). Jerzy Małek jest niezwykle aktywnym muzykiem, znanym ze współpracy z wieloma krajowymi instrumentalistami, m.in. z Marcinem Wasilewskim, Maciejem Sikałą, Zbigniewem Namysłowskim, a także z Michałem Urbanikiem. W skali międzynarodowej warto odnotować jego zawodowe kontakty z basistami Arildem Andersenem i Stevem Loganem, z perkusistą Erickiem Allenem, a także z amerykańską formacją The Yellowjackets. Oprócz sporej aktywności koncertowej Małek jest także autorem muzyki filmowej i teatralnej,

pracując jednocześnie jako wykładowca akademicki w gdańskiej Akademii Muzycznej oraz w Uniwersytecie Muzycznym Fryderyka Chopina w Warszawie. Grający w IQ Project saksofonista Andy Middleton ma na swoim koncie współpracę z Davem Hollandem, Ralphem Townerem i Marią Lynn Schneider. Prezentował się w Od Nowie rok temu z zespołem Brothers in Jazz Grzegorza Daronia.

Muzyka IQ Project (skrót zdekodowano jako International Quintet) nawiązuje do tradycji modernistycznego jazzu, pozostając pod czytelnym wpływem takich twórców jak Miles Davis, John Coltrane, Wayne Shorter czy Herbie Hancock. Świetny warsztat wykonawczy i ambitny autorski program zbudowany z kompozycji Małka, dopełniony porywającymi improwizacjami, a więc jazz w najlepszym wydaniu, sytuują ten występ jako najważniejsze artystycznie wydarzenie festiwalu.

Program trzeciego dnia JONF przyniósł całkowitą odmianę charakteru prezentowanej wcześniej muzyki. Wieczór rozpoczął recital specjalizującego się w muzycznych przekroczeniach duetu **Piotr „Pianohooligan” Orzechowski** (fortepian) / **Kuba Więcek** (saksofon altowy). Jazz w ich dokonaniach twórczych staje się w zasadzie zaledwie punktem odniesienia, materia dźwiękowa traktowana jest totalnie, zostawiając na marginesie kanony jazzowego fortepianu i saksofonu, w zamian eksplorując zupełnie odmienne kierunki narracji muzycznej, intuicyjne poszukiwanie współbrzmień, rytmu i linii melodycznej.

W programie występu usłyszeliśmy utwory z najnowszej płyty duetu „Themes of Dracula” będącą autorską reinterpretacją muzyki Wojciecha Kilara do głośnego filmu Francisa Forda Coppoli. Sami muzycy tak opisują swoją współpracę nad muzyką Kilara.

Orzechowski: „Od początku mieliśmy dwie skłonności: albo wspólna impulsywność, albo wspólne konstruowanie. Tutaj, opierając się na tych motywach Kilara, one pierwszy raz się spotkały, więc to chyba nasz pierwszy utwór – rodzaj suity”.

Więcek: „Przez ostatnie pięć lat wspólnego grania z Piotrem wykształciliśmy nasz własny sposób muzycznego porozumiewania się. Muzyka Wojciecha Kilara przyjęła nasz dźwiękowy język bardzo serdecznie, jednocześnie dając nam niekończące się pokłady nowej inspiracji za każdym razem, kiedy gramy ten materiał”.

Płyta „Themes of Dracula” ukazała się nakładem specjalizującego się w polskiej muzyce współ-

czesnej, elitarnego wydawnictwa ANAKLISIS, w ramach serii „Revisions (Eksperymenty, przekroczenia, przewroty)”.

Drugi występ tego wieczoru, pozostając w sferze raczej odległej od jazzowej ortodoksji, przyniósł zupełnie odmienne klimaty muzyczne, scena należała bowiem do trójmiejskiego **Kwintetu Tomasz Chyły** z grającym gościnnie na tenorze **Kebbi Williamsem** z USA. Chyła jest dziś jednym z czołowych polskich skrzypków jazzowych, nieco młodszym od Adama Bałdycha, z kilkoma nominacjami do nagrody „Fryderyka” na koncercie i z docenianym dorobkiem fonograficznym. Większą część wieczoru wypełniły utwory z ostatniego albumu „Music we like to dance to” z 2024 r. Album ten zdobył tytuł płyty roku w niedawnej ankiecie „Jazz Forum”.

Laureat „Grammy” Kebbi Williams pochodzi z Atlanty, z rodziny o solidnych muzycznych tradycjach i uznawany jest za wszechstronnego i imponująco dynamicznego improwizatora. Jego muzyczne dokonania nie mieszczą się w jakiegokolwiek kategoryzacji, obejmując jazz awangardowy, hip-hop, Afro-beat, muzykę elektroniczną, gospel, rock oraz blues (od wielu lat koncertuje między innymi z bluesową formacją Tedeschi-Truck Band).

Niezwykle żywiołowa muzyka kwintetu Tomasz Chyły przywodzi na myśl rozmaite klasyczne i bardziej współczesne jazz-rockowe skojarzenia, od „elektrycznej” twórczości Milesa Davisa z lat 70., przez Mahavishnu Orchestra, po post-Crimsonowskie kreacje Roberta Frippa albo pełne wibracji kompozycje Mike’a Sterna. W wywiadzie dla „Jazz Forum” Chyła przywołuje niektóre ze swoich muzycznych inspiracji, w tym właśnie Milesowskie „Live at Fillmore West”, a także Rage Against the Machine, wczesną fascynację Miłością i trójmiejską sceną yassową, w świecie wiolinistyki zaś New Trio Mateusza Smoczyńskiego.

Finałowe wieczory festiwalu, jak zwykle odbywające się w Auli UMK i adresowane do nieco szerszej publiczności, co roku uświetniają swoimi występami artyści o ugruntowanej, eksponowanej pozycji na polskiej i międzynarodowej scenie jazzowej. W kilku ostatnich latach grali tu między innymi Michał Urbaniak, Urszula Dudziak, Leszek Możdżer, Terrence Blanchard, a także nieodżałowani Tomasz Stańko i Zbigniew Namysłowski. 24 JONF uświetnił w tym roku występ kwintetu **Piotra Wojtasika** ze specjalnym gościem – **Anną Marią Jopek**. Kunszt wykonawczy Anny Marii Jopek nie wymaga chyba komentarza, zwróćmy uwagę jedynie na jej wszech-

stronną muzyczną osobowość, której emanacjami były pełne sukcesów okresy współpracy z artystami takimi jak Pat Metheny, Bobby McFerrin, Youssou N'Dour, Branford Marsalis, Janusz Olejniczak, lecz także Marek Grechuta czy Jeremi Przybora. Warto wspomnieć również jej wspólny występ ze Stingiem na toruńskich Jordankach w 2016 r.

Kwintet Piotra Wojtasika jest bardzo dobrze znany publiczności Od Nowy, grał tu bowiem podczas JONF'2021, a sam leader wystąpił również w 2023 r., towarzysząc na trąbce Organatorowi Michała Urbaniaka. W jego składzie grają Marcin Kaletka na saksofonach tenorowym i sopranowym, Michał Tokaj na fortepianie, Michał Barański na kontrabasie i Łukasz Żyta na bębnach. Program wieczoru zawierał kompozycje Piotra Wojtasika z albumu „To whom it may concern” wzbogacone o wokalizy Anny Marii Jopek oraz świetnie wykonany utwór Ornette Colemana „Lonley woman”. Pojawiły się też nastrojowe ballady z repertuaru Zbigniewa Wodeckiego „Zaczynj od Bacha” i „Rzuć to wszystko, co złe” oraz polski standard folkowy „Bandoska” znany także jako „Zachodzące słońce”, to wszystko

w bardzo jazzowych aranżacjach z rozbudowanymi partiami solowymi.

Dla najbardziej wytrwałych słuchaczy przewidziany był kończący cały festiwal występ kwartetu **Adama Czerwińskiego** na małej scenie w Od Nowy, anonsowany jako „nocne jazz session”.

JAZZ Od Nowa Festival jest od lat stałym punktem toruńskiego kalendarza kulturalnego, dodajmy jednak – kalendarza poza tym niespecjalnie łaskawego dla lokalnych fanów jazzu. Jest przy tym unikatowym w skali kraju wydarzeniem jazzowym usytuowanym organizacyjnie w środowisku akademickim, nie licząc oczywiście mniejszej skali propozycji koncertowych uczelni stricte muzycznych. Jest unikatowy także ze względu na swoje szerokie założenia programowe. Z niecierpliwością czekamy więc na kolejne jego edycje.

Dr Miłosz Michalski – Wydział Fizyki, Astronomii i Informatyki Stosowanej UMK

Zdjęcia: Tomasz Dorawa



Tomasz Chyła Quintet i Kebbi Williams

Bożena Kierzkowska, Artur Wójtowicz

Historia Collegium Medicum UMK 2004-2023

Zbliżając się do końca naszej serii artykułów, opisujemy obecnie część wcześniej pominiętą. Mowa oczywiście o Collegium Medicum w Bydgoszczy.

Historia Collegium Medicum UMK nie zaczyna się w 2004 r. Korzenie tej uczelni sięgają roku 1975, kiedy to utworzono bydgoską Filię Akademii Medycznej w Gdańsku. Już 4 lata później otwarto Zamiejskowy Wydział Lekarski gdańskiej AM. Intensywny rozwój kadry i infrastruktury oraz przyjęcie nowego planu studiów spowodowało, że w 1984 r. na jego bazie utworzono Akademię Medyczną w Bydgoszczy, która w 1989 r. otrzymała imię Ludwika Rydygiera. Akademia Medyczna w Bydgoszczy, zgodnie z treścią zarządzenia Ministra Zdrowia i Opieki Społecznej z 8 grudnia 1984 r., rozpoczęła działalność z dwoma Wydziałami – Lekarskim i Farmaceutycznym (do organizacji tego drugiego przystąpiono dopiero w 1987 r.). Akademia przejęła dwa bydgoskie szpitale – kliniczny im. A. Jurasza i wojewódzki im. J. Bizuela, które do dziś stanowią bazę dydaktyczną i badawczą Collegium Medicum.

Działania rozwojowe w zakresie kadr naukowych i dydaktycznych oraz rozrost bazy lokalowej i polepszenie warunków do kształcenia studentów spowodowało, że w 1996 r. przystąpiono do organizacji Wydziału Pielęgniarskiego, który powołano w 1997 r. (przekształcony finalnie w 2002 r. w Wydział Nauk o Zdrowiu). Dziewiętnaście lat po utworzeniu Senat Akademii Medycznej w Bydgosz-

czy na posiedzeniu 14 października 2003 r. przyjął uchwałę o wyrażeniu woli połączenia uczelni z Uniwersytetem Mikołaja Kopernika w Toruniu, Senat UMK zaś na posiedzeniu 28 października potwierdził tę wolę ze swojej strony. Jednym z warunków fuzji uczelni było zachowanie odrębności Akademii Medycznej z własnym patronem i siedzibą w Bydgoszczy. Po przejściu odpowiedniej ścieżki legislacyjnej, Sejm RP uchwalił *Ustawę z dnia 8 października 2004 r. o włączeniu Akademii Medycznej im. Ludwika Rydygiera w Bydgoszczy do Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu*. Na jej mocy 24 listopada 2004 r. bydgoską Akademię Medyczną włączono do UMK i utworzono z niej **Collegium Medicum im. Ludwika Rydygiera w Bydgoszczy**. Dotychczasowy rektor tej uczelni stał się prorektorem UMK ds. Collegium Medicum, a dziekani wydziałów stali się dziekanami wydziałów UMK. Wydziały – Farmaceutyczny, Lekarski i Nauk o Zdrowiu, należące do bydgoskiego Collegium Medicum, stanowią integralną część Uniwersytetu Mikołaja Kopernika, lecz jednocześnie zapewniono im autonomię, która przejawia się m.in. w polityce kadrowo-płacowej.

Zmiana Akademii Medycznej w Collegium Medicum nie zatrzymała rozwoju tej części Uniwersytetu, w tym prowadzonych inwestycji. 26 stycznia 2006 r. wmurowano akt erekcyjny pod budowę obiektu Wydziału Farmaceutycznego, który uroczystie otwarto 17 października tego roku.



Budynek dydaktyczno-administracyjny Collegium Medicum UMK (gmach dawnego Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Bydgoszczy)



Uroczystość powstania Collegium Medicum UMK, 2004 r.



Budynek Wydziału Farmaceutycznego Collegium Medicum UMK

Od 2009 r. zaczęto rozbudowę Szpitala Uniwersyteckiego nr 1 im. Antoniego Jurasza w ramach *Wieloletniego Programu Medycznego Rozbudowy i Przebudowy Szpitala Uniwersyteckiego nr 1 w Bydgoszczy*.

W wyniku tej inwestycji, o wartości 160 mln zł, unowocześniono i powiększono bazę dydaktyczno-szpitalną o zespół sal operacyjnych i OIOM, sterylizatornię oraz SOR. Nowo wybudowany kompleks budynków składa się z czterech połączonych ze sobą segmentów, z których dwa mają po trzy kondygnacje i dwa – po dwie kondygnacje. Ich łączna powierzchnia wynosi prawie 10 tys. m². W kompleksie znajdują się sale z 236 łózkami dla pacjentów. Z ini-



Szpital Uniwersytecki nr 1 im. A. Jurasza w Bydgoszczy

cjatywy prof. Aleksandra Araszkiwicza przy ul. Marii Skłodowskiej-Curie powstał także nowy budynek dla Uniwersyteckiego Centrum Klinicznego Collegium Medicum. W ukończonym obiekcie znalazły siedzibę: Katedra i Klinika Psychiatrii, Katedra i Klinika Geriatrii, Klinika Dermatologii, Chorób Przenoszonych Drogą Płciową i Immunodermatologii oraz Katedra Medycyny Paliatywnej. 15 października 2015 r. Prezydent RP Andrzej Duda otworzył nowy kompleks budynków Szpitala Uniwersyteckiego nr 1 w Bydgoszczy.

W tym samym czasie remontowano i adaptowano również inne obiekty przekazane przez miasto Bydgoszcz, m.in. budynki przy ul. Świętojańskiej i Sandomierskiej. W 2014 r. oddano do użytku siedzibę Centrum Kształcenia w Języku Angielskim oraz Dom Studencki nr 3, oba obiekty zlokalizowane w kampusie przy al. Powstańców Wielkopolskich. 16 września 2015 r. Collegium Medicum UMK otrzymało nowy budynek dydaktyczny przy ul. Łukasiewicza 1. Osiągnięciem uczelni było także uruchomienie pierwszego w północnej Polsce ośrodka przeszczepu szpiku kostnego w Katedrze i Klinice Pediatrii, Hematologii i Onkologii. Collegium Medicum uczestniczy w pracach mających na celu utworzenie Regionalnego Centrum Telemedycyny mieszczącego się w Szpitalu Uniwersyteckim nr 1 w Bydgoszczy.

Po zmianie lokalizacji Kliniki Psychiatrii, w budynku dydaktycznym przy ul. Kurpińskiego w ramach programu „Nauczanie symulacyjne drogą rozwoju dydaktyki medycznej w Collegium Medicum Uniwersytetu Mikołaja Kopernika”, w 2016 r. uruchomiono Centrum Symulacji Medycznych. W październiku 2018 r. ogłoszono konkurs architektoniczny na realizację koncepcji architektoniczno-urbanistycznej rozbudowy bazy naukowo-dydaktycznej na terenach uniwersyteckich znajdujących się między ulicami Jurasza, Kard. Wyszyńskiego, Curie-Skłodowskiej i Powstańców Wielkopolskich. Konkurs rozstrzygnięto w lipcu 2019 r., nie przyznając I nagrody.

Liczne inwestycje realizowane w Collegium Medicum nie ominęły także Szpitala Uniwersyteckiego nr 2 im. dr. Jana Biziela w Bydgoszczy. Placówka przystąpiła do projektu: „Przebudowa i rozbudowa Szpitalnego Oddziału Ratunkowego w Szpitalu Uniwersyteckim nr 2 im. dr. Jana Biziela w Bydgoszczy”, realizowanego w latach 2016–2018. Głównym celem programu była przebudowa SOR-u wraz ze zwiększeniem jego powierzchni. Dodatkowo,

w 2017 r. Rada Ministrów ustanowiła *Wieloletni Program Medyczny – rozbudowa i modernizacja Szpitala Uniwersyteckiego nr 2 im. J. Bizuela w Bydgoszczy*. W latach 2018–2024 w trzech etapach postanowiono, za kwotę ponad 376 mln zł, rozbudować i zmodernizować już istniejące jednostki szpitala w ramach aktualnego stanu posiadania. W kwietniu 2021 r. rektor UMK prof. Andrzej Sokala podpisał umowę na budowę nowego, 5-kondygnacyjnego budynku szpitala wraz z lądowiskiem na dachu dla śmigłowców Lotniczego Pogotowia Ratunkowego. Gmach o powierzchni ponad 18 tys. m² miał być gotowy do końca grudnia 2023 r.

W latach 2022–2023 pojawiły się plany władz UMK dotyczące utworzenia jednego Uniwersyteckiego Centrum Klinicznego CM UMK poprzez fuzję bydgoskich szpitali uniwersyteckich. Wobec licznych protestów i sprzeciwu parlamentarzystów bydgoskich, temat połączenia placówek medycznych został zawieszony. W tym czasie uchwalono również specjalne zmiany w ustawie z dnia 15 kwietnia 2011 r. o działalności leczniczej, które uniemożliwiają bez jednoczesnej zgody Ministra Zdrowia i Ministra Nauki i Szkolnictwa Wyższego powstawanie, likwidowanie i łączenie placówek ochrony zdrowia podległym uczelniom medycznym.

Akademia Medyczna w Bydgoszczy w momencie włączenia do UMK jako Collegium Medicum posiadała następujące kierunki studiów: **kierunek lekarski** (kształcenie odbywa się od roku akademickiego 1985/86), **analitika medyczna** (nabór rozpoczęto w roku 1988/89 na Wydziale Farmaceutycznym; studia I stopnia uruchomiono w roku akademickim 2000/2001, a studia II stopnia w roku 2003/2004), **pielęgniarstwo** (powołano w roku 1997/98), **fizjoterapia** (uruchomiona w roku 1998/99 na Wydziale Lekarskim, którą od roku 2002/2003 przeniesiono na Wydział Nauk o Zdrowiu), **kosmetologia** (uruchomiona w roku 1999/2000 na Wydziale Farmaceutycznym, którą przeniesiono w roku 2001 na Wydział Pielęgniarstwa i Nauk o Zdrowiu, którą od roku 2006/2007 ponownie przeniesiono na Wydział Farmaceutyczny), **zdrowie publiczne** (nabór rozpoczęto w roku 2000/2001 na studia licencjackie, a w roku 2003/2004 na studia magisterskie), **biotechnologia** (w roku 2001/2002 uruchomiono studia licencjackie, a w roku 2003/2004 studia magisterskie) oraz **farmacja** (kształcenie studentów rozpoczęto dopiero w roku 2002/2003). W latach 2007–2011 wprowadzono trzy nowe kierunki studiów: dietetykę, położnictwo i ratownictwo medyczne.

W 2008 r. rozpoczęto kształcenie studentów na kierunku lekarskim, prowadzonym w języku angielskim. Z czasem uruchomiono kształcenie studentów w tym języku także na innych kierunkach: analityce medycznej, fizjoterapii oraz pielęgniarstwie. W roku akademickim 2012/2013 uruchomiono kierunki – audiofonologia oraz elektroradiologia. W roku akademickim 2014/2015 uruchomiono studia licencjackie na kierunku inżynieria biomedyczna oraz optyka okularowa z elementami optometrii. W roku 2017/18 uruchomiono na Wydziale Lekarskim optometrię jako kierunek studiów II stopnia. Najnowszym kierunkiem jest terapia zajęciowa, która została powołana jako studia I stopnia na Wydziale Nauk o Zdrowiu w roku akademickim 2018/2019.

Istotne zmiany strukturalne nastąpiły w 2019 r., kiedy to zarządzeniem nr 124 Rektora UMK z 16 września 2019 r. w sprawie utworzenia instytutów i katedr wchodzących w skład poszczególnych wydziałów na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu, ustalono nową strukturę organizacyjną wydziałów. Od tego czasu Collegium Medicum posiada organizację wewnętrzną, zobrazowaną na schemacie.

Pierwsze zmiany w nowej strukturze wydziałowej nastąpiły już w kolejnym roku (Wydział Farmaceutyczny jako jedyny ma jeszcze niezmienną organizację wewnętrzną). Na Wydziale Lekarskim utworzono w 2020 r. dwie pracownie: Endoskopii i Badań Czynnościowych Przewodu Pokarmowego Wieku Rozwojowego oraz Medycyny Społecznej. Kolejna, trzecia Pracownia Dydaktyki Medycznej powstała 1 stycznia 2021 r. Od sierpnia 2020 r. Katedra Urologii otrzymała nową nazwę – **Katedra Urologii i Andrologii**, a w grudniu 2021 r. Katedra Chirurgii Ogólnej, Kolorektalnej i Onkologicznej otrzymała nazwę **Katedra Chirurgii Ogólnej i Małoinwazyjnej**. W 2023 r. jednej katedrze zmieniono nazwę – Katedra Chirurgii Plastycznej zmieniła się w **Katedrę Ortopedii, Traumatologii i Chirurgii Plastycznej**, a później utworzono nową – **Katedrę Chirurgii Onkologicznej**.

Podobnie wyglądała sytuacja na Wydziale Nauk o Zdrowiu. W marcu 2020 r. **Katedra Podstaw Umiejętności Klinicznych** zyskała nowy człon – „i Kształcenia Podyplomowego Pielęgniarek i Położnych”. Z nowym rokiem 2021 zmieniono nazwę Katedrze Położnictwa. Otrzymała ona wtedy nazwę **Katedra Perinatologii, Ginekologii i Ginekologii Onkologicznej**. W tym samym roku jedną katedrę zlikwidowano (Katedra Ortopedii i Traumatologii

Uniwersytet Mikołaja Kopernika w Toruniu
Collegium Medicum im. Ludwika Rydygiera w Bydgoszczy
 stan na 2019 r.

Wydział Farmaceutyczny	Wydział Lekarski	Wydział Nauk o Zdrowiu
1) Katedra Biochemii Klinicznej 2) Katedra Biofarmacji 3) Katedra Biofizyki 4) Katedra Biostatystyki i Teorii Układów Biomedycznych 5) Katedra Botaniki Farmaceutycznej i Farmakognozji wraz z Ogrodem Roślin Leczniczych i Kosmetycznych 6) Katedra Chemii Fizycznej 7) Katedra Chemii Leków 8) Katedra Chemii Nieorganicznej i Analitycznej 9) Katedra Chemii Organicznej 10) Katedra Diagnostyki Laboratoryjnej 11) Katedra Farmakodynamiki i Farmakologii Molekularnej wraz ze Zwierzętarnią 12) Katedra Immunologii 13) Katedra Kosmetologii i Dermatologii Estetycznej 14) Katedra Mikrobiologii 15) Katedra Patobiochemii i Chemii Klinicznej 16) Katedra Patofizjologii 17) Katedra Propedeutyki Medycyny i Profilaktyki Zakażeń 18) Katedra Technologii Chemicznej Środków Leczniczych 19) Katedra Technologii Postaci Leku 20) Katedra Toksykologii i Bromatologii	1) Katedra Alergologii, Immunologii Klinicznej i Chorób Wewnętrznych 2) Katedra Anatomii Prawidłowej 3) Katedra Anestezjologii i Intensywnej Terapii 4) Katedra Biologii i Biochemii Medycznej 5) Katedra Chirurgii Klatki Piersiowej i Nowotworów 6) Katedra Chirurgii Naczyniowej i Angiologii 7) Katedra Chirurgii Ogólnej, Chirurgii Wątroby i Chirurgii Transplantacyjnej 8) Katedra Chirurgii Ogólnej, Gastroenterologicznej i Onkologicznej 9) Katedra Chirurgii Ogólnej, Kolorektalnej i Onkologicznej 10) Katedra Chorób Płuc, Nowotworów i Gruźlicy 11) Katedra Chirurgii Plastycznej 12) Katedra Chorób Oczu 13) Katedra Chorób Zakaźnych i Hepatologii 14) Katedra Dermatologii i Wenerologii 15) Katedra Endokrynologii i Diabetologii 16) Katedra Farmakologii i Terapii 17) Katedra Fizjologii Człowieka 18) Katedra Genetyki Klinicznej 19) Katedra Hematologii 20) Katedra Histologii i Embriologii 21) Katedra Kardiochirurgii 22) Katedra Kardiologii i Chorób Wewnętrznych 23) Katedra Medycyny Rodzinnej 24) Katedra Medycyny Sądowej 25) Katedra Nefrologii, Nadciśnienia Tętniczego i Chorób Wewnętrznych 26) Katedra Neonatologii 27) Katedra Neurochirurgii 28) Katedra Neurologii 29) Katedra Onkologii i Brachyterapii 30) Katedra Otolaryngologii i Onkologii Laryngologicznej 31) Katedra Patomorfologii Klinicznej 32) Katedra Pediatrii, Alergologii i Gastroenterologii 33) Katedra Pediatrii, Hematologii i Onkologii 34) Katedra Położnictwa, Chorób Kobięcych i Ginekologii Onkologicznej 35) Katedra Psychiatrii 36) Katedra Radiologii i Diagnostyki Obrazowej 37) Katedra Transplantologii i Chirurgii Ogólnej 38) Katedra Urologii + 3 pracownicy	1) Katedra Badania Narządów Zmysłów 2) Katedra Chirurgii Onkologicznej 3) Katedra Chorób Naczyń i Chorób Wewnętrznych 4) Katedra Diagnostyki Obrazowej 5) Katedra Ekonomiki Zdrowia 6) Katedra Fizjoterapii 7) Katedra Gastroenterologii i Zaburzeń Odżywiania 8) Katedra Geriatrii 9) Katedra Higieny, Epidemiologii, Ergonomii i Kształcenia Podyplomowego 10) Katedra Kardiologii i Farmakologii Klinicznej 11) Katedra Medycyny Ratunkowej 12) Katedra Nauk Społecznych i Medycznych 13) Katedra Neuropsychologii Klinicznej 14) Katedra Onkologii 15) Katedra Opieki Paliatywnej 16) Katedra Ortopedii i Traumatologii Narządów Ruchu 17) Katedra Pielęgniarstwa Zabiegowego 18) Katedra Pielęgniarstwa Zachowawczego 19) Katedra Podstaw Prawa Medycznego 20) Katedra Podstaw Umiejętności Klinicznych 21) Katedra Położnictwa 22) Katedra Promocji Zdrowia 23) Katedra Rehabilitacji 24) Katedra Reumatologii i Układowych Chorób Tkanki Łącznej 25) Katedra Żywienia i Dietetyki + 1 Studium

Narządów Ruchu), a drugą utworzono (**Katedra Fizjologii Wysiłku Fizycznego i Anatomii Funkcjonalnej**). W 2022 r. dokonano tylko jednej korekty nazwy katedry, Katedra Promocji Zdrowia otrzymała nazwę **Katedra Rehabilitacji Kardiologicznej i Promocji Zdrowia**. Kolejne zmiany zaszły w 2023 r. **Katedra Nauk Społecznych i Medycznych** utraciła swój „medyczny” człon, 1 kwietnia powstała **Katedra Chorób Wieku Rozwojowego**, a 30 września zlikwidowano Katedrę Chirurgii Onkologicznej.

W nowej strukturze Wydziału Nauk o Zdrowiu nie uwzględniono Katedry Balneologii i Medycyny Fizycznej, która powstała jeszcze na Akademii Medycznej na początku lat 90. XX w. Została ona zlikwidowana 1 marca 2020 r. W zmianach organizacyjnych w 2019 r. nie uwzględniono także **Katedry Otolaryngologii, Foniatrii i Audiologii**, która prawdopodobnie powstała na bazie utworzonej w 2013 r. Kliniki Foniatrii i Audiologii, działającej w Szpitalu Uniwersyteckim nr 2 im. J. Bizuela w Bydgoszczy. Podobna sytuacja ma miejsce w stosunku do **Katedry Neurochirurgii i Neurologii** oraz **Katedry Urologii**, które prawdopodobnie powstały na tym wydziale na bazach powołanych 1 maja 2018 r. klinik, działających w Szpitalu Uniwersyteckim nr 2 im. J. Bizuela w Bydgoszczy.

Spośród wszystkich wydziałów Collegium Medicum od czasu połączenia w 2004 r. jedynie **Wydział Lekarski** posiadał podwójne, pełne uprawnienia do doktoryzowania i habilitowania (w 1986 r. uzyskał uprawnienia do nadawania stopnia doktora nauk medycznych w zakresie medycyny, a w roku 1987 – w zakresie biologii medycznej oraz uprawnienia do nadawania stopnia naukowego doktora habilitowanego nauk medycznych w zakresie medycyny i biologii medycznej). Jako ciekawostkę można przytoczyć fakt, że pierwszą osobą, której nadano stopień doktora habilitowanego w 1988 r. była dr Danuta Miścicka-Śliwka. Pozostałe wydziały musiały dopiero zdobywać swoje akredytacje. **Wydział Nauk o Zdrowiu** posiada uprawnienia do nadawania stopnia doktora i doktora habilitowanego w dziedzinie nauk o zdrowiu. Pierwsze z nich zdobył 25 stycznia 2010 r., natomiast drugie otrzymał 17 grudnia 2012 r. Dodatkowo, Wydział Nauk o Zdrowiu posiada od 4 września 2007 r. uprawnienia do nadawania stopnia doktora w dyscyplinie medycyna. **Wydział Farmaceutyczny** jako jedyny w Polsce na początku lat 10. XXI w. nie posiadał żadnych uprawnień. Dlatego nowe władze dziekańskie (kadencja 2012–2016) przystąpiły do in-

tensywnych działań, by zmienić ten stan rzeczy. W ich wyniku, 29 kwietnia 2013 r. Wydział uzyskał uprawnienia do nadawania stopnia doktora w dziedzinie nauk farmaceutycznych, a rok później (28 kwietnia 2014 r.) zdobył dodatkowe uprawnienia do nadawania stopnia doktora w dziedzinie nauk medycznych w dyscyplinie biologia medyczna. Później Wydział starał się o przyznanie uprawnień do habilitowania; 16 grudnia 2016 r. Centralna Komisja ds. Stopni i Tytułów przyznała Wydziałowi Farmaceutycznemu uprawnienia do nadawania stopnia doktora habilitowanego nauk medycznych w dyscyplinie biologia medyczna, a 26 lutego 2018 r. uprawnienia w dziedzinie nauk farmaceutycznych. W wyniku podjętych działań, Wydział Farmaceutyczny CM UMK znajduje się w ekskluzywnej grupie 3 Wydziałów Farmaceutycznych posiadających podwójne uprawnienia habilitacyjne (obok Uniwersytetu Medycznego w Białymstoku oraz Śląskiego Uniwersytetu Medycznego w Katowicach). W wyniku posiadanych uprawnień, które opisano wyżej, na każdym z wydziałów uruchomiono studia doktoranckie, kształcące przyszłych doktorów w trybie studiów dziennych i zaocznych. Wraz z wdrożeniem szkół doktorskich, kształcenie doktorantów na dotychczasowych kierunkach przeniesiono do Szkoły Doktorskiej Nauk Medycznych i Nauk o Zdrowiu, a istniejące studia doktoranckie ulegną wygaśnięciu wraz z ukończeniem kształcenia przez ostatniego doktoranta.

Poza działalnością dydaktyczną Collegium Medicum UMK podejmuje inicjatywy ukierunkowane na kontakt z lokalnymi społecznościami, czego przykładem jest Dzień Nauki „Medicalia”. W 2007 r. w Collegium Medicum UMK rozpoczęto organizować coroczne, cykliczne wykłady pod nazwą „Medyczne Środy”. Inicjatywa ta, ciesząca się ogromnym zainteresowaniem, skierowana jest do osób, w tym młodzieży, z regionów zainteresowanych naukami medycznymi. Uczelnia jest współorganizatorem Bydgoskiego Festiwalu Nauki i Toruńskiego Festiwalu Nauki i Sztuki.

W Collegium Medicum działają następujące organizacje studenckie:

- Samorząd Studencki Collegium Medicum UMK,
- Studenckie Towarzystwo Naukowe Collegium Medicum UMK,
- Akademicka Grupa Ratownicza CM UMK,
- Studenckie Towarzystwo Diagnostów Laboratoryjnych CM UMK,

- Akademicki Związek Sportowy (AZS CM UMK),
- Kosmetologiczna Organizacja Studencka,
- Chór Collegium Medicum,
- Koło Filmowe – Camera Anterior,
- Niezależne Zrzeszenie Studentów. Oddział Collegium Medicum UMK,
- Międzynarodowe Stowarzyszenie Studentów Medycyny IFMSA-Poland (Oddział Bydgoszcz),
- Polskie Towarzystwo Studentów Farmacji przy CM UMK,
- wydziałowe studenckie koła naukowe.

Wspomnieć wypada, że w gronie naukowców związanych z Collegium Medicum znaleźli się wybitni przedstawiciele środowiska medycznego, których postanowiono uhonorować tytułem doktora *honoris causa*. Nie należy zapominać również o doktoratach honorowych przyznanych przez Akademię Medyczną. W latach 1998–2004 przyznano łącznie dziewięciu osobom tytuł doktora *honoris causa*. Warto także dodać, że w latach 2000–2004 władze Akademii Medycznej przyznawały „Medal za szczególne zasługi dla Akademii Medycznej im. Ludwika Rydygiera w Bydgoszczy”. Przyznano je w sumie 23 osobom.

1 października 2013 r. w trakcie inauguracji nowego roku akademickiego 2013/2014 tytuł doktora *honoris causa* UMK otrzymał prof. dr hab. Zygmunt Mackiewicz (współzałożyciel Akademii Medycznej w Bydgoszczy).

19 lutego 2016 r. w trakcie Święta Uniwersytetu tytuł doktora *honoris causa* UMK otrzymał prof. Paul Alfred Gurbel (kardiolog, USA).

W czasie Święta Uniwersytetu 2016 r. wyróżnienie *Convallaria Copernicana* otrzymała prof. Anna Balcar-Boroń (zm. w 2023 r.), a 2 października 2017 r. w trakcie uroczystej inauguracji roku aka-



Prof. dr hab. n. med. Zygmunt Mackiewicz



Prof. Paul Alfred Gurbel

demickiego 2017/2018 to samo wyróżnienie przyznano prof. Waldemarowi Jędrzejcykowi. 19 lutego 2016 r. tytuł honorowego profesora UMK otrzymała prof. Mieczysława Czerwionka-Szaflarska z Wydział Lekarskiego, a dwa lata później tym samym wyróżnieniem uhonorowano prof. Romana Ossowskiego z Wydziału Nauk o Zdrowiu.



Prof. dr hab. Anna Balcar-Boroń



Prof. dr hab. Waldemar Jędrzejczyk

Wielu pracowników bydgoskich wydziałów UMK zostało konsultantami krajowymi w różnych dziedzinach lub doradcami przy instytucjach, biorą oni również czynny udział w polskich towarzystwach medycznych na szczeblu ogólnopolskim, zasiadając także w ich władzach. Można tu przyto-

czyć przykładowo ostatnie osiągnięcia: 15 czerwca 2018 r. prof. Arkadiusz Jawień został prezesem Polskiego Towarzystwa Chirurgii Naczyniowej w kadencji 2018–2020, 15 września 2018 r. prof. Olga Haus z Wydziału Lekarskiego została przewodniczącą Polskiego Towarzystwa Genetyki Człowieka na kadencję 2018–2022, 1 września 2020 r. prof. Kornelia Kędziora-Kornatowska – prorektor ds. Collegium Medicum UMK została zastępcą przewodniczącego Konferencji Rektorów Akademickich Uczelni Medycznych (KRAUM) do 31 sierpnia 2024 r.

Jednocześnie pracownicy Collegium Medicum otrzymywali inne wyróżnienia, w tym innych uczelni. Można tu wspomnieć m.in. o prof. Arkadiuszu Jawieniu, który w grudniu 2022 r. został doktorem *honoris causa* Uniwersytetu Medycznego im. Karola Marcinkowskiego w Poznaniu. W listopadzie 2017 r. prof. Zbigniew Włodarczyk z Wydziału Lekarskiego został wyróżniony medalem „Unitas Durat Palatinatus Cuiaviano-Pomeraniensis” za zasługi dla rozwoju transplantologii w regionie kujawsko-pomorskim. Dr hab. Aldona Kubica została wyróżniona w październiku 2018 r. tytułem Ambasadora Zdrowia przyznawanym przez Instytut Biznesu.

W Collegium Medicum odbywały się także ważne jubileusze i wydarzenia. 21 listopada 2006 r. z okazji 125. rocznicy przeprowadzenia pionierskiej operacji resekcji żołądka przez patrona Collegium Medicum – Ludwika Rydygiera, po raz pierwszy odbyło się uroczyste Święto Collegium Medicum UMK. 10 lutego 2008 r. odbył się jubileusz 15-lecia Katedry i Kliniki Chirurgii Ogólnej w Collegium Medicum UMK. W 2009 r. obchodzono 25-lecie Akademii Medycznej w Bydgoszczy i 5-lecie jej połączenia z UMK (dodatkowo świętowano wówczas jubileusz 50-lecia pracy zawodowej prof. Jana Domaniewskiego). W styczniu 2011 r. odbył się jubileusz 25-lecia Chóru Collegium Medicum UMK. We wrześniu 2014 r. jubileusz 30-lecia obchodził Wydział Farmaceutyczny. W ramach obchodów zorganizowano konferencję Dziekanów Wydziałów Farmaceutycznych, uroczystą sesję poświęconą temu Wydziałowi oraz zorganizowano konferencję naukową „Nowoczesne techniki badawcze stosowane w analizie farmaceutycznej i biomedycznej”. 25 listopada 2014 r. odbyło się posiedzenie Senatu UMK w Bydgoszczy w związku z 10-leciem Collegium Medicum i 30-leciem Akademii Medycznej. Warto także wspomnieć, że uroczysta inauguracja roku akademickiego 2013/2014 odbyła się po raz

pierwszy poza Toruniem. Postanowiono, że wobec remontu Auli UMK, październikowe uroczystości odbędą się w Bydgoszczy. Otwarcie nowego roku akademickiego świętowano w bydgoskiej Filharmonii Pomorskiej.

Uroczyste obchody jubileuszu 80-lecia Szpitala Uniwersyteckiego nr 1 im. dr. Antoniego Jurasza w Bydgoszczy odbyły się w grudniu 2017 r. W maju 2018 r. z okazji 20-lecia Wydziału Nauk o Zdrowiu Collegium Medicum UMK w Bydgoszczy odbyła się III międzynarodowa konferencja naukowo-szkoleniowa „Europejski wymiar Nauk o Zdrowiu”.

Wśród ciekawych inicjatyw organizacyjno-naukowych podjętych przez wydziały Collegium Medicum UMK w Bydgoszczy należy wymienić podpisanie umowy przez prorektor ds. CM prof. Grażynę Odrowąż-Sypniewską (w październiku 2017 r.) o współpracy w zakresie świadczenia specjalistycznych ekspertyz identyfikacji genetycznej ofiar zbrodni przeciwko narodowi polskiemu przez konsorcjum naukowo-badawcze o nazwie „Grupa ds. Identyfikacji (na podstawie DNA)” (GRID) na rzecz Instytutu Pamięi Narodowej – Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu. Na czele Konsorcjum GRID stanęło Collegium Medicum UMK. Całość prac koordynował prof. dr hab. Tomasz Grzybowski, kierownik Katedry Medycyny Sądowej Wydziału Lekarskiego Collegium Medicum UMK.

Spośród pracowników Collegium Medicum wybierani są prorektorzy ds. Collegium Medicum. Warto nadmienić, że prof. dr hab. Jacek Kubica jest jedynym pracownikiem Collegium Medicum, który pełnił funkcję innego prorektora niż jego dotychczasowe koleżanki i koledzy (patrz niżej); latach 2016–2020 pełnił funkcję prorektora ds. badań naukowych UMK. Poniżej zamieszczono wykaz prorektorów ds. Collegium Medicum oraz dziekanów i prodziekanów trzech Wydziałów wchodzących w jego skład w latach 2004–2023:

Wykaz prorektorów ds. Collegium Medicum:

[24 XI] 2004–2005 – prof. dr hab. Danuta Miścicka-Śliwka
 2005–2012 – prof. dr hab. Małgorzata Tafil-Klawe
 2012–2016 – prof. dr hab. Jan Styczyński
 2016–[30 XI] 2019 – prof. dr hab. Grażyna Odrowąż-Sypniewska
 [1 XII] 2019–2020 – prof. dr hab. Jacek Manitius
 2020–2024 – prof. dr hab. Kornelia Kędziora-Kornatowska

Dziekani Wydziału Farmaceutycznego:

[24 XI] 2004–2005 – dr hab. Grażyna Odrowąż-Sypniewska, prof. UMK

2005–2012 – dr hab. Bronisław Grzegorzewski, prof. UMK

2012–2024 – prof. dr hab. Stefan Kruszewski

Prodziekani Wydział Farmaceutycznego:

[24 XI] 2004–2008 – dr hab. Jerzy Krysiński, prof. UMK

2005–2008 – dr hab. Ewa Żekanowska, prof. UMK

2008–2012 – dr hab. Adam Buciński, prof. UMK

2008–2012 – dr hab. Stefan Kruszewski, prof. UMK

2012–2016 – dr Bogumiła Kupcewicz

2012–2020 – prof. dr hab. Eugenia Gospodarek-Komkowska

2012–[30 IX] 2019 – dr hab. Michał Marszałł, prof. UMK

2016–[30 IX] 2019 – prof. dr hab. Ewa Żekanowska

2020–[31 III] 2023 – dr hab. Barbara Ruszkowska-Ciastek, prof. UMK

[8 V] 2023–2024 – dr hab. Joanna Kwiecińska-Piróg, prof. UMK

[1 X] 2019–2024 – dr hab. Marcin Koba, prof. UMK

[1 X] 2019–2024 – dr hab. Bogumiła Kupcewicz, prof. UMK

Dziekani Wydziału Lekarskiego:

[24 XI] 2004–2005 – prof. dr hab. Gerard Drewa

2005–2012 – prof. dr hab. Henryk Kaźmierczak

2012–2016 – prof. dr hab. Jacek Kubica

2016–[30 IX] 2019 – dr hab. Katarzyna Pawlak-Osińska, prof. UMK

[1 X] 2019–2024 – prof. dr hab. Zbigniew Włodarczyk

Prodziekani Wydziału Lekarskiego:

[24 XI] 2004–2005 – prof. dr hab. Marcin Dрамиński

[24 XI] 2004–2005 – dr hab. Barbara Książkiewicz, prof. UMK

[24 XI] 2004–2008 – dr hab. Roman Makarewicz, prof. UMK

2005–2012 – dr hab. Dariusz Soszyński, prof. UMK

2005–2012 – prof. dr hab. Jacek Manitus

2008–2012 – dr hab. Jan Styczyński, prof. UMK

2012–2016 – dr hab. Grzegorz Grzešek, prof. UMK

2012–2016 – prof. dr hab. Tomasz Grzybowski

2012–2016 – dr hab. Katarzyna Pawlak-Osińska, prof. UMK

2016–[30 IX] 2019 – prof. dr hab. Michał Szpinda

2016–[30 IX] 2019 – prof. dr hab. Alina Woźniak

2016–[30 IX] 2019 – dr hab. Marek Koziński

[1 X] 2019–2020 – prof. dr hab. Tomasz Grzybowski

2020–2024 – prof. dr hab. Małgorzata Pawłowska

[1 X] 2019–2024 – prof. dr hab. Michał Wiciński

[1 X] 2019–2024 – dr hab. Anita Olczak, prof. UMK

Dziekani Wydziału Nauk o Zdrowiu:

[24 XI] 2004–2012 – prof. dr hab. Zbigniew Bartuzi

2012–2020 – prof. dr hab. Kornelia Kędziora-Kornatowska

2020–2024 – prof. dr hab. Alina Borkowska

Prodziekani Wydziału Nauk o Zdrowiu:

[24 XI] 2004–2005 – dr hab. Wojciech Beuth

[24 XI] 2004–2012 – prof. dr hab. Kornelia Kędziora-Kornatowska

2005–2008 – dr hab. Wojciech Hagner, prof. UMK

2005–2012 – dr hab. Andrzej Kurylak, prof. UMK

2008–2012 – dr Anna Grabowska-Gaweł

2012–2016 – prof. dr hab. Mariusz Dubiel

2012–[30 IX] 2019 – prof. dr hab. Jacek Klawe

2012–2020 – prof. dr hab. Maria Kłopotcka

2016–2020 – prof. dr hab. Alina Borkowska

2020–[28 II] 2022 – prof. dr hab. Grzegorz Grzešek

[1 III] 2022–2024 – prof. dr hab. Krzysztof Roszkowski

2020–2024 – dr Magdalena Weber-Rajek

[1 X] 2019–2024 – dr hab. Marta Podhorecka

Artykuł opracowano na podstawie zarządzeń, stron internetowych oraz literatury, w tym archiwalnych wydań „Wiadomości Akademickich. Pisma Collegium Medicum im. Ludwika Rydygiera w Bydgoszczy Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu”.

Bożena Kierzkowska, Artur Wójtowicz — Archiwum UMK

Fot. nadesłane



Rozprawa o wolnomyślicielstwie

Autor: Anthony Collins

Przekład i opracowanie: Adam Grzeliński i Krzysztof Wawrzonkowski



Pochodząca z 1713 roku *Rozprawa o wolnomyślicielstwie* Anthony'ego Collinsa (1676–1729), angielskiego deisty i ucznia Johna Locke'a, to jedno z dzieł fundujących Oświecenie. Wyrażony w niej postulat swobody krytycznego namysłu i racjonalnych dociekań dotyczących wszelkich kwestii, jakie może napotkać ludzki rozum, wpisywało się w nowy, osiemnastowieczny model poznania, stanowiąc zarazem wyraz postępującej racjonalizacji religii. Polemiczne zacięcie i ostre pióro Collinsa sprawiło, że w haśle wolnomyślicielstwa optymistyczna wizja czyniącej dziejowe postępy ludzkiej rozumności splata się ze stanowczym sprzeciwem wobec najrozmaitszych zabobonów, zaprawionym sporą dozą antyklerykalizmu. Podobnie jak *Chrześcijaństwo bez tajemnic* Johna Tolanda (1696), *Rozprawa* przez lata była źródłem zażartych polemik, niejednokrotnie stanowiąc punkt odniesienia dla podobnej krytyki, z jaką występowano w późniejszych czasach.

Słownik polskiej krytyki literackiej 1764–1918, t. 1-3

Redaktorzy: Teresa Kostkiewiczowa, Grażyna Borkowska i Magdalena Rudkowska



Osobowa część *Słownika polskiej krytyki literackiej 1764–1918* jest kontynuacją większego zamierzenia rozpoczętego wydaną w 2016 r. częścią rzeczową publikacji (*Słownik polskiej krytyki literackiej 1764–1918. Pojęcia – problemy – przekroje*). Zawiera hasła osobowe – opracowane przez badaczy i badaczki z prawie wszystkich polskich ośrodków naukowych – prezentujące sylwetki i działalność krytyków literackich, historyków i teoretyków literatury oraz innych ludzi pióra, którzy podejmowali refleksję nad piśmiennictwem im współczesnym i nad ogólnymi problemami twórczości literackiej. Podobnie jak w części pierwszej hasła obejmują twórców działających od początków polskiej nowoczesności w 2. poł. XVIII w. aż po koniec I wojny światowej, który zamyka polski długi wiek XIX. Tak wyprofilowane ramy czasowe pozwalają śledzić rozwój i przemiany ogólnej pojętej krytyki literackiej towarzyszącej różnym tendencjom kulturowo-literackim i piśmiennictwu funkcjonującemu w epoce zaborów.



Grzyb u kresu świata

Autor: Anna Lowenhaupt Tsing
Redaktorzy: Janusz Grygeliń, Andrzej Szahaj



Wierny własnemu rozdarcu. Problematyka tożsamościowa w twórczości Artura Sandauera

Autor Justyna Koszarska-Szulc



Syberia 1917–1922 we wspomnieniach i relacjach żołnierzy Wojska Polskiego

Redaktor: Waldemar Rezmer

To Twój Głos

NAUKA • BADANIA • KULTURA

**GŁOS
UCZELNI**

 **KOMPAS**
AGENCJA TURYSTYCZNA



kliknij do nas:
www.bilety-lotnicze.com.pl



Accredited
Agent

